www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 12 (1002)
18-24.03.2019
Cena 6,80 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. STANISŁAW FILIPOWICZ: POLITYKA POGARDY DLA PRAWDY

ŻYCIE KOBIET NA MAZOWIECKIEJ WSI

MAREK PLEŚNIAR: NAUCZYCIEL PRZYZWYCZAIŁ SIĘ DO UBÓSTWA

KALIBABKA – WSZYSTKO Z MIŁOŚCI

WYBIELANIE „BUREGO"

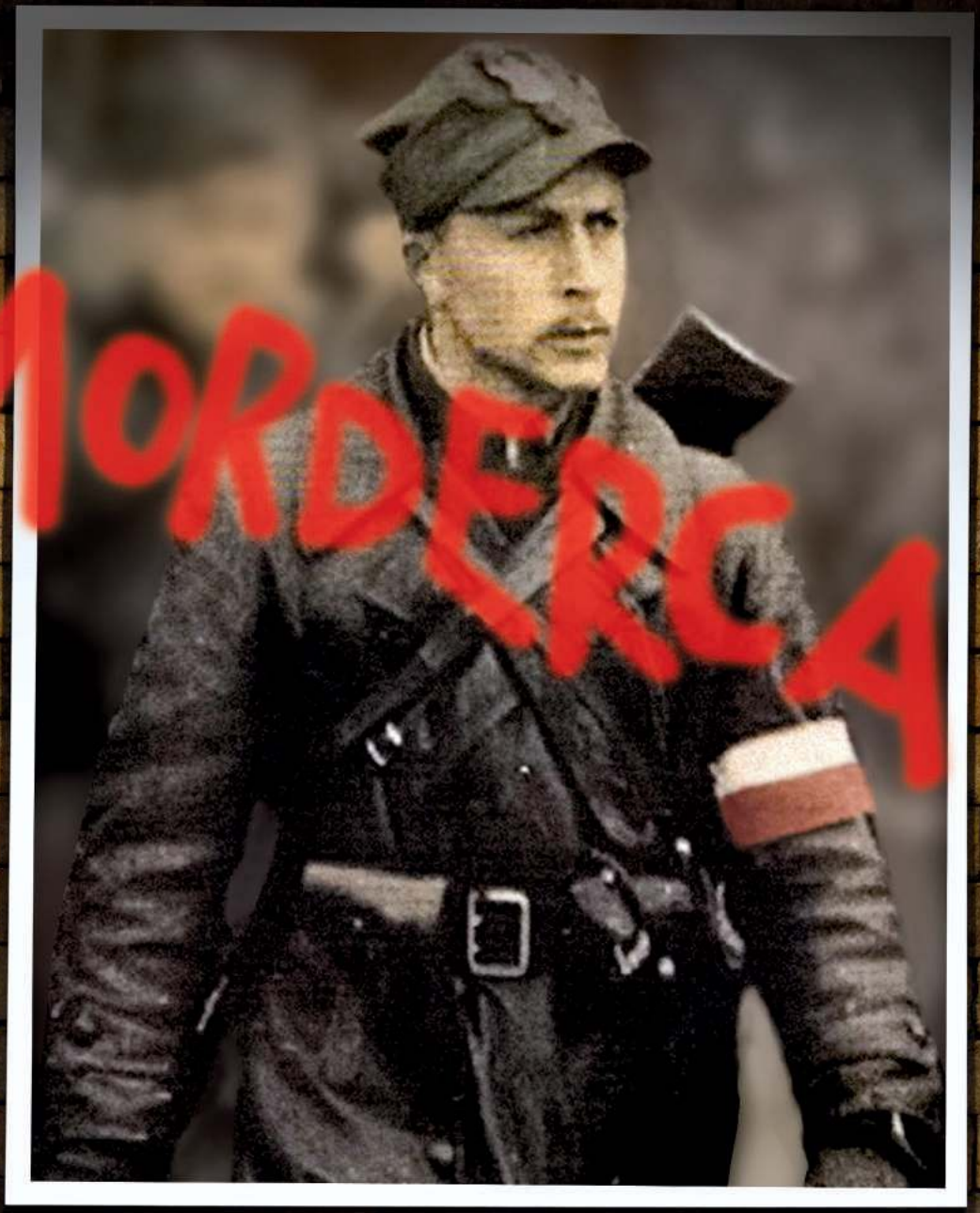

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

ART. 256 KODEKSU KARNEGO
PROPAGOWANIE FASZYZMU LUB INNEGO USTROJU TOTALITARNEGO LUB NAWOŁYWANIE DO NIENAWIŚCI

§ 1. Kto publicznie propaguje faszystowski lub inny totalitarny ustrój państwa lub nawołuje do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2.

§ 2. Tej samej karze podlega, kto w celu rozpowszechniania produkuje, utrwala lub sprowadza, nabywa, przechowuje, posiada, prezentuje, przewozi lub przesyła druk, nagranie lub inny przedmiot, zawierające treść określoną w § 1 albo będące nośnikiem symboliki faszystowskiej, komunistycznej lub innej totalitarnej.

§ 3. Nie popełnia przestępstwa sprawca czynu zabronionego określonego w § 2, jeżeli dopuścił się tego czynu w ramach działalności artystycznej, edukacyjnej, kolekcjonerskiej lub naukowej.

§ 4. W razie skazania za przestępstwo określone w § 2 sąd orzeka przepadek przedmiotów, o których mowa w § 2, chociażby nie stanowiły własności sprawcy.

Mein Kampf

słowa: Adolf Hitler

Góo Bâ, Bielawka, Bożek, Brykalski, Kryst, Łągiewczyk, Mosiewicz, Nepelski, Niziołek, Skrzywanek, Skwarczyńska, Srpkowá, Stoczyński

premiera 23.03.2019

kolejne spektakle 24, 26, 27.03 i 12, 13, 14.04

Spektakl jest częścią obchodów Roku Antyfaszystowskiego
www.rokantyfaszystowski.org

patronat medialny: wyborcza · wyborcza.pl WARSZAWA · cojestgrane24 · AKTIVIST · przegląd

eprasa.pl b021c5f1c6

CYTATY

PROF. MAREK BELKA,
były premier
Jestem przekonany, że PiS w roli partii rządzącej właśnie dobiega swoich dni.
„Nie"

PROF. DARIUSZ ŁUKASIEWICZ,
filozof
Obecnie popularyzowana wiedza pokazuje naiwną i nieprawdziwą wizję „demokratycznej" sarmackiej Polski XVIII w.
„Bez Dogmatu"

PAWEŁ PAWLIKOWSKI,
reżyser
Napisałem, że zaściankowość, populizm i głupota to u nas domena prawicy. Ale okazuje się, że panuje ona wszędzie, nawet w „Gazecie Wyborczej".
„Polityka"

JERZY HOFFMAN,
reżyser
Życie jest bogatsze od każdego scenariusza. Losy ludzkie bywają takie, że człowiek ich nie wymyśli.
„Tygodnik Powszechny"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Nawet nie wiemy, ile nie wiemy

Instytucja, która nieustannie odwołuje się do prawdy, sama ma z nią elementarne problemy. Droga do prawdy o pedofilach w sutannach po prezentacji raportu Episkopatu o wykorzystywaniu seksualnym małoletnich w Kościele jest daleka. Zamglona. I bez drogowskazów. A po tym, co mówili abp Gądecki i abp Jędraszewski, prominentni reprezentanci polskiego Kościoła, odnoszę wrażenie, że mają z prawdą duże problemy. To, co robią, jest mocno spóźnione i wymuszone okolicznościami zewnętrznymi. Z jednej strony, naciskami Watykanu i papieża Franciszka, który w polskim Kościele od początku ma złe, a ostatnio nawet bardzo złe, notowania. Z drugiej zaś – aktywnością ofiar, które skupione wokół Fundacji „Nie lękajcie się" prezentują własne raporty i wstrząsające zeznania ofiar. Watykan mówi swoje, a polski Kościół, jakby tkwił jeszcze w dawno minionej epoce, liczy, że burza minie, wrócą stare czasy bogobojnych i milczących owieczek. Ukrywa więc, co może, utrudnia postępowania i próbuje uciec przed odpowiedzialnością karną. A także materialnym zadośćuczynieniem dzieciom, które padły ofiarą kościelnych pedofilów. Pytaniem retorycznym jest, czy biskupi, którzy przez lata ukrywali w swoich diecezjach księży pedofilów, mogą dziś być sędziami we własnej sprawie. Czy nie oni właśnie odpowiadają za to, że z 382 księży pedofilów (oficjalne dane kościelne) tylko jedna czwarta została wyrzucona ze stanu kapłańskiego. A reszta? Przenoszeni z parafii do parafii często dalej odprawiali msze i po pokucie wracali do pracy z dziećmi.

Liczba przypadków ujawnionych w raporcie budzi wiele wątpliwości. Mocno rozmija się ze statystykami, które podają osoby pokrzywdzone. W porównaniu z reakcją Kościołów zachodnich na pedofilię we własnych szeregach zachowanie polskiego Kościoła jest jak pisk myszy.

Bez dostępu do archiwów kościelnych nie da się w sposób obiektywny ocenić skali tego zjawiska ani ukarać winnych. Teraz nawet nie wiemy, ile jeszcze nie wiemy. Tylko ruchy obywatelskie mogą wiarygodnie dla opinii publicznej zbadać te najmroczniejsze sekrety Kościoła. Ale nie tylko to. Bo przecież na uczciwy raport czekają także relacje i powiązania między organami ścigania i sądami a światem kościelnym. Tu także jest dużo brudu i częstej pobłażliwości, a nawet gorliwości w obronie gwałcicieli.

Musimy dopaść sprawców gwałtów i tych, którzy ich ochraniali. Ale najważniejsze są ich ofiary. I to, co możemy dla nich zrobić.

FAUL

Lewica łasząca się

Lewicę mamy dziś lepszą i gorszą. A o tym, kto się znajdzie w tej gorszej grupie, decyduje jednoosobowo twórca Koalicji Obywatelskiej, czyli Grzegorz Schetyna. Boleśnie jego władzę odczuli szefowie małych partii, którzy skupili się przy SLD. Filemonowicz i Musiał uwierzyli Czarzastemu, że zawsze będą działali razem. Czarzasty o obiecankach szybko zapomniał. A oni bezskutecznie pukają do drzwi Schetyny. Nie mogą pojąć, że zostali podwójnie oszukani. Na dodatek to łaszenie się lewicy jest dość obrzydliwe. Na szczęście jest sensowna oferta dla wyborców, czyli koalicja Lewica Razem.

BĄKOWSKI

eprasa.pl b021c5f1c6

W NUMERZE

KRAJ

8 **Wybielanie „Burego”**
Ludobójca, ale nasz

12 **Czas przebierańców**
– rozmowa
z prof. Stanisławem Filipowiczem

16 **Nauczyciele mają dość**
– rozmowa z Markiem Pleśniarem

21 **Wałbrzych wstaje z kolan**
Pechowe miasto coraz atrakcyjniejsze

30 **Twardziel na medal**
Wywrotka i powstanie prezesa

54 **Marzena robi pazurki jak malinki**
Historie kobiet z mazowieckich wsi

PUBLICYSTYKA

20 **Przemysław Prekiel**
Lewica Razem

ZAGRANICA

24 **Znikające kioski**
Hiszpanie nie kupują gazet

26 **Na śmieciach też można coś zbudować**
Plastik szansą na przeżycie

OPINIE

28 **Ewa Nowakowska**
Wielka trwoga

33 DALEKA BRUKSELA BLISKA LUDZIOM

KULTURA

38 **Chodzi o historię, nie o trupy**
– rozmowa z Przemysławem Semczukiem

42 **Szukalski – koniec nieważności**
Genialny rzeźbiarz odkryty po latach

46 **Qulturalia**

66 **Syntetyczny folklor**

OBSERWACJE

48 **Dziura w Wielkim Jabłku**
Korespondencja z Nowego Jorku

52 **Chmury, obłoki i bajer**
Kalibabka – wszystko z miłości

NAUKA

58 **Stworzeni, by błądzić**
Ewolucja mózgu

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Nawet nie wiemy, ile nie wiemy

19 **Jan Widacki**
Ludobójstwo

41 **Roman Kurkiewicz**
Dejaniepawłyzacja

45 **Tomasz Jastrun**
Gabinet osobliwości

51 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Kabanosy w „Dziadach”

57 **Edward Mikołajczyk**
Bombardujemy nas

21
KRAJ

WAŁBRZYCH WSTAJE Z KOLAN
Pechowe miasto coraz atrakcyjniejsze

36
KULTURA

CHODZI O HISTORIĘ, NIE O TRUPY
– rozmowa z Przemysławem Semczukiem

48
OBSERWACJE

DZIURA W WIELKIM JABŁKU
Korespondencja z Nowego Jorku

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl b021c5f1c6

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

MAGDALENA ŁAZARKIEWICZ
Sprzedana do burdelu, wyklęta w swojej wsi

HANS JOACHIM LANG
Doktorów Mengele było więcej

DALEKO OD SZOSY
– przystanki zarosły trawą

20 lat pracy zniknęło

Zainteresował mnie artykuł „Emerytura dla tenora" (PRZEGLĄD nr 9). Również byłam twórcą: przez 20 lat – nieprzerwanie, bo kolejną umowę podpisywałam, oddając poprzednią książkę – tłumaczyłam dla wydawnictwa Harlequin. Zarabiałam 1-2 tys. zł miesięcznie netto. Współpracowałam z wydawnictwem na podstawie umów o dzieło, ponieważ na inne rozwiązanie nie było mnie stać. Gdybym chciała założyć firmę, koszty obowiązkowych składek wyniosłyby ponad 600 zł miesięcznie.

W ubiegłym roku przeszłam na emeryturę i z największym zdumieniem dowiedziałam się, że 20 lat mojej pracy w ogóle nie istniało. Nie spodziewałam się, że za ten okres zostaną mi naliczone jakieś pieniądze, ponieważ nie płaciłam składek, ale nie przyszło mi do głowy, że przez tyle lat ciężkiej pracy, w czasie których przetłumaczyłam ponad 100 książek, niczego nie robiłam. Absolutnie niczego. Bo „okresy nieskładkowe" to nie są – jak mi się wydawało – lata pracy, kiedy się nie płaci składek, ale np. lata urlopu wychowawczego.

Mam pretensję do naszego systemu ubezpieczeń o to, że ignoruje twórczą pracę, nawet tę popartą umową i wypłaconym po jej realizacji honorarium. Czy kiedyś doczekam się uznania?

Krystyna Kozubal

Pielęgnowanie pamięci

Ci, którzy burzą lub chcą burzyć historyczne pomniki, nie są ludźmi. To są obłąkane nienawiścią potwory. Pamiętam jeńców radzieckich pędzonych przez Niemców ulicą Mickiewicza w Piasecznie, chyba w roku 1942. To były szkielety w łachmanach. Jeden z nich wyskoczył z szeregu i wpadł do naszej kuchni, błagając: „kartoszku, kartoszku". Za nim natychmiast wpadło dwóch Niemców i kolbami karabinów powaliło go na podłogę, a następnie podkutymi butami wykopali go do sieni. Do dziś mam ten obraz przed oczami.

amelie2

•

Piękno i mądrość mieszkańców wsi Starzyński Dwór są wzruszające. Tyle miłosierdzia i miłości bliźniego, tyle honoru. Takie pielęgnowanie pamięci to jest patriotyzm w najczystszym wydaniu. Szanowni mieszkańcy Starzyńskiego Dworu, chylę przed państwem czoła.

Ewa

ZDJĘCIE TYGODNIA

Sąd w Melbourne skazał kard. George'a Pella na sześć lat więzienia za pedofilię. To najwyższy dostojnik kościelny skazany za takie czyny. Nz. ofiary wykorzystywania seksualnego w Kościele oczekują pod sądem na wyrok dla kardynała.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl b021c5f1c6

9,72 mln osób otrzyma dodatkową emeryturę w wysokości 1,1 tys. zł brutto. Koszt tej operacji sięga 10,7 mld zł.

Jerzy Urban, redaktor naczelny „Nie", może na chwilę odetchnąć. **Sędzia Mariusz Jackowski** z Sądu Okręgowego w Warszawie **uchylił wyrok sędziego Rafała Stępaka** z Sądu Rejonowego dla Warszawy-Mokotowa **skazujący Urbana na horrendalną grzywnę (120 tys. zł) i 30 tys. zł kosztów sądowych za ilustrację do artykułu o apostazji.**

Koalicja Lewica Razem (Unia Pracy, Razem i Ruch Sprawiedliwości Społecznej) **w sondażu Kantar Millward Brown ma 4% poparcia w wyborach do Parlamentu Europejskiego.**

Załoga PKP Intercity wyprosiła z pociągu jadącego do Poznania prawicowego homofoba i antysemitę.

Łódź będzie drugim po Poznaniu miastem, które **otworzy całodobowy gabinet ginekologiczny. Darmowy, dostępny dla wszystkich.**

8,6% kuracjuszy korzystających z leczenia uzdrowiskowego w Polsce to cudzoziemcy.

Najpopularniejszymi imionami w Warszawie w 2018 r. były: **Zofia, Julia, Zuzanna, Maria i Alicja** oraz **Jan, Aleksander, Antoni, Jakub i Stanisław.**

Najczęściej otrzymywaną płacą przez polskich pracowników jest 2,5 tys. zł brutto (czyli trochę ponad 1,8 tys. zł netto).

Nad tym, by każdy mógł jeździć elektrycznym samochodem i kupić tanie mieszkanie, czuwa skromny **premier Morawiecki ze skromniutkim 104-osobowym rządem,** w którym jest tylko 82 wiceministrów.

Agata Wojtyszek, pisowska wojewoda świętokrzyska, **nakazała zdemontować pomnik na Górze Baranowskiej,** przy drodze między Skarżyskiem i Suchedniowem. Gdyby głupota mogła latać, to autorzy tych kretyńskich decyzji byliby kosmonautami.

Nie przynosi efektów walka z dzikimi wysypiskami. W 2017 r. zlikwidowano ich ponad 13 tys., ale ciągle powstają nowe. Brakuje skutecznych narzędzi do walki z nimi.

Ok. **500 tys. osób w Polsce może mieć przewlekłą chorobę wątroby.** Co roku umiera na nią 6-7 tys. chorych.

27% Polaków skarży się na całodzienny stres w pracy. Wśród Brytyjczyków i Francuzów jest 20% zestresowanych pracowników. A najmniej zestresowani są Holendrzy (10%).

PRZEBŁYSKI

Pokuta szefowych edukacji

Kto ma najwięcej dobrych rad dla nauczycieli? Oczywista oczywistość! Była minister edukacji z PO Joanna Kluzik-Rostkowska. Modelowa polityczka POPiS. U Tuska była ministrem, a Jarosławowi Kaczyńskiemu prowadziła kampanię w wyborach na prezydenta RP. Obie misje zakończyła porażką. Nauczyciele nie płakali po niej. W zbliżający się strajk będzie miała swój wkład. Może więc po tych „sukcesach" wystartuje w wyborach do Brukseli? Razem z Zalewską. Głosy nauczycieli i rodzin dzieci obie mają pewne jak w banku. Choć mądrzej byłoby je wysłać do klasztoru. Na pokutę.

Joanna Kluzik-Rostkowska

W czasie wyborów przekonała pawie 50% Polaków biorących udział w wyborach do głosowania na Jarka, teraz ją wyrzucił i mówi, że spadł mu ciężar z serca...

Prawicowi masturbanci

Zwykle mają ponure miny. I zacięte twarze. Poczucia humoru prawica nie ma za grosz. Z jednym wyjątkiem. Jest temat, który ożywia największych pisowskich ponuraków. Nie ma w Polsce lepszych ekspertów od seksu niż oni. Może tylko księża im na tym polu dorównują. Z jakim zapałem pisowcy mówią o masturbacji! Jak błyszczą im oczy, gdy opowiadają, kiedy ten „straszny" proceder można zacząć! Ale nie korzystają z wiedzy wyniesionej ze szkoły. Prawicowi rodzice sami swoim dzieciom o tym opowiadają. Tak jak im opowiedzieli dziadkowie. A dziadkom pradziadkowie. Masturbacja od pokoleń.

Desant M.B. na wojsko

Odkąd nad bezpieczeństwem granic czuwa Mariusz Błaszczak, możemy spać spokojnie. Sławny ataman z Nowogrodzkiej wiedzę wojskową wyssał z mlekiem matki. Następca Macierewicza. Tego, który szybko nauczył generalicję dobrych manier wobec „dobrej zmiany". Strzelają obcasami najgłośniej w NATO. Ci z gorszym refleksem są już poza wojskiem. Jak gen. Mirosław Różański i kilkudziesięciu generałów, których „dobra zmiana" zastąpiła stukaczami. Co o sytuacji w armii za rządów PiS mówią fachowcy? Że to obraz rozpaczliwej amatorszczyzny. Czystek kadrowych, rzezi pułkowników i ucieczki do cywila. Ale nie wszystko pada za rządów pisowskiego duetu. Kwitnie przecież ordynariat polowy.

Wybranowski od psów i kotów

Takiego odkrycia nie mogliśmy pominąć milczeniem. Wojciech Wybranowski ubogacił tygodnik „Do Rzeczy" nową myślą ekologiczną. W proch i pył rozwalił staromodnych wyznawców tezy, że zwierzętom szkodzą huki petard. Przywalił Rafałowi Trzaskowskiemu za „zakaz zorganizowania głośnych pokazów fajerwerkowych w czasie warszawskiego sylwestra". I za uleganie „radykalnym ekologom". Nowa ekologia Wybranowskiego kończy z tym zabobonem. Bo jej twórca, Wybranowski, sądzi pewnie, że psy i koty radują się wybuchami petard. Czyżby Wybranowski pisał swoje teksty pod wpływem huków?

FOT. DEMOTYWATORY.PL, RADUCH TWITTER, YOUTUBE.COM

eprasa.pl b021c5f1c6

www.mleczko.pl
www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czym minister Zalewska zasłużyła sobie na wyjazd do Brukseli?

KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ,
satyryk, poeta i piosenkarz

Szczerze mówiąc, nie wiem, czym sobie na to zasłużyła. Natomiast moim marzeniem jest, aby do Brukseli wyjechał cały rząd, łącznie z Jarosławem Kaczyńskim. Wtedy w kraju mielibyśmy spokój. Politycy PiS siedzieliby w europarlamencie w ostatniej ławce, patrzyli w prezesa i dziwili się, że są jeszcze na świecie jakieś języki obce oprócz polskiego.

MICHAŁ OGÓREK,
dziennikarz, felietonista i satyryk

Myślę, że ona znakomicie się nadaje do tej roli, bo przecież potrafi tak wszystko zreformować, np. szkołę, że nic z tego nie zostaje. Programem PiS jest, aby tak zmienić Unię Europejską, żeby w zasadzie już prawie jej nie było, a program, który pani minister zastosowała w systemie polskiej edukacji, jest świetnie dopasowany do tego celu: przerobi europarlament, tak jak gimnazja, i osiągnie identyczny efekt. Jest to osoba bardzo doświadczona na froncie reform i wydaje się, że do Brukseli pasuje jak mało kto.

HENRYK MARTENKA,
publicysta „Angory"

Posada w Brukseli to dla minister Zalewskiej symboliczna nagroda za pełne partyjnego entuzjazmu zastosowanie brytyjskiej metody w reformowaniu polskiego szkolnictwa. Bez wątpienia zasłużyła na broszkę od Theresy May za użycie chaosu jako narzędzia zarządzania zmianą. Dobrą zmianą tylko w mniemaniu pani minister, bo zdaniem rodziców i nauczycieli szkoła po reformie jest materializacją bałaganu, niedostatku, skłócenia i upolitycznienia. W Brukseli pani Zalewska może liczyć na apanaże, ale i na niezasłużony przywilej, czyli spokojną głowę od nadciągającej kolizji ze skutkami jej działań: sfrustrowanymi, biedującymi nauczycielami, nieuctwem uczniów, negacją autorytetów, na których kiedyś stała szkoła, pogardą dla kultury. Kariera europejska to dla wielu polityków wymarzona synekura; dla Zalewskiej to żenujący awans za kapralskie wypatroszenie polskiej oświaty. Dziw, że w Brukseli ma trafić do parlamentu, a nie do jakieś jednostki NATO.

Czytelnicy PRZEGLĄDU

JAROSŁAW DURKIEWICZ

Pytanie powinno brzmieć: czym Bruksela zasłużyła sobie na przyjazd pani Zalewskiej.

EWA GOJAWICZYŃSKA

Erudycją. Widać, słychać i czuć. No i niewątpliwie zna jakiś obcy język. Na przykład polski.

ADAM JAŚKOW

To jej się po prostu należy. Tak jak Beacie Szydło. A po za tym... Jest cień szansy, że do krajowej polityki już nie wróci.

GRZEGORZ STACHOWIAK

Pani minister Zalewska w zaszczytnym gronie pedagogów nie cieszy się dobrą opinią. Toteż wyjazd z Polski jest raczej karą. W tym znaczeniu sobie zasłużyła.

MICHAŁ WÓJTOWSKI

Da im w tej Brukseli szkołę.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl b021c5f1c6

WYBIELANIE „BUREGO”

Instytut Pamięci Narodowej usprawiedliwia zbrodnie Romualda Rajsa

Jakub Woroncow

Mogiła furmanów – ofiar „Burego” – na cmentarzu wojennym w Bielsku Podlaskim.

„W świetle najnowszych badań naukowych informacje z ustaleń końcowych śledztwa w sprawie »Burego« w wielu obszarach są wadliwe” – takie zdanie znalazło się w anonimowym oświadczeniu opublikowanym 11 marca na stronie Instytutu Pamięci Narodowej. Komunikat podważa wnioski z wcześniejszego śledztwa przeprowadzonego przez IPN w 2005 r. Dotyczyło ono zbrodni we wsiach powiatu Bielsk Podlaski, za które odpowiedzialna była dowodzona przez „Burego” 3. Wileńska Brygada Narodowego Zjednoczenia Wojskowego (NZW). Od 29 stycznia do 2 lutego 1946 r. oddział „Burego” dokonał pacyfikacji wsi Zaleszany, Szpaki, Zanie i Końcowizna. Zaatakował również Wólkę Wygonowską, a w Puchałach Starych zamordował grupę furmanów uprowadzonych w celu przewożenia partyzantów. Łącznie zginęło 79 osób, w tym kobiety i małe dzieci. Wszyscy zamordowani byli wyznania prawosławnego. Domy katolików pozostały nietknięte, a część uprowadzonych furmanów – głównie katolików – wypuszczono. 14 lat temu Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Białymstoku uznała, że zbrodnie te noszą znamiona ludobójstwa. Akcja pacyfikacji wsi była wymierzona w cywilów, którzy „realnie nie stanowili zagrożenia dla oddziału”. Nie można też było stwierdzić, że osoby te „działały w strukturach państwa komunistycznego”, natomiast łączyły je wyznanie prawosławne i przynależność do narodowości białoruskiej. „Zabójstwa furmanów i pacyfikacje wsi w styczniu lutym 1946 r. nie można utożsamiać z walką o niepodległy byt państwa (…). Zabójstwa i usiłowania zabójstwa tych osób należy rozpatrywać jako zmierzające do wyniszczenia części tej grupy narodowej i religijnej, a zatem należące do zbrodni ludobójstwa wchodzących do kategorii zbrodni przeciwko ludzkości”, pisał (pisownia oryginalna) nadzorujący postępowanie prok. Dariusz Olszewski.

Artykuł Krajewskiego i Wąsowskiego o „Burym” nie został opublikowany w żadnym czasopiśmie IPN.

Mógł spalić więcej wiosek

Komunikat IPN powołuje się na „najnowsze badania naukowe”, co sugeruje, że sprawą zbrodni „Burego” zajmowała się jakaś większa grupa ekspertów, którzy dotarli do nowych materiałów i dokonali nadzwyczajnych odkryć. W rzeczywistości wszystko sprowadza się do jednego – nieudanej próby podważenia ustaleń śledztwa przez dr. Kazimierza Krajewskiego z IPN Warszawa oraz mec. Grzegorza Wąsowskiego z Fundacji Pamiętamy. Krajewski i Wąsowski stwierdzili kategorycznie: „Uważamy, że »Bury« nie działał z zamiarem zniszczenia (ani w całości, ani w części) społeczności białoruskiej lub też społeczności prawosławnej zamieszkałej na terenie Polski w jej obecnych granicach. Miał przecież możliwości, by puścić z dymem nie pięć, ale znacznie więcej wiosek białoruskich w powiecie Bielsk Podlaski. Tymczasem pięć spalonych częściowo wsi, zastrzelenie łącznie kilkunastu mężczyzn oraz zabicie furmanów to zdarzenia bez precedensu w jego działalności”. Pominęli przy tym milczeniem zamordowane kobiety i dzieci. Dawid Warszawski

eprasa.pl b021c5f1c6

z „Gazety Wyborczej" ironizuje: „Odsiadujący w Polsce wyrok gen. Krstić powinien wystąpić do IPN o pomoc prawną. Ma na sumieniu tylko jedną Srebrenicę, a więc jego czyny nie mogą nosić znamion ludobójstwa". Radislav Krstić również uważał, że skala jego zbrodni była zbyt mała, żeby uznać ją za ludobójstwo.

Krajewski i Wąsowski nie przeprowadzili żadnych badań ani nie ustalili nowych faktów. Oparli się na monografii o Narodowym Zjednoczeniu Wojskowym dr. Mariusza Bechty i dr. Wojciecha Muszyńskiego z IPN Warszawa oraz biografii Romualda Rajsa „Komendant »Bury«", której autorem jest Michał Ostapiuk (IPN Olsztyn). Ich artykuł „Kapitan Romuald Rajs a Białorusini – fakty i mity" nie został nawet opublikowany w żadnym czasopiśmie IPN. Wydrukował go tylko Muszyński w wydawanym przez siebie periodyku „Glaukopis" (nr 33 z 2016 r.).

Wszystko zamyka się zresztą w wąskim kręgu „ekspertów". Jak okazało się dopiero po kilku dniach od publikacji komunikatu, jego autorami są Michał Ostapiuk i Kazimierz Krajewski. Szef pionu śledczego IPN prok. Andrzej Pozorski nie wiedział, że taki dokument zostanie opublikowany. „Komunikat nie był z nami konsultowany", stwierdził w „Gazecie Wyborczej". Stawiane przez „znawców tematu" hipotezy nie wytrzymują krytyki w konfrontacji z ustalonymi faktami. Odnosząc się do ofiar wśród kobiet i dzieci, Krajewski i Wąsowski piszą: „Wina »Burego« polega w tym zakresie na stworzeniu sytuacji, nad którą nie był w stanie zapanować". W ten sam nurt wpisuje się autor biografii „Burego" Michał Ostapiuk. Jego zdaniem winny był „żywiołowy rozwój sytuacji".

Natomiast Muszyński i Bechta usprawiedliwiają czyny żołnierzy „Burego" kontekstem politycznym. Twierdzą kategorycznie: „Tło akcji podziemia narodowego miało charakter polityczny i wiązało się z czynnym poparciem lokalnej ludności dla reżimu komunistycznego. Było to podstawowe kryterium, które później w propagandzie komunistycznej starano się ukazać w fałszywym świetle: mówiono o rzekomym konflikcie religijno-etnicznym między Polakami – katolikami – a Białorusinami – prawosławnymi". Dowiadujemy się więc, że na Podlasiu nie było po wojnie konfliktów etnicznych, o których od lat piszą inni historycy. Takie postawienie sprawy kieruje jednak uwagę na jeszcze jeden aspekt – art. 118 Kodeksu karnego definiuje ludobójstwo jako próbę „wyniszczenia w całości albo w części grupy narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej, wyznaniowej lub grupy o określonym światopoglądzie". Gdyby więc uznać wersję Bechty i Muszyńskiego za prawdziwą, mielibyśmy do czynienia z próbą wyniszczenia części grupy o określonym światopoglądzie. Nadal więc można by uważać zbrodnie „Burego" za noszące znamiona ludobójstwa.

Zaleszany? Winne są ofiary

„Miejscowi, przekonani, że mają do czynienia z komunistyczną grupą operacyjną, mogli udzielić partyzantom cennych informacji na temat lokalnych aktywistów komunistycznych oraz współpracowników UB i NKWD – twierdzą Krajewski i Wąsowski. – Z rozkazu »Burego« wszyscy mieszkańcy mieli stawić się na przymusowe zebranie resocjalizujące z komunizmu w domu sołtysa (...). Po wygłoszeniu przemówienia dowódca (...), wobec niechętnej postawy zebranych, polecił zamknąć drzwi i okna oraz podpalić budynek (...), partyzanci ostatecznie pozwolili spanikowanym ludziom wydostać się z płonącego budynku (...), strzelając na postrach ponad głowami wychodzących. Mniej szczęścia mieli natomiast ci, którzy nie posłuchali rozkazu i ukryli się wcześniej w swoich zabudowaniach. Nieświadomi ich obecności partyzanci zaczęli je podpalać".

W Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych w 2018 r. protestujący w Warszawie przypomnieli też o ofiarach oddziału „Burego".

Gdyby poważnie traktować rozważania „ekspertów" IPN, można by dojść do wniosku, że Romuald Rajs, w końcu oficer liniowy w stopniu kapitana, nie zdawał sobie sprawy, że podpalanie chat pociągnie za sobą straty w ludziach. Z drugiej strony Krajewski i Wąsowski zrzucają winę na ofiary. Miejscowi „mogli" (to słowo jest kluczowe) uznać napastników za żołnierzy Wojska Polskiego lub Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i ujawnić się jako zwolennicy komunizmu. Jakby tego było mało, panowie „eksperci" obciążają ofiary zbiorową odpowiedzialnością za hipotetyczne przewiny względem Polaków: „We wrześniu 1939 r. część prawosławnych obywateli wystąpiła przeciwko państwu polskiemu, czynnie wspierając sowiecką agresję. Doszło wówczas do licznych zbrodni na żołnierzach WP i polskiej ludności cywilnej, popełnionych przez białoruskich »sąsiadów« działających pod szyldem różnych »rewolucyjnych komitetów« i »czerwonej milicji«. Skąd jednak »Bury« miałby wiedzieć o tych faktach? Na to pytanie jest prosta odpowiedź – zyskał na ich temat znaczną wiedzę, gdy w 1945 r. służył w jednostce ochrony lasów państwowych. Mieszkańcy białoruskich wiosek wiedząc, że jest on oficerem »ludowego« WP, rozmawiali z nim szczerze, ponoć nawet chwaląc się swymi wyczynami z 1939 r.".

Rzekomym zbrodniom na Polakach dokonanym przez zamordowanych Białorusinów zaprzeczają wyniki postępowania przeprowadzonego przez IPN w 2005 r. We wnioskach śledczy napisali wyraźnie: „Nie uzyskano w wyniku kwerend archiwalnych żadnych bliższych danych dotyczących faktów mordowania Polaków we wrześniu 1939 r. w miejscowościach, z których pochodziły ofiary. W celu rozstrzygnięcia tej sprawy zostało przeprowadzone

eprasa.pl b021c5f1c6

przez prokuratora oddziałowej komisji odrębne postępowanie, które nie potwierdziło zaistnienia takiej zbrodni na Polakach w 1939 r.”.

Krajewski i Wąsowski nic sobie z tych ustaleń nie robią. Krytyki nie wytrzymuje także wiązanie ofiar z komunistycznymi strukturami. Jedyny członek PPR zabity w Zaleszanach znalazł się tego dnia we wsi przypadkiem.

Ofiary same są sobie winne także dlatego, że nie wspomagały oddziału Rajsa. W opublikowanym w „Glaukopisie” artykule Krajewski i Wąsowski wytykają, że mieszkańcy: „Nie kryli swej wrogości i odmówili wykonania rozkazów »Burego« dotyczących aprowizacji oddziału, a jeden z młodych mieszkańców uderzył kamieniem »Rekina«. To wszystko spowodowało, że »Bury« postanowił za karę spalić wieś”. Zdaniem „ekspertów” usprawiedliwia to postępowanie Rajsa.

Racja tylko po stronie sprawców

Krajewski i Wąsowski widzą zbrodnie tylko z perspektywy sprawców. Relacjom świadków nie dają wiary. „Uznajemy je za nieprawdziwe, dyktowane zapotrzebowaniem propagandy komunistycznej w czasie procesu »Burego« i »Rekina«, a także głęboką niechęcią czy wręcz nienawiścią zeznających świadków do partyzantów 3. Brygady NZW, utrzymującą się zarówno wówczas, jak i w latach późniejszych”.

O wymordowaniu we wsi Puchały Stare furmanów uprowadzonych przed spaleniem Zaleszan piszą natomiast wyłącznie na podstawie relacji z rozmowy, jaką przekazał im partyzant AK-WiN. Anonimowy weteran podziemia był ponoć znajomym Józefa Korzeniewskiego „Osy”, dowódcy drużyny w 3. Wileńskiej Brygadzie NZW. Jedna relacja służy im do podważenia wyników kilkuletniego śledztwa, w którym przesłuchano dziesiątki świadków. Niewielu odbiorców propagandy IPN czyta prace naukowe, na które powołują się jego funkcjonariusze, żeby móc ocenić wagę i prawdziwość ich argumentów. Ważne jest tylko to, że artykuł istnieje.

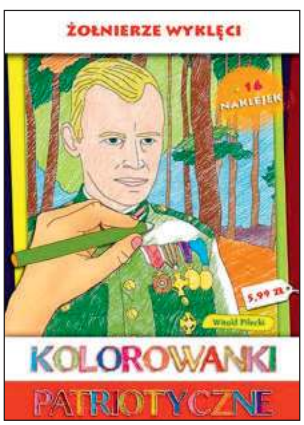

„Żołnierze wyklęci” są bohaterami książeczek dla dzieci.

Krajewski zresztą nie po raz pierwszy wykorzystał anonimową relację. Zrobił tak już w 2006 r., gdy „Biuletyn IPN” opublikował jego artykuł o zbrodni na Żydach w Sokołach przypisywanej Kazimierzowi Kamieńskiemu „Huzarowi”. Krajewski powołał się wtedy na anonimowego „ze zrozumiałych względów” weterana, by obalić wnioski badawcze oparte na zeznaniach „Huzara” i relacji świadka, który przeżył napad. „Zatajenie tego nazwiska dla mnie zrozumiałe nie jest, a niepodanie daty złożenia relacji to brak profesjonalizmu”, polemizował badacz Holokaustu dr Dariusz Libionka. Co ciekawe, sam Krajewski w 1997 r. opisał zbrodnię jako akcję „Huzara” i „Zemsty” wymierzoną w czterech „szpicli NKWD”, podczas której w wyniku zamieszania zastrzelono siedem osób, w tym dziecko. Do 2006 r. nie wspomniał o innych źródłach niż Księga Egzekucji Obwodu nr 5 AK.

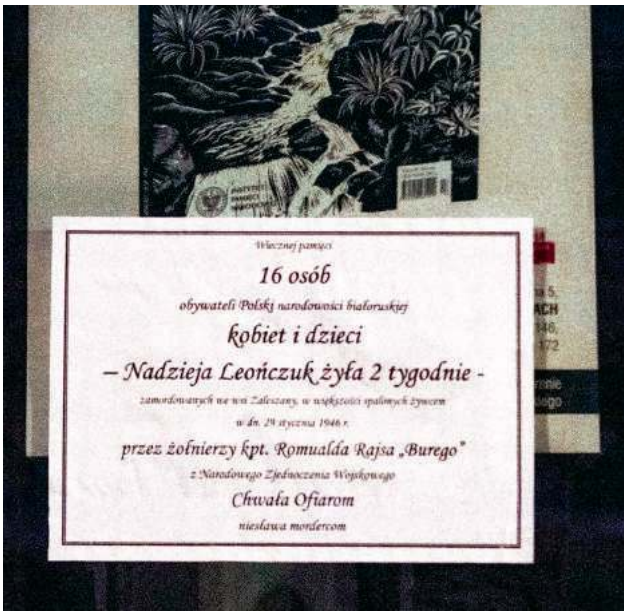

Czym zawiniła żołnierzom „Burego” dwutygodniowa Nadzieja Leończuk zamordowana w Zaleszanach?

„Nowe ustalenia” Krajewskiego, Wąsowskiego i Ostapiuka reklamował Jan Pospieszalski w TVP 1.

Trzy bitwy „Burego”

Najciekawsze „odkrycia” Krajewskiego i Wąsowskiego dotyczą wydarzeń w Zaniach, Szpakach i Końcowiźnie. Ich zdaniem były to starcia partyzantów z uzbrojonymi wieśniakami. Dziwnym trafem zginęli w nich wyłącznie mieszkańcy dwóch pierwszych wsi – wszyscy wyznania prawosławnego. Nie poległ ani jeden partyzant, mimo że wieś Szpaki była rzekomo fortecą bronioną przez dwa cekaemy. „W Szpakach, zamieszkiwanych wówczas przez blisko setkę osób, w ogromnej większości prawosławnych, zorganizowana była zbrojna »czerwona« grupa, w skład której wchodzili m.in. mężczyźni należący w okresie okupacji niemieckiej do sowieckiej partyzantki”, piszą „eksperci”. Nie przejmują się tym, że powołana przez Powiatową Radę Narodową w Bielsku Podlaskim nadzwyczajna komisja, która 3 lutego 1946 r. spisała straty materialne i osobowe, nie stwierdziła, by ktokolwiek w Szpakach miał broń w chwili zdarzenia. Taka informacja pojawia się tylko w meldunku WiN. Została jednak uznana przez autorów za pewnik. A za niezbity dowód zbrodni mieszkańców Szpaków na polskich żołnierzach w 1939 r. ulotka o treści: „Za strzelanie do żołnierzy polskich i oddziałów partyzanckich! Śmierć zdrajcom ojczyzny!”.

W Końcowiźnie natomiast nikt nie zginął. Zdaniem Krajewskiego dowodzi to, że nikt nie znajdował się na liście osób przeznaczonych do likwidacji. W rzeczywistości wszyscy mieszkańcy zdążyli uciec przed oddziałem „Burego”. „Eksperci” w ogóle nie wspominają o dowodach na istnienie takiej listy. Ani o tym, kto spośród 79 zamordowanych rzekomo się na niej znajdował.

FOT. MICHAŁ BOŁTRYK/PRZEGLADPRAWOSLAWNY.PL, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, FB/APART, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl b021c5f1c6

Następną zaatakowaną przez oddział Rajsa wsią były Zanie. Tam rzeczywiście znalazła się broń. Istnieje nawet relacja, zgodnie z którą jedna osoba oddała kilka strzałów z karabinu na widok napastników, po czym się ukryła. Tylko tyle i aż tyle. To jednak wystarczy, żeby Krajewski i Wąsowski stwierdzili: „Można sądzić, że także inni mężczyźni z Zań posiadający broń – użyli jej". Problem w tym, że potwierdzenie tej tezy znajduje się wyłącznie w zeznaniach Kazimierza Chmielowskiego „Rekina", które złożył jako oskarżony. Autorzy sugerują, że również w Zaniach doszło do bitwy: „Partyzanci nie zawsze zastanawiali się, do kogo w ciemności strzelają (opisywane wydarzenia w Zaniach rozegrały się po zapadnięciu zmroku). Sytuacja ta przyczyniła się do powiększenia strat wśród mieszkańców".

Zaplanowana akcja

Komunikat IPN podważający zbrodniczą działalność „Burego" nie jest dziełem przypadku. O ile bowiem osoby o skrajnie prawicowych poglądach są w instytucie od lat, o tyle po przejęciu władzy przez Prawo i Sprawiedliwość ich grono znacznie się powiększyło. Również na najważniejszych stanowiskach. Prezes IPN dr Jarosław Szarek twierdził już, że pogromu w Jedwabnem dokonali Niemcy, a bitwa pod Legnicą była sukcesem polskiego oręża. Takie rewelacje bynajmniej nie dziwią. Kolegium IPN, które wybrało Szarka na to stanowisko, jest opanowane przez ludzi ze środowiska Radia Maryja. Nie decydują kompetencje, lecz nastawienie ideologiczne. W ten sposób do IPN trafia coraz więcej prawicowych radykałów. Na przykład wicedyrektorem wydawnictwa jest Arkadiusz Wingert, który wydawał w przeszłości książki negacjonistów Holokaustu Davida Irvinga i Franza Kurowskiego czy dowódcy SS Wallonien Léona Degrelle'a.

Krajewski i Wąsowski nie są zresztą pierwszymi funkcjonariuszami IPN, którzy usprawiedliwiają „Burego". Bogusław Szczepan Łabędzki (starszy inspektor w IPN, radny powiatu hajnowskiego oraz prezes Stowarzyszenia Historycznego im. Danuty Siedzikówny „Inki"), z wykształcenia katecheta, publicznie głosi, że jedynym „miarodajnym orzeczeniem" w tej sprawie jest wyrok sądu wojskowego z roku 1995, który uznaje wszystkie zbrodnie „Burego" za „walkę o niepodległy byt państwa polskiego". Dr Tomasz Panfil z lubelskiego oddziału IPN usprawiedliwił zbrodnię „warunkami wojennymi" i uznał, że oddział musiał ją popełnić, żeby móc się bezpiecznie poruszać.

Komunikat jest też logiczną konsekwencją uprawianej przez PiS polityki historycznej, czego wyrazem są choćby organizowane w Hajnówce marsze, podczas których gloryfikuje się „Burego". Ani PiS, ani żaden podległy tej partii ośrodek badawczy zajmujący się polityką wschodnią, np. Ośrodek Studiów Wschodnich, na niego nie zareagowały.

Co więcej, wydaje się, że akcja wybielania „Burego" była dobrze zaplanowana. Jeszcze tego samego dnia, w którym ukazał się komunikat, Kazimierz Krajewski, Grzegorz Wąsowski i Michał Ostapiuk, a także Romuald Rajs – syn „Burego", relacjonowali „nowe ustalenia" w programie „Warto rozmawiać" Jana Pospieszalskiego w TVP 1.

Pracownicy pionu śledczego IPN zwrócili uwagę, że do podważenia umorzonego śledztwa jest potrzebne wszczęcie procedury prawnej. Sąd Okręgowy w Białymstoku podtrzymał 18 listopada 2005 r. postanowienie IPN i uznał, że „zabójstwo członków określonej grupy narodowej i wyznaniowej, w tym kobiet i dzieci, choćby tylko pod pozorem uzyskania wyższych celów politycznych czy niepodległościowych – nie daje się usprawiedliwić żadną racją i jest zbrodnią ludobójstwa". Wyniki śledztwa są więc usankcjonowane sądownie i oświadczenie na stronie internetowej nie może ich podważyć. „Komunikat nie ma mocy prawnej – podkreślił szef pionu śledczego IPN prok. Andrzej Pozorski. – Na ten moment nie widzę podstaw do podjęcia śledztwa na nowo".

Nie zmienia to faktu, że Instytut Pamięci Narodowej – ukochane i szczodrze finansowane przez partię Kaczyńskiego dziecko – stał się problemem dla rządzących. Wplątuje PiS, i przy okazji Polskę, w międzynarodowe skandale uderzające w naszą rację stanu. Po wywołaniu konfliktów z USA i Izraelem podłożył bombę pod stosunki polsko-białoruskie.

W sprawie IPN partia Kaczyńskiego ma jednak związane ręce, nie może zmienić jego ludzi ani działań, bo gdyby chciała tego dokonać, musiałaby zaprzeczyć swojej polityce historycznej, stanowiącej jeden z jej filarów. Instytut pozostanie więc w niezmienionej formie. A to oznacza, że wywoła jeszcze niejeden skandal o międzynarodowym oddźwięku, nie mówiąc już o gwałcie na historii Polski.

Jakub Woroncow

CZYTELNIKU,
kupując nasze książki
wspierasz „Przegląd"

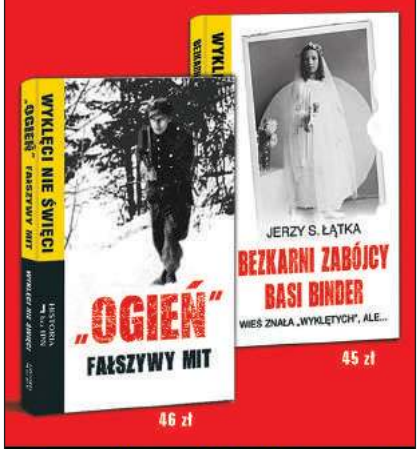

Prawda o „Wyklętych"

ZABIJALI, GWAŁCILI, OKRADALI

Pomóż nam działać!
Kup książkę
lub przekaż darowiznę.
Zebrane środki przeznaczymy
na sfinansowanie nowych
projektów wydawniczych.

Wpłat prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok.7

Wpłat darowizny można
dokonywać także on line na
www.tygodnikprzeglad.pl

Dziękujemy!
Liczy się każda złotówka

eprasa.pl b021c5f1c6

Rozmawia Robert Walenciak

CZAS PRZEBIERAŃCÓW

Polityka dzisiaj opiera się na pogardzie dla prawdy. A pojęcie kłamstwa zostało zastąpione pojęciem narracji

PROF. STANISŁAW FILIPOWICZ

– wiceprezes Polskiej Akademii Nauk

Gdy ostatnio rozmawialiśmy, a było to kilka lat temu, bardzo narzekaliśmy na otaczający nas świat. Mówiliśmy, że króluje prawo do bezmyślności, zamę. Patrząc na rok 2019, mam wrażenie, że i tak zachowywaliśmy w narzekaniu umiar.

– To nie były narzekania, tylko przewidywania. Zbyt ostrożne. Wszystko potoczyło się szybciej i gdzieś dalej.

CZY POZA PRZEBRANIAMI ISTNIEJE COŚ JESZCZE?

Dziś panuje jeszcze większy chaos, zniknęło pojęcie prawdy, zastąpiła je narracja.

– Rzeczywiście dokonała się pewna fundamentalna zmiana, która, mówiąc najkrócej, polega na tym, że polityka opiera się na pogardzie dla prawdy. A pojęcie kłamstwa zostało zastąpione pojęciem narracji. W momencie kiedy znajdujemy się w jakiejś niewygodnej sytuacji, posługujemy się tym słowem. Żeby odwrócić uwagę od zarzutów, żeby stworzyć zupełnie inny, nowy obraz.

I siebie w nim!

– Bo to kamuflaż. Narracja jest naszym przebraniem. To są, można powiedzieć, jakieś stroje maskujące naszą autentyczną tożsamość. A to oznacza, że wszyscy żyjemy w świecie iluzji. Pytanie jest więc takie: czy poza przebraniami istnieje coś jeszcze? I jest na nie odpowiedź, najbardziej ponura – słynna praca Guy Deborda „Społeczeństwo spektaklu". Że najpierw jest spektakl, a dopiero potem powstają realia, które stanowią jego odzwierciedlenie. Czyli najpierw wymyślamy siebie na różne sposoby, a dopiero potem to się dzieje. Najpierw powstaje wersja propagandowa programu politycznego, polityki, a potem, w ramach tej narracji, dostosowywane są do niej realia.

Przebieramy się więc za potomków „żołnierzy wyklętych", za twórców Międzymorza, o tym opowiadamy, realia traktując jako rzeczy drugorzędne.

– Nietzsche już bardzo dawno temu zwrócił uwagę na to, że współczesny Europejczyk, a mówił to w latach 80. XIX w., jest przebierańcem. Całą historię traktuje jako magazyn kostiumów. I nieustannie te kostiumy zmienia, bo we wszystkim jest mu nie do twarzy. A robi tak, bo w gruncie rzeczy nie ma twarzy. Buduje siebie poprzez jakieś rozpaczliwe zabiegi utożsamienia, wykorzystując różne rekwizyty. Czyli poruszamy się w świecie rekwizytów! Uczestniczymy w widowisku, które nie pozostawia żadnego trwałego śladu. Co się dzieje w polskiej polityce? Wszystkie tematy umierają po kilku godzinach albo dniach. Sprawy, które miały być wielkim skandalem, wywołać wstrząs, nagle tracą wagę, okazuje się, że nikogo już nie interesują. Dlaczego? Bo nie ma w nich autentycznego ciężaru, nie mają żadnej materii.

KICZOWATA EMFAZA UPROSZCZEŃ

A może ta materia jest, tylko my nie mamy narzędzi, żeby to sprawdzić? Panuje taki szum informacyjny, że trudno się rozeznać, co jest ważne, a co nie.

– Wiemy niestety, że przesunięcie polityki w kierunku propagandy oznacza przesunięcie na tory popkultury. Bo propaganda wykorzystuje schemat reklamy. Polityka staje się jednym z elementów popkultury i przyjmuje taki styl obrazowania, taką logikę działania, że najważniejsze jest epatowanie odbiorcy, jego zaskakiwanie. Najważniejsze jest osiągnięcie efektu! Ale to nie ma nic wspólnego z przekonywaniem! Tu chodzi o uruchomienie emocji.

To jest celem przekazu.

– Liczą się emocje, chwile uniesienia, które rodzą bardzo powierzchowne przekonania, przeświadczenia. Można nimi łatwo manipulować. Nie ma więc miejsca na myślenie, ono staje się niepotrzebne. Bo zakłóca tryb działania, który prowadzi do przekazu reklamowego. My dzisiaj, jeśli chodzi o przedsięwzięcia polityczne, komunikujemy się na płaszczyźnie kiczu. Zwracał na to uwagę Milan Kundera, jeszcze w XX w., że kultura masowa stwarza preferencje dla kiczu, które powodują, że przestajemy rozumieć wszystko to, co kiczem nie jest. Oczekujemy tej kiczowatej emfazy uproszczeń, powtórzeń, stylizacji, aranżacji. I jeśli zaczyna tego brakować, uznajemy, że przedsięwzięcie jest chybione, nie ukazuje istoty rzeczy. W taki sposób organizowane są wszystkie akcje polityczne. One muszą wzruszać, musi być jakiś melodramat, musi być w tym jakaś rzewna puenta, uniesienie. Wszystko prócz trzeźwości, prócz rzetelnego namysłu. Ale jeżeli idziemy w takim kierunku, musimy sobie powiedzieć, że to oznacza upadek tego, co ongiś nazywaliśmy demokracją.

Stanisław Filipowicz – profesor na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego. Do najważniejszych jego prac należą: „Mit i spektakl władzy", „Pochwała rozumu i cnoty. Republikańskie credo Ameryki", „Demokracja. O władzy iluzji w królestwie rozumu", „Galimatias. Zaprzepaszczony sens Oświecenia", „Demokracja. Interpretacja wyznania wiary", a także opublikowana niedawno przez wydawnictwo Peter Lang książka „Truth and the Will to Illusion".

eprasa.pl b021c5f1c6

Dlaczego?

– Demokracja jest po anglosasku rozumiana jako ustrój wolności. Opiera się on na idei rządów prawa, na trójpodziale władzy, na uznaniu nienaruszalności praw jednostki. Taki ustrój wymaga pewnych zdolności intelektualnych i moralnych obywateli, mówiąc staromodnie – pewnych cnót. Zdolności intelektualne oznaczają pewien typ dociekliwości i rzetelności i to bezpośrednio łączy się ze zdolnościami moralnymi. Do prawdy może dojść tylko ten, komu na prawdzie zależy. W kręgu tego typu wyobrażeń, przekonań, że powinniśmy angażować się po stronie prawdy i respektować zasady, które tworzą osnowę porządku moralnego, kształtowała się idea debaty. Ona nigdy nie była traktowana jako forma objawienia i definitywnego rozstrzygnięcia. Wszyscy od początku zdawali sobie sprawę, że są bariery, ograniczenia, ale przyjmowaliśmy, że chcemy pójść w tym kierunku. Że demaskowanie kłamstwa i fałszu, demaskowanie ludzkiej głupoty jest rzeczą potrzebną i możliwą. I to się zmieniło.

TAK UMIERA DEMOKRACJA

Odpuściliśmy sobie szukanie prawdy?

– Obracamy się wokół pojęcia postprawdy, narracji. To ciekawe – nawet najskrajniejsi relatywiści mówili, że mogą istnieć różne prawdy, ale samego pojęcia prawdy nie negowali. Nagle to zostało wycofane, stało się kompletnie niepotrzebne. W tym momencie zaczyna się załamywać sama koncepcja debaty. Po co mamy ze sobą rozmawiać, wyjaśniać różnice, dążyć do ustalenia stanu faktycznego, jeżeli nasze działanie polega jedynie na ekspresji, na wyrażaniu własnych poglądów, a poglądy te donikąd nie prowadzą?

Jeżeli nie szuka się prawdy, bo ma się swoją narrację, wtedy inne poglądy do niczego nie są potrzebne, wprost przeszkadzają.

– Skłonności do sugerowania się własnymi poglądami ludzie zawsze mieli. Ale teraz jest coś innego. Myślę o tym, w jak dewastującym tempie dokonała się zmiana, która oznacza, że kompletnie przestajemy się interesować tym, co myślą inni. Nie ma mowy, żebyśmy próbowali brać pod uwagę inny punkt widzenia! Załamuje się więc oczywiście cała koncepcja dyskusji, wymiany poglądów, która miała być znakiem firmowym naszej wolności. I ostatecznie – demokracji, jeżeli rozumiemy ją jako ustrój wolności.

A można ją rozumieć inaczej?

– Na pewno demokracja jest inaczej rozumiana w Korei Północnej. Jeżeli ktoś mówi tak jak pan Orbán o demokracji nieliberalnej, to też ją rozumie inaczej. Kiedy przestają nam być potrzebne pojęcia prawdy i otwartości, oznaczającej zgodę na to, żeby znaleźć się w kręgu inaczej myślących, cały ten projekt popada w ruinę, po prostu. Słucham czasami wypowiedzi różnych krytyków liberalizmu i demokracji liberalnej, Orbána… Moim zdaniem to są ruchy politycznych antyszczepionkowców. Bo tak naprawdę idea podziału władzy, idea rządów prawa jest szczepionką przeciwko despotyzmowi.

A my nie możemy przyjmować punktu widzenia antyszczepionkowców.

– Dlatego obrona fundamentalnych zasad demokracji liberalnej stanowi formę najoczywistszej lojalności wobec tradycji wolności. Jeżeli mielibyśmy mówić o sprawach polskich… Przecież pamiętam te wszystkie lamenty z czasów PRL, kiedy rozdzierano szaty: Polska, kraj Zachodu, cywilizacja Zachodu, kraj katolicki z rzymskimi korzeniami, została brutalnie poddana, zniewolona! A po jakimś czasie okazuje się, że to pragnienie wolności nie odgrywa wcale istotnej roli. Że można sobie wyobrażać życie oparte na innych zasadach, chociaż nie ma w tym już pierwiastka zniewolenia zewnętrznego, przemocy.

ZDEFORMOWANA KONCEPCJA WOLNOŚCI

Jakiej więc cywilizacji potrzebują Polacy?

– Myślę, że w kulturze kiczowatej emfazy pojawiają się różne monstra... Przepraszam, ale ci defilujący na piechotę husarze, których ręka częściej niż po miecz sięga pewnie po kebab albo smartfon – takie w końcu czasy – to jakiś obrazek pogmatwania i groteskowej brawury. W gruncie rzeczy – przerażający. On pokazuje, że przeszłości nie rozumiemy, że posługujemy się pełnymi parodii symbolami, budując w ten sposób jakąś pokraczną wersję tożsamości. Bo kim my jesteśmy? Husarią bez koni? I to jest przedmiot dumy, nasza nadzieja? Coś tu się dzieje bardzo dziwnego.

> Przesunięcie polityki w kierunku propagandy oznacza jej przesunięcie na tory popkultury.

Jedni przebierają się za husarzy, drudzy za ONR, za „żołnierzy wyklętych"…

– Czasami w rozmowach z młodymi ludźmi zwracam uwagę na to, że na szczęście nie mają pojęcia, co oznaczałoby przyjęcie punktu widzenia zwolenników nacjonalizmu. Niech sięgną do pism z okresu międzywojennego. Przekonaliby się wtedy, że powinni być tak samo ubrani, powinni to samo mówić, tak samo myśleć, salutować, robić mnóstwo innych rzeczy. Tymczasem są klasycznym przykładem

eprasa.pl b021c5f1c6

lewicowej emancypacji i beneficjentami pewnej dozy relatywizmu, który pozwala przyjmować bardzo różne pozy, robić wszystko w przekonaniu, że wszystko wolno. Czyli jest to jakiś postmodernistyczny kolaż, który przedstawiamy jako formułę tradycji narodowej. Groteska, można powiedzieć…

Dlaczego tak się stało, że przebieramy się jak w teatrze i nie używamy umysłu? Może po prostu świat liberalny nieuchronnie do tego prowadzi? Może do tego doprowadziła wolność?

– Wolność jest ogromnym wyzwaniem. Jej przekształcenie w przedmiot obrotu, który pojawia się w sferze powszechnej konsumpcji, doprowadziło do trywializacji, do przeinaczenia jej sensu. Jeżeli zastanawiamy się nad wolnością myśli czy wolnością słowa, to wolność myśli możemy realizować wtedy, kiedy myślimy. A to nie może mieć związku z bezmyślnością. Wykrzykiwanie haseł nie oznacza korzystania z wolności myśli. Jeżeli mówimy o wolności słowa, mówimy również o pewnym działaniu, które oznacza, że angażujemy się, inwestując w to pewien wysiłek. I znów nie chodzi o jakąś ekspresję, o naiwną emfazę, o skandowanie. Maria Janion, zastanawiając się na progu lat 90. nad przemianą obyczajów, nad tym, co się dzieje w szeroko rozumianej przestrzeni, którą tworzy kultura liberalna, podkreślała, że każda kultura poza swobodą ekspresji nakłada też pewne wymagania i oznacza zdyscyplinowanie. A myśmy o tej dyscyplinie zupełnie zapomnieli.

I co zostało?

– W skrajny sposób zdeformowana koncepcja wolności. Potraktowana jako łatwo dostępny produkt, który staje się przedmiotem powszechnego obrotu. Na zasadzie: wszyscy stajemy się wolni, kiedy dochodzimy do przekonania, że jesteśmy wolni.

A to nie tak?

– Z pewną ulgą myślę, że język polski pozwala nam widzieć tę różnicę – kolosalną! – między wolnością a dowolnością. Myślę, że pomieszano wolność z dowolnością, co doprowadziło do anarchizacji, do zamętu. A to sytuacja, w której świetnie odnajdują się demagodzy. Zaczynają wyśpiewywać swoje arie, pojawiają się te wszystkie fantastyczne obietnice. To, niestety, zawsze tak wygląda. Być może zabrakło nam zdyscyplinowania, być może pewną tradycję zlekceważono. Jeżeli pamiętamy o podstawach ustroju wolności, to rządy prawa są w istocie rządami rozumu. A rozum nakłada pewne wymagania, oznacza dyscyplinę, która wyklucza beztroskę, infantylny zapał i to, że przestajemy szanować jakiekolwiek reguły.

Ci defilujący na piechotę husarze to jakiś obrazek pogmatwania i groteskowej brawury.

Internet to dzikie pola pogardy, szyderstwa, atakowania autorytetów.

TO NIE JEST TRZECI WIERZCHOŁEK WŁADZY

Elementem demokracji liberalnej był mędrzec. Przez wszystkich uznawany autorytet, który rozsądzał sprawy. Nie ma już mędrców…

– To oznacza, że odrzucamy pewne wzorce i pewna epoka po prostu się kończy. Projekt ustroju wolności był związany z kulturą Oświecenia. A ona narzuca pewną koncepcję prawdy i pewną koncepcję jej uprawomocnienia. Jest związana z symboliką solarną. Światło dociera z wyżyn. Zawsze jest coś wyżej. Tak się rodzi idea autorytetu. Jest coś nad nami, należy więc do tego się odwoływać. W symbolicznym skrócie: to jest aura iluminacji. A konkretnie oznacza, że istnieje pewna hierarchia, a prawda stoi w porządku wertykalnym.

Czyli uznajemy autorytety. I ich opinie.

– A dziś, i to jest w istocie przerażające, cała logika sieci stała się logiką horyzontalną. To oznacza przekreślenie i odrzucenie koncepcji uwiarygodnienia, którą ukształtowała tradycja Oświecenia. Internet, co świetnie wiemy, to dzikie pola pogardy, szyderstwa, atakowania autorytetów. Jeżeli coś może mieć znaczenie, to tylko wtedy, gdy zostanie poparte przez większą liczbę zwolenników. Ale to nie ma już nic wspólnego z taką koncepcją działania, że są wyższe racje, większa wiedza i to wyższe piętro. W internecie nie ma wyższego piętra, są wszyscy, którzy mogą równocześnie uczestniczyć w obrzędzie kwestionowania prawdy. Niestety, to oznacza, że znaleźliśmy się w innych realiach. To już inaczej działa.

Ale chyba wciąż są instytucje, których autorytet jest uznawany.

– Kiedyś w Polsce w ten sposób, na pierwszym miejscu, przynajmniej w niektórych kręgach, mówiono o Kościele. Dzisiaj to raczej niemożliwe.

A uniwersytety?

–- W średniowieczu, kiedy się rodziły, mówiono, że to będzie trzeci wierzchołek władzy. Oprócz władzy świeckiej i duchownej będzie władza związana z potęgą rozumu ludzkiego. Dzisiaj jakiś tego ślad odnajdziemy w kulcie wiedzy naukowej, ale to kult pozorny. Bo nauka nie jest szanowana. Myślę, że wszyscy zapłaciliśmy cenę pewnej naiwności i wszyscy padliśmy ofiarą neoliberalnego entuzjazmu. Przekonania, że wyzwolenie miało charakter definitywny i że mechanizmy wolnego rynku samoczynnie stworzą taką harmonię, konfigurację, która pozwoli nam osiągnąć wszystko. Tymczasem okazało się, że owo „wszystko" podlega redukcji i to, co stanowi cenny pierwiastek – zanika. A mniej cenne pierwiastki zaczynają dominować.

O POTRZEBIE KUCHNI WYSZUKANEJ

Może dlatego, że taki jest klient? Masowy, średnio wykształcony, chcący rozrywki, zabawy. I prostych odpowiedzi.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS

eprasa.pl b021c5f1c6

– Na pewno tak. Ale istnieją też ci, którzy szukają innych rozkoszy. Mówię to z przekonaniem, bo obserwuję wciąż studentów, ich upodobania, ich przekonania. Bardzo wielu studentów obraża się, jeżeli słyszy, że dzisiaj nikt nie czyta książek. Są tacy! Trzeba ich odnajdywać, to jest zadanie! Mnie, jako przedstawiciela środowisk nauczycielsko-uniwersyteckich, martwi, że ludzie utalentowani mogą się gubić.

A mogą?

– Przestrzeń niezróżnicowania, pozornej jednorodności, którą demokratyczny ogół wytwarza, często ich deprymuje, nie pozwala działać w taki sposób, by mogli ujawnić swoje talenty i zainteresowania. W demokracji talent jest czymś podejrzanym, tak naprawdę liczy się równość. O czym na ważnym kongresie pewnej ważnej partii nam przypomniano… Pojawia się zatem wielka machina konformizmu przytłaczającego ludzi wyróżniających się. I teraz – co zrobić, żeby ich nie zgubić? Oto jest pytanie!

Taka jest przecież kultura masowa, która rządzi. Nastawiona na równość i przeciętność.

– Zwłaszcza w Polsce obsesje egalitarystyczne miały zbyt wielkie znaczenie i wpływały w sposób destrukcyjny na państwo i społeczeństwo. Idea równości szlacheckiej doprowadziła do absurdów, oznaczających paraliż władzy publicznej. Bo każda władza musi się opierać na jakimś rygorze zróżnicowania. Muszą powstawać rangi, hierarchie i nie mogą być kwestionowane, muszą być traktowane serio. Nie możemy pójść zbyt daleko torem obsesji równościowych. I myślę, że uniwersytet liberalny stał się takim uniwersytetem, który potraktował zbyt dosłownie ideę równości w sferze edukacji. Świetnie wiemy, że nie wszyscy pragną tego samego, nie wszyscy mogą to samo osiągnąć, jest zatem wielkim błędem tworzenie iluzji, pozoru ujednolicenia. To, że kondycja uniwersytetu stała się dziś, mówiąc najoględniej, problematyczna, w dużej mierze jest związane z tą nieprzemyślaną, szaleńczą wręcz demokratyzacją, która oznaczała otwarcie bram. I wszyscy znaleźli się na obszarach uniwersytetu, nawet w kilku miejscach naraz. To fatalne rozwiązanie.

> Wykrzykiwanie haseł nie oznacza korzystania z wolności myśli.

Na szczęście możemy zakończyć optymistycznie: jest grupa czytających książki, chcących dyskutować, rozwijać się.

– Jest! Owszem, człowiek gubi się w tym całym zamęcie popkultury, ale istnieje wiele mocnych punktów oparcia. Myślę i o publicystach, i o intelektualistach, myślę o tradycji nauczania związanej z uniwersytetem… Widzę i cieszę się, że przychodzą młodzi ludzie, tuż po maturze, dla których również to ma znaczenie. I nie można ich rozczarować, zawieść. Nie możemy tworzyć edukacyjnych fast foodów, powinniśmy raczej nastawić się na kuchnię wyszukaną, a przynajmniej gdzieniegdzie dbać o takie rozkosze.

Robert Walenciak

eprasa.pl b021c5f1c6

NAUCZYCIELE MAJĄ DOŚĆ

Rozmawia Katarzyna Wierzbicka

To ostatni moment na zmianę. Już nie o zarobki chodzi, ale o godność

MAREK PLEŚNIAR

– nauczyciel, działacz społeczny, dyrektor biura Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Kadry Kierowniczej Oświaty – największej w Polsce i krajach nowej Unii Europejskiej organizacji zrzeszającej dyrektorów szkół i placówek oświatowych, wizytatorów oraz urzędników samorządowych i kuratoryjnych.

8 kwietnia – czyli w tygodniu odbywania się egzaminów gimnazjalnych i tuż przed egzaminami ósmoklasisty – ma się rozpocząć ogólnopolski strajk nauczycieli. Co takiego się stało, że nauczyciele stracili cierpliwość właśnie teraz?

– Moim zdaniem zaskakuje już sam fakt, że w ogóle stracili cierpliwość.

Dlaczego?

– Polscy nauczyciele to najbardziej cierpliwa grupa zawodowa, jaką znam, a kolejne rządy wyrobiły w nich odporność na własne zniecierpliwienie. To pierwszy tak duży protest od 1993 r. Pamiętam, że wtedy za udział w strajku obcięto nam pensje, a i tak niczego nie wywalczyliśmy. To dodatkowo przyczyniło się do poczucia bezradności w tej grupie. Dlatego obawiałem się raczej, że nauczyciele nigdy nie stracą cierpliwości. Skoro to nastąpiło, to znaczy, że naprawdę doszliśmy do ściany.

Głównym postulatem strajkowym jest wzrost wynagrodzenia o 1000 zł. Poszło o pieniądze?

– Też, ale nie tylko. Nauczyciele zawsze zarabiali mało. Kiedy zaczynałem pracę w zawodzie, dostawaliśmy wynagrodzenie tak niskie, że bez pożyczki w połowie miesiąca nie miałem szans na utrzymanie siebie i rodziny. To się zmieniło z reformą ministra Handkego – wtedy pensje nauczycieli znacząco wzrosły. Trzeba też przyznać, że nauczyciele byli jedyną grupą zawodową, która dostała jakieś groszowe podwyżki na początku 2009 r. Z tym że były one na tyle małe, że inflacja dawno je pochłonęła. I to były ostatnie podwyżki w budżetówce na wiele, wiele lat.

A co z podwyżkami z 2018 r.?

– Ich kwoty mówią same za siebie: 121 zł dla nauczyciela stażysty, do 166 dla dyplomowanego. Po tych podwyżkach nauczyciel kontraktowy dostaje do ręki mniej niż 1900 zł, mianowany – 2965 brutto, czyli netto 2132. Dyplomowany – 2492 netto. Początkujący nauczyciel zarabia 54% średniej krajowej. Do tego dochodzą wprawdzie dodatki, ale one zależą od pieniędzy, jakimi dysponuje samorząd. W większości miast dodatek motywacyjny waha się między 50 a 200-300 zł. Najlepiej zarabiający wyciągają miesięcznie 2800-3000 zł na rękę – pod warunkiem że mają 30 lat pracy i pracują w gminie, którą stać na wysokie dodatki motywacyjne. Podobnie zarabiają dyrektorzy szkół.

Tymczasem według GUS przeciętne wynagrodzenie w grudniu 2018 r. wyniosło 5274,95 zł, czyli o 6% więcej niż rok wcześniej. Wynika z tego, że nie dość, że nauczycielskie pensje są niższe niż średnia krajowa, to – porównując je do nowej średniej krajowej – są niższe o 1-2% niż w zeszłym roku. Co oznacza, że nauczyciele nie tylko zarabiają mniej niż reszta obywateli, ale dostali też mniejsze podwyżki niż wszyscy inni. Kiedy w styczniu tego roku prosili MEN o 1000 zł podwyżki, ministerstwo odmówiło, powołując się na brak pieniędzy. Potem okazało się, że pieniądze są – tylko dla kogo innego.

Poza tym wiele wskazuje, że te podwyżki zostały sfinansowane *de facto* przez samych nauczycieli, bo towarzyszyły im zmiany w Karcie nauczyciela i likwidacja kilku dodatków. Według nowych zasad awansu zawodowego np. o stopień nauczyciela dyplomowanego można się ubiegać nie po 10, ale po 15 latach pracy. Czyli podwyżkę związaną z awansem też dostanie się później. To wszystko może do końca zniechęcić absolwentów uczelni do wybierania tego zawodu.

Mówi się jednak, że nauczyciele i tak mają nieźle z dwumiesięcznymi wakacjami i 18-godzinnym etatem.

– Te wakacje nie trwają wcale dwóch miesięcy, ale miesiąc, najwyżej półtora. Rady klasyfikacyjne, szkolenia, papierki, konferencje metodyczne, ewentualne egzaminy poprawkowe itd. – to wszystko odbywa się w okresie wakacyjnym. Dodatkowo większość szkół organizuje tzw. lato i zimę w mieście, na których dyżurują nauczyciele. Nie jestem wcale pewien, czy rekompensowanie żałosnych wynagrodzeń pięciotygodniowym urlopem jest tu sprawiedliwe.

Przekonanie, że nauczyciel pracuje, jedynie ucząc dzieci, jest mitem. Tu nawet nie chodzi o godziny, które spędza się na pracy w domu, a których nikt nie liczy. Zapomina się, że ten zawód polega przede wszystkim na tworzeniu relacji z uczniem i na ciągłym, uważnym kontakcie z nim. Nauczyciele spędzają z dziećmi w ciągu dnia tyle samo, a często więcej, czasu niż rodzice. To nauczyciel często jest pierwszą osobą, która zauważa, że z dzieckiem coś się dzieje, jest kimś pomiędzy przedstawicielem systemu a zna-

eprasa.pl b021c5f1c6

czącym dorosłym dla tych dzieci. Jeśli nie stawia się na nauczycieli, to tak naprawdę nie stawia się na dzieci. Ciągłe lekceważenie nauczycieli i obciążanie ich coraz to nowymi biurokratycznymi obowiązka-

Kiedy w styczniu nauczyciele prosili o 1000 zł podwyżki, MEN odmówiło. Potem okazało się, że pieniądze są – tylko dla kogo innego.

mi powoduje, że mają coraz mniej czasu na uważną relację z uczniem, a uczniowie są w szkole coraz bardziej osamotnieni. Dalsze deprecjonowanie tego zawodu na wielu polach sprawi, że selekcja do niego będzie negatywna, a nauczycielami będą zostawać osoby przypadkowe.

O czym świadczą te niewystarczające pensje?

– Pensje, które nam się proponuje, są najbardziej ewidentnym miernikiem tego, jak jesteśmy traktowani. Ale również tego, jak są traktowani polscy uczniowie. W Stanach Zjednoczonych przeprowadzono badania, które pokazały, że każdy dolar zainwestowany w oświatę daje 12-krotny zwrot. Nie da się dobrze organizować tego systemu za takie pieniądze, oszczędzając na płacach ludzi, od których on zależy.

Z drugiej strony nie o pieniądze tu chodzi. Polski nauczyciel w dużym stopniu przyzwyczaił się do ubóstwa związanego z tym zawodem i coraz mniejszego szacunku społecznego, ale naprawdę nie może znieść pracy w warunkach ciągłej frustracji i braku dialogu. Zaszczuty, deprecjonowany pracownik nie może być dobrym zawodowcem.

Na czym polega to deprecjonowanie?

– Do nas się mówi, ale się z nami nie rozmawia. Oczekuje się przy tym od nauczycieli, że będą się dostosowywać do każdej kolejnej zmiany. I oni to robią: kolejne reformy spowodowały np., że nauczyciele właściwie ciągle poszerzają swoje kwalifikacje. Trudno w tej chwili spotkać nauczyciela, który miałby tylko jedną specjalizację. Tymczasem to ciągłe dokształcanie nie daje im żadnego bezpieczeństwa. Przychodzi

Protest nauczycieli i pracowników oświaty z Katowic przed urzędem wojewódzkim 12 marca 2019 r.

nowy rząd i informuje, jak będzie. A my mamy to wykonać, najlepiej za półdarmo.

Wygląda to tak, jakby polscy nauczyciele, uczniowie i ich edukacja byli zakładnikami polityki.

– Bo tak jest. Polskiej edukacji od lat brakuje spójnej wizji – większość zmian wprowadza się powierzchownie, a one same są zbiorem chaotycznych reakcji na prawdziwe lub wymyślone oczekiwania elektoratu. Weźmy reformę sześciolatków: jeśli poprzedni rząd wiedziałby, po co ona jest, nie trzeba by było jej rozwlekać na kilka lat ze względu na niezadowolenie niektórych rodziców. Problemem nie była akurat ta reforma – z badań

Pensje, które nam się proponuje, są ewidentnym miernikiem tego, jak jesteśmy traktowani.

wynika, że dla dzieci rzeczywiście jest lepiej, kiedy idą do szkoły wcześniej. Problemem było to, że rząd najwyraźniej sam nie wiedział, po co ją przeprowadza. Tak jest za każdym razem – co rząd, to nowy pomysł. Tylko że oświata nie może się rozwijać bez wieloletniej, spójnej i konsekwentnie przeprowadzanej strategii.

Utworzenie gimnazjów miało wyrównywać szanse edukacyjne uczniów z całej Polski i ten cel został zrealizowany. Gimnazja były jedynymi szkołami średniego szczebla z porządnym wyposażeniem, które istniały w każdej gminie. W ciągu kilku lat po ich utworzeniu Polska doszła do pierwszej dziesiątki w rankingu Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju. To wszystko zostało rozwalone, ogromnym kosztem i właściwie bez merytorycznego powodu.

Ale chyba przed samą reformą doszło do jakichś konsultacji społecznych?

– Konsultacje były czysto fasadowe: organizowano spotkania, na które zapraszano przedstawicieli środowisk nauczycielskich, ale na zapraszaniu się kończyło. Na samych spotkaniach okazywało się, że nikogo nie interesuje, co nauczyciele mają do powiedzenia. Po czym minister Zalewska ogłosiła zakończenie „konsultacji" i przystąpiła do wprowadzania zmian w dokładnie takiej formie, w jakiej zamierzała je wprowadzić.

Z kolei kiedy wdrażanie reformy już trwało, spotkaliśmy się z minister Zalewską w Centrum Partnerstwa ▸

FOT. PIOTR KOWALSKI, TOMASZ KOWALSKI/EAST NEWS

eprasa.pl b021c5f1c6

Społecznego „Dialog”. Dyrektorzy szkół obecni na spotkaniu powiedzieli minister otwarcie, że – choć zupełnie nie zgadzają się z reformą – chcą uczestniczyć w jej przeprowadzaniu, żeby wszystko odbyło się z jak najmniejszą szkodą dla uczniów i w zgodzie z prawem oświatowym. Minister więcej się z nami nie spotkała.

Przedstawiciele rządu odwołują się teraz do nauczycielskiej odpowiedzialności za ucznia, która, ich zdaniem, wyklucza strajk w trakcie egzaminów.

– Po pierwsze, zorganizowanie dodatkowych terminów egzaminów jest w zasięgu kompetencji ministerstwa. A po drugie – nie chciałbym wpadać w zbyt górnolotne tony, ale ten strajk jest również w interesie polskiego ucznia. Jeśli nie przewrócimy tego stolika, uczniowie będą mieć gorzej, a nie lepiej.

Rozumiem, że chodzi o coś więcej niż sam chaos związany z okresem przejściowym między starym a nowym systemem?

– Warunki pracy nauczycieli są bezpośrednio skorelowane z tym, jak radzą sobie uczniowie. Pierwszą sprawą są właśnie te relacje i uważność, o których wspomniałem wcześniej, a na które mamy coraz mniej czasu i przestrzeni. Drugą jest samo kształcenie i jego efekty – każdy kolejny rząd dokłada coraz więcej do podstaw programowych, które w tej chwili są nie tylko szalenie przeładowane, ale i zwyczajnie niespójne.

Według danych Instytutu Badań Edukacyjnych właściwie niemożliwe jest przerobienie programu w ramach obowiązkowych godzin w szkole. Deklarowana przez nauczycieli liczba tematów rzeczywiście przepracowanych na lekcjach wahała się, w zależności od przedmiotu, między 40% a 60% w stosunku do całości programu.

– Co chwila ktoś się zastanawia, czego jeszcze można by dzieci nauczyć, jakie jeszcze zajęcia wprowadzić do szkół. Tylko nikt nie zadaje sobie pytania, czego nie trzeba uczyć, co można sobie darować. Nauczycielom narzuca się kolejne podstawy programowe, nie konsultując z nimi tych podstaw i nie tworząc odpowiednich warunków do ich realizowania. Jeśli nie zrealizują programu, zostaną z tego rozliczeni, co może mieć wpływ m.in. na ich awans zawodowy. Polski nauczyciel nie może więc uczniowi odpuścić. Dodatkowo ilość materiału do zrealizowania znacznie ogranicza mu wolność doboru ciekawej i skutecznej metody nauki.

Nawet nie chodzi o to, że nauczyciele pracują ostatnio więcej niż kiedyś – oni od kilku lat pracują na maksymalnych obrotach. Rzecz w tym, że to wszystko spada na ucznia, to on musi więcej przerobić w domu, to on będzie miał np. gorsze wyniki matury, jeśli program nie zostanie zrealizowany.

A jednak to do nauczycieli apelowała minister Zalewska w sprawie odciążenia dzieci, jeśli chodzi o prace domowe. I to nauczyciele są adresatami apeli o zrezygnowanie ze strajku w trakcie egzaminów.

– Komentarze niektórych przedstawicieli rządu na temat strajku i samych nauczycieli są tak niewiarygodne, że trudno nie odnieść wrażenia, że mają one nastawić rodziców i resztę społeczeństwa przeciwko nam. A szkoła jest przecież społecznością nauczycieli, uczniów i rodziców. Warunki naszej pracy determinują jakość życia dwóch pozostałych grup.

Patrząc na polską szkołę, można raczej sądzić, że nauczyciele są przeciwko rodzicom, rodzice przeciwko nauczycielom, a pośrodku tego wszystkiego jest uczeń, który musi wybrać, do którego obozu należy.

– Niestety, tak właśnie jest. Panuje w Polsce błędne przekonanie, że interesy nauczycieli oraz interesy uczniów i rodziców wykluczają się. Tymczasem jest odwrotnie.

Wmawianie ludziom, że strajk nauczycieli w tym terminie jest wyrazem ich nieodpowiedzialności, to zwykła manipulacja. Brak współpracy ze strony rządu jest dla nas upokarzający – pokazuje bowiem, że dla ministerstwa nie jesteśmy wystarczająco godnymi partnerami, by z nami rozmawiać, ale można nas obarczać dowolną odpowiedzialnością za kształt polskiej oświaty. A komentarze niektórych przedstawicieli rządu powodują jeszcze większy gniew nauczycieli; czujemy, że to ostatni moment na jakąkolwiek zmianę i że już nie o zarobki chodzi, ale o godność. Już dawno nauczyciele nie byli tak zdeterminowani.

Katarzyna Wierzbicka

Co rząd, to nowy pomysł. Tylko że oświata nie może się rozwijać bez wieloletniej, spójnej strategii.

Polski nauczyciel przyzwyczaił się do ubóstwa związanego z tym zawodem i coraz mniejszego szacunku społecznego.

Przekaż 1% podatku

STOWARZYSZENIE KUŹNICY

na Fundację „KUŹNICY” i „ZDANIE”

numer KRS: 0000300613

eprasa.pl b021c5f1c6

Z Galicji

Jan Widacki

LUDOBÓJSTWO

Polski Kodeks karny w art. 118 definiuje ludobójstwo tak: „Kto w celu wyniszczenia w całości albo w części grupy narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej, wyznaniowej lub grupy o określonym światopoglądzie, dopuszcza się zabójstwa albo powoduje ciężki uszczerbek na zdrowiu osoby należącej do takiej grupy".

Jeśli ktoś zamordował choć jednego Białorusina tylko dlatego, że był Białorusinem, jest wedle polskiego prawa ludobójcą. Swego czasu IPN przyznał, że „Bury" mordujący Białorusinów był ludobójcą. Teraz zmienił zdanie. Ohydne!

Domagamy się od Ukraińców, by potępili zbrodnie ludobójstwa popełniane przez UPA. Dziwimy się i oburzamy, że przychodzi im to z takim trudem. A my? Mamy w historii rzeczy piękne i chwalebne i jesteśmy z nich słusznie dumni. Ale mamy też rzeczy podłe. Nie potrafimy nie tylko ich potępić, ale nawet do nich się przyznać. Wydawało się, że Jedwabne było przełomem. Okazało się, że nie było. Teraz IPN wycofuje się z wydanej kiedyś słusznej oceny, że dzielny partyzant z Wileńszczyzny, jakim był Romuald Rajs „Bury", po wojnie, w styczniu i lutym 1946 r., w Białostockiem wymordował kilkadziesiąt cywilnych osób narodowości białoruskiej właśnie z „powodu ich przynależności do białoruskiej grupy narodowej o wyznaniu prawosławnym", co nosiło ewidentne znamiona ludobójstwa. „Bury" jest teraz dla IPN znów bohaterem. Zawróciliśmy z drogi, na którą z takim trudem dopiero wkroczyliśmy.

Wielkość narodu mierzy się także jego zdolnością do rozliczenia się z własną przeszłością. Wielki jest ten naród, który potrafi się przyznać do swoich win. Przemyśleć błędy, a nawet zbrodnie, i wyciągnąć z tego wnioski na przyszłość. Skrywanie win, pokrętne ich tłumaczenie, a tym bardziej kłamstwa i fałszowanie historii to oznaki małości i kompleksów.

Mitologizacja „żołnierzy wyklętych" jest gwałtem na historii. Ich dramat wymaga wyjaśnienia, nie mitologizacji. Tego wymaga nie tylko elementarna uczciwość, ale również troska o przyszłość narodu. Jaką nauczycielką życia ma być tak zakłamana historia?

Po 1945 r. większość Polaków przystąpiła do odbudowy zniszczonego wojną kraju. W takich warunkach, jakie były. Przy mocno ograniczonej suwerenności, ale przecież podnoszono z gruzów miasta, odbudowywano przemysł, szkolnictwo, uniwersytety, szpitale. Żołnierz AK Aleksander Gieysztor powiedział, że teraz trzeba robić uniwersytet, nie partyzantkę. Eugeniusz Kwiatkowski po raz kolejny w życiu przystąpił do odbudowy wybrzeża. Część Polaków została jednak w lesie. Z różnych motywacji. Jedni, bo chcieli z bronią w ręku doczekać III wojny światowej, w której rychły wybuch naiwnie wierzyli. Drudzy, bo może nie mieli innego wyjścia i bali się represji komunistycznych władz, inni, bo niewiele z sytuacji politycznej rozumieli, ale mieli zaufanie do swoich partyzanckich dowódców, a niektórzy, bo i tacy byli, bo polubili swobodę życia w partyzantce, poczucie nieokiełznanej wolności.

Wszystkich, bez względu na to, za sprawą jakich motywacji znaleźli się w lesie, czekał ten sam los. Wojna demoralizuje. Trzeba przeżyć, a żeby przeżyć, trzeba rekwirować żywność. Jak nie chcą jej dawać, trzeba brać siłą. Jak się bronią – zabijać. Dopóki partyzantka była siłą zbrojną podziemnego państwa, dowódcy wypełniali rozkazy wyższego dowództwa, a gdy wykonywano wyroki, były to wyroki sądów podziemnych. Ale podziemnego państwa już nie było. Dowódca każdego oddziału był sam sobie panem. To on decydował teraz o wszystkim. O życiu i śmierci również. To on wskazywał, kto jest wrogiem. On teraz wydawał wyroki śmierci na tych, których uznał za wrogów ojczyzny lub tylko swojego oddziału.

Nawet ci, którzy w lesie zostali z najszlachetniejszych motywów, musieli ulegać postępującej demoralizacji. Zbrojne podziemie skazane było na zbandycenie. To był dramat tych ludzi.

Dzielny partyzant, dowódca 1. Kompanii Szturmowej 3. Wileńskiej Brygady AK, później dowódca szwadronu w 5. Brygadzie, Romuald Adam Rajs „Bury", po rozwiązaniu AK nikomu już faktycznie nie podlegał. Pogotowie Akcji Specjalnej (PAS), w skład którego formalnie wchodził jego oddział, było strukturą luźną i samozwańczą. Nie było już praw ani sądów podziemnego państwa. Prawo stanowili poszczególni dowódcy i oni je egzekwowali. Ponieważ oddział nie miał dość sił, by toczyć walkę z regularnymi jednostkami Ludowego Wojska Polskiego, a tym bardziej wojska radzieckiego, jego działalność zbrojna polegała na aktach terroru. Zamachach na funkcjonariuszy UB, milicji, na działaczy partyjnych, czasem na członków ich rodzin, a czasem na przypadkowych ludzi, uznanych przez dowódcę za wrogów. Mordując prawosławnych Białorusinów, „Bury" był pewnie przekonany, że dobrze służy Polsce, umacniając polskość tych ziem. Podobnie zapewne myślał „Ogień", gdy mordował Słowaków na Spiszu. Ale służyli źle. Ich tragedią było zaś to, że nie miał im kto tego powiedzieć. Stali się ludobójcami.

Tym bardziej jednak trzeba to powiedzieć dziś. Tak się Polsce nie służy! A my nie potrafimy tego wyraźnie powiedzieć. Nie im, bo oni już nie żyją od dawna, ale tym młodym ludziom, którzy z dumą noszą koszulki z emblematami „żołnierzy wyklętych". „Wyklętych", których oficjalna propaganda stawia im teraz za wzór do naśladowania.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b021c5f1c6

Przemysław Prekiel

LEWICA RAZEM

Jeśli zakonserwuje się w Polsce duopol: Zjednoczona Prawica kontra Koalicja Europejska, może nastąpić koniec systemu politycznego, jaki znamy

Z lewicowego punktu widzenia w majowych wyborach do Parlamentu Europejskiego oprócz apanaży dla tych, którzy otrzymają lukratywną posadę na pięcioletnią kadencję, liczy się coś jeszcze. Zachowanie podmiotowości i tożsamości. Tę konieczność dostrzega koalicja Lewica Razem, czyli połączone siły partii Razem, Unii Pracy i Ruchu Sprawiedliwości Społecznej.

Polskie społeczeństwo jest egalitarne, choć mainstreamowe media robią wszystko, żeby temu zaprzeczyć. Media „narodowe" narzucają narrację w stylu: „Po jednej stronie jesteśmy my, po drugiej – obrońcy ciepłej wody w kranie". Z kolei redaktorzy Lis i Szubartowicz starają się na siłę, niekiedy pociesznie, udowodnić, że jedynie pod światłym przywództwem Grzegorza Schetyny jesteśmy w stanie zatrzymać marsz PiS. Bez względu na to, co będzie potem. Ten klincz będzie trwać tak długo, jak długo pozwolimy politykom i mediom narzucać sobie twierdzenia, że nie ma innego wyjścia, że są tylko te dwa bloki.

Co to za demokracja, jeśli nie ma wyboru? W liberalnej demokracji nie ma zmarnowanego głosu. Każdy głos jest tak samo ważny. Nie opowiadając się za żadną opcją, trzeba dziś wykazać się odwagą cywilną i narazić czujnym dziennikarzom kibicującym każdej ze stron. SLD abdykował i dołączył do Koalicji Europejskiej. Liderzy tej konstrukcji tłumaczą, że idą śladem Jarosława Kaczyńskiego, który w 2015 r. zjednoczył prawicę i zgarnął całą pulę. Takie porównanie to absurd. Bo jaka jest różnica między Kaczyńskim, Ziobrą, Jakim i Żalkiem? Żadna. Łączy ich wspólnota poglądów, a nie tylko chęć zdobycia władzy. Co zresztą jest czymś naturalnym w systemie demokracji parlamentarnej. A co łączy Schetynę i Czarzastego? Ten pierwszy opowiadał się za dekomunizacją, a partia drugiego uchyliła drzwi, zabierając prawa nabyte, a PiS w tej kadencji te drzwi domknęło. To PO w poprzedniej kadencji twierdziła, że nie ma pieniędzy na transfery socjalne, np. wsparcie w rodzaju 500+. Jeszcze w zeszłym roku lider SLD apelował publicznie do Grzegorza Schetyny: „Oszukańcu, nie kłam!". A następnie stwierdził: „Lider PO Grzegorz Schetyna nie chce i nie potrafi tworzyć sojuszy, jest niewiarygodny". Jak takie deklaracje mają dziś oceniać wyborcy lewicy, którzy nie chcą głosować na sojusz Schetyny?

Powstanie Koalicji Europejskiej jest motywowane publicznie perspektywą wyprowadzenia Polski z Unii Europejskiej przez PiS. Alternatywą ma być koalicja, która zachowa Polskę w Unii. Jak wykazują wszystkie badania, polskie społeczeństwo jest w dalszym ciągu euroentuzjastyczne, większość obywateli zdecydowanie opowiada się za obecnością naszego kraju w Unii. Dlatego fundamenty porozumienia zbudowane są na fałszywych przesłankach, cynicznie wykorzystywanych przez liderów Platformy Obywatelskiej. Nikt Polski z Unii Europejskiej nie wyprowadzi, ponieważ najzwyczajniej w świecie nikomu to się nie opłaci. PiS nie wyprowadzi nas z UE, ale skutecznie osłabia pozycję naszego kraju we wspólnocie. To jednak coś innego.

Wasalami Grzegorza Schetyny nie chcieli zostać Adrian Zandberg oraz jego koalicjanci: Waldemar Witkowski z Unii Pracy i Piotr Ikonowicz z Ruchu Sprawiedliwości Społecznej. Wszyscy trzej prezentują wysoki poziom intelektualny i przywiązanie do lewicowych wartości. Lewica musi być reprezentowana w tych wyborach, bo stawka jest ogromna. W tym roku dowiemy się, czy lewica, jako samodzielny i podmiotowy byt polityczny, będzie jeszcze w Polsce funkcjonować, czy też zniknie na wiele lat. Czy takie wartości jak demokracja, sprawiedliwość społeczna, równy dostęp do edukacji będą podnoszone w debacie publicznej. Jeśli zakonserwuje się w Polsce duopol – już w poszerzonym składzie – Zjednoczona Prawica kontra Koalicja Europejska, może nastąpić koniec systemu politycznego, jaki znamy. ■

eprasa.pl b021c5f1c6

WAŁBRZYCH WSTAJE Z KOLAN

Niegdyś pechowe miasto nabiera atrakcyjności

Wałbrzyszanie chcą, by ich miasto było znane z zabytków, zieleni i nieagresywnego przemysłu.

Violetta Waluk

To tu najpierw zaczęto likwidować kopalnie, nie bacząc na unikatowość złóż. Węgiel z wałbrzyskiego zagłębia był niezbędny do produkcji koksu. Kiedy go zabrakło, sprowadzano go nawet zza oceanu. Jak na ironię, także do koksowni w Wałbrzychu, bo ta obroniła się przed likwidacją. Przez długie lata Wałbrzych był symbolem miasta poszkodowanego przez przemiany ustrojowe.

Wałbrzyscy górnicy ostro wypominali swoje krzywdy, więc miasto kojarzyło się z głodówkami i innymi górniczymi protestami. No i z biedaszybami. Gdzie indziej również powstawały, ale o wałbrzyskich było najgłośniej. Takie miasto. W czasie jednego z protestów na Górnym Śląsku na transparentach znalazł się napis: „Nie chcemy żyć jak w Wałbrzychu". Wielu wałbrzyszan też nie chciało – i wyjeżdżali.

Obraz miasta przytłoczonego problemami nie pozwala przebić się do zbiorowej świadomości pozytywnym wieściom z Wałbrzycha. Od wielu lat działa tu specjalna strefa ekonomiczna. Okresowo oceniana jako najlepsza w kraju, ba – przodująca w Europie. Tak przedstawiał ją w 2011 r. „Financial Times". Także w kulturze bywało całkiem dobrze. Główna biblioteka w mieście była jedną z najnowocześniejszych w kraju, swego czasu miała szansę stać się wojewódzką, ale Wrocław nie odpuścił. Teatr Dramatyczny miał więcej szczęścia, zresztą jego osiągnięć nie dałoby się ukryć.

Od wielu lat w Wałbrzychu działa specjalna strefa ekonomiczna, oceniana jako najlepsza w kraju.

Był rok 2011. Wałbrzyska afera wyborcza, szczególnie bulwersujące kupowanie głosów za drobne kwoty i niewielkie korzyści materialne (podobno nawet za jedno piwo czy worek ziemniaków), stała się głośna w całym kraju. Sąd unieważnił wybory samorządowe. Ponieważ splamiła się głównie Platforma Obywatelska, Piotr Kruczkowski z tej partii, urzędujący prezydent i kandydat w feralnych wyborach, zrezygnował i z funkcji, i z kolejnego startu. Wałbrzych czekał więc na komisarza. Takie miasto – powtarzali sfrustrowani mieszkańcy.

I zjawił się, decyzją premiera Tuska, człowiek znany wałbrzyszanom, choć niezwiązany z lokalną polityką – dr Roman Szełemej, kardiolog. Tłumaczył później duże poparcie, jakim cieszył się w kolejnych wyborach, właśnie tym, że zaufanie zdobywał jako lekarz. Skoro nas wyciągnął z choroby, to i miasto postawi na nogi – uważali jego pacjenci. Naiwne, ale się sprawdziło. Zresztą Szełemej był nie tylko lekarzem. Jako dyrektor prestiżowego

FOT. TOMASZ GÓRA/MATERIAŁY PRASPE, A.GRUDZIEŃ

eprasa.pl b021c5f1c6

szpitala mógł się pochwalić dobrymi wynikami finansowymi. Wałbrzyska placówka była wówczas jedną z najmniej zadłużonych w kraju. Zarząd województwa dolnośląskiego zrobił tak sprawnego dyrektora pełnomocnikiem ds. reformowania służby zdrowia. Kiedy zaś Wałbrzych znalazł się w dramatycznej sytuacji, Tusk powołał go na komisarza. Pierwsze kroki nowego zarządcy wydały się wałbrzyszanom całkiem udane.

SPRAWA POWIATU

Jedną ze szczególnie zabagnionych spraw, jakie zastał Szełemej, była utrata praw powiatu. Po nowym podziale administracyjnym kraju Wałbrzych stracił status miasta wojewódzkiego. Na otarcie łez zostały prawa powiatu. Jednak ówczesne władze SLD-owskie przekonały mieszkańców, że formalna zamiana miasta w zwykłą gminę przyniesie korzyści. I tak stutysięczny Wałbrzych znalazł się w jednym szeregu z kilku- czy kilkunastotysięcznymi jednostkami. Obecnie co skrupulatniejsi wałbrzyszanie wyliczają, ile milionów stracili, choćby na remonty dróg. Ale wtedy władza się uparła.

Już następny prezydent Piotr Kruczkowski, z innej opcji politycznej, szybko rozpoczął starania o odkręcenie tej przemiany i powrót do statusu miasta na prawach powiatu. Okazało się to nie takie proste. Inne gminy od razu podnosiły krzyk, głównie o sprawy finansowe.

O absurdalności tamtej decyzji przekonany był również Roman Szełemej. W swojej poprzedniej kampanii wyborczej obiecywał, że starania o przywrócenie Wałbrzychowi dawnych praw doprowadzi do końca.

A co z długami powiatu z czasów, kiedy Wałbrzych był jego największą częścią składową? Miasto je przejęło wraz z majątkiem, głównie szkołami. Pieniądze poszły przecież na remonty i modernizację obiektów. Przynajmniej formalnie starosta wałbrzyski nie ma pretensji do przeprowadzonego rozwodu. A wałbrzyszanie mówili z uznaniem, że „co się innym nie udało, to nasz prezydent załatwił". Tych załatwionych spraw musiało być wiele, bo w ubiegłorocznych wyborach samorządowych prezydent miał jeden z najlepszych wyników w kraju – ponad 85% głosów.

BŁOGI SPOKÓJ

Dziś w radzie miejskiej panuje spokój. Klub wspierający prezydenta liczy 25 radnych. Pisowska opozycja ma pięć głosów. Złośliwcy mówią nawet, że żadnej dyskusji tam nie ma i rada przestała być radą. Komitet wspierający prezydenta wystawił kandydatów również do samorządów innych szczebli. W radzie powiatu ma ośmiu radnych, co stanowi najliczniejszy klub. Jednak połączenie sił PiS w liczbie trzech członków z sześcioma ziemi wałbrzyskiej dało prawicy jednogłosową przewagę i stanowisko starosty.

Tymczasem w wałbrzyskiej radzie miejskiej przewodnicząca Maria Romańska rozpoczęła drugą kadencję. Radną jest od 2011 r. Jak wspomina, najgorzej było na początku, kiedy trzeba było podejmować szczególnie trudne decyzje, np. o likwidacji szkół. Tak, dobrze pamięta te gorzkie uwagi nawet na ulicy, od przypadkowych przechodniów. Teraz jest zupełnie inaczej. Radni mogą chodzić z podniesioną głową.

Przewodnicząca rady, podobnie jak prezydent, jest lekarzem i pracuje w tym samym szpitalu co Szełemej. Romańska nie przyzna tego głośno, ale z pewnością to szef wciągnął ją do działalności samorządowej. Nadal jednak bardzo się angażuje w życie szpitalne. Właśnie informuje z satysfakcją o uruchomieniu nowego oddziału – hematologii, w której sama jest specjalistką.

BYĆ ULUBIEŃCEM

Popularny prezydent często udziela wywiadów. W poprzednich kadencjach regularnie spotykał się z mieszkańcami. Teraz zapewnia, że do tego wróci, bo to podstawa pracy samorządowca. Szełemej zresztą wykorzystuje różne okazje, aby pokazać łączność z mieszkańcami.

– Wałbrzych powinien stać się zwykłym miastem, zwykłym w najlepszym sensie tego słowa – odpowiedział prezydent Szełemej, gdy próbowałam go namówić na przedstawienie wizji przyszłości, może „wielkiego Wałbrzycha". – Wielki? Przecież tutaj wciąż wymagają rozwiązania podstawowe problemy cywilizacyjne. Choćby łazienki, których brak w mieszkaniu wcale nie jest rzadkością. Zresztą co tu mówić o tym najbardziej podstawowym wyposażeniu, skoro domy są kompletną ruiną. Pewnie, że nie wszystkie, ale wciąż spora ich część. Niedawno kolejny raz komisja rozważała, które z tych ruder jeszcze remontować i modernizować, a które już wyburzyć. Zapewnienie mieszkańcom godnych warunków życia to ważny punkt mojego programu wyborczego i konsekwentnie go realizuję – podkreśla.

Inne sprawy? Obwodnica wałbrzyska. Od ponad 20 lat trudno powiedzieć, że się buduje, raczej trwa w stanie zawieszenia. Pierwsze środki przyznano chyba jeszcze w czasach Sejmu kontraktowego, staraniem m.in. wszystkich wałbrzyskich posłów. A potem były przekręty, także wśród przedstawicieli najwyższych lokalnych władz, dochodzenia prokuratorskie, sprawy sądowe i wstrzymanie inwestycji. Niszczeją postawione niegdyś ekrany ochronne, a droga z częściowo utwardzoną nawierzchnią jest ulubionym miejscem spacerów i rekreacji. Bo otoczona lasem i łąkami, do tego blisko osiedla, świetnie nadaje się np. do pobiegania z psem. Niektórym pewnie będzie nawet żal, kiedy już starania prezydenta Szełemeja przyniosą skutek. On sam zaręcza, że fundusze zostały zapewnione i właśnie w konkursach są wyłaniani wykonawcy. Planowano zakończyć feralną budowę po 30 miesiącach, ale wiadomo, że potrwa dłużej.

Wcześniej może zobaczymy, jak sprawdza się Aglomeracja Wałbrzyska. Deklarację przystąpienia podpisało kilkanaście miast i gmin. Są wśród nich jednostki również spoza powiatu czy nawet granic dawnego województwa. Powołując się na dotychczasową współpracę i założenia programu rozwoju aglomeracji do 2020 r., sygnatariusze zobowiązują się do wspólnych działań. Ma być partnerstwo i dążenie do integracji terytorialnej. Przyjęto też przez aklamację, że liderem prac związanych z Aglomeracją Wałbrzyską jest prezydent Wałbrzycha. I dlatego Roman Szełemej pojechał do Brukseli na spotkanie z Elżbietą Bieńkowską, europejską komisarz ds. rynku wewnętrznego i handlu, oraz Coriną Creţu, komisarz ds. polityki regionalnej, w sprawie strategii rozwoju

eprasa.pl b021c5f1c6

Sudetów, przede wszystkim zaś tworzonego właśnie budżetu.

– Staram się tłumaczyć, że opinia o świetnie rozwijającym się Dolnym Śląsku nie jest tak do końca prawdziwa. Owszem, tak można mówić o Wrocławiu czy Legnicy, ale południe, te tytułowe Sudety, są biedne i w przypadku niektórych obszarów mocno zapóźnione. Tu potrzebne są fundusze na rozwój, na wyrównywanie poziomów. I wydaje się, że w Brukseli zaczynają to już rozumieć.

Można poza tym zauważyć zupełnie nowe zjawisko – Wałbrzych, niegdyś miasto pechowiec, staje się atrakcyjny dla innych jednostek administracyjnych. Dawniej żadna nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Świebodzice, rzut beretem od wałbrzyskich rogatek, wolały być w powiecie świdnickim. Obecnie trend się odwraca. Bywa, że zarządy poszczególnych jednostek oskarżają się nawzajem o chęć przyłączenia administracyjnego do Wałbrzycha. Przeciw takim pomysłom miał ostro protestować Krzysztof Kwiatkowski, starosta powiatu wałbrzyskiego. Okazało się jednak, że to była zwykła kaczka dziennikarska. – O przyłączeniu do Wałbrzycha nie mógłby pomyśleć nikt przy zdrowych zmysłach w Szczawnie czy Jedlinie. Utraciłyby wówczas status uzdrowiska, a to stanowi podstawę ich egzystencji. Co innego współpraca i wspólne działania. Za tym jestem całym sercem i szanuję lidera aglomeracji prezydenta Szełemeja – stwierdził starosta.

NIECO CIENIA

Dzień pracy kardiologa i prezydenta miasta w jednej osobie zaczyna się bardzo wcześnie. Jeśli akurat nie dyżurował na SOR, Roman Szełemej zjawia się w szpitalu o szóstej, może wcześniej. Załatwia bieżące sprawy, ustala dyżury. Ze względu na braki kadrowe sam bierze na siebie szczególnie niewygodne terminy. I dziwi się, że kiedyś po znacznie większej liczbie dyżurów czuł się mniej zmęczony niż obecnie. No cóż, czas upływa – konstatuje. Ze szpitala jedzie do urzędu i zaczyna dzień pracy prezydenta. Czy można te funkcje połączyć? Niektórzy koledzy lekarze uważali, że nie, bo obciążenie pracą jest wtedy ponad siły.

Dziennikarzowi z „Rzeczpospolitej" Szełemej zacytował opinię o sobie,

Roman Szełemej łączy obowiązki prezydenta i lekarza kardiologa.

że „gościu wziął się do rzeczy trudnej". A w naszej rozmowie stwierdził, że woli działać, niż gnuśnieć przed telewizorem. – Nie jestem zresztą pierwszy. Zdarza się, że lekarze łączą pracę z funkcją publiczną. Choćby prof. Zembala, kardiochirurg, będąc ministrem zdrowia w rządzie Ewy Kopacz, ani na chwilę nie zaprzestał działalności lekarskiej.

Wałbrzyszanie mają więc wyjątkowego prezydenta i raczej trudno byłoby spotkać kogoś, kto sądziłby inaczej. Starosta powiatu Krzysztof Kwiatkowski nie daje się namówić na dyskusję o działalności Szełemeja, po prostu wyraża się o nim z uznaniem, co szczerze dziwi prezydenta. Można więc przypuszczać, że różnie między nimi bywa.

W lokalnym politycznym grajdole wciąż się miesza i buzuje. Mirosław Lubiński, lekarz (Wałbrzych ma szczególne szczęście do ludzi tego zawodu zaangażowanych społecznie), który kandydował na prezydenta miasta w feralnych wyborach w 2011 r. i osiągnął w pierwszej turze najlepszy wynik (drugiej nie było), po dłuższej przerwie wrócił do polityki. Jest radnym sejmiku dolnośląskiego, ale z zarzutami o niezbyt czystą grę. Startował z listy PSL, choć „od zawsze" był związany z SLD. Do tego po wyborach dołączył do Bezpartyjnych Samorządowców i razem weszli w koalicję z PiS. W ten sposób Dolny Śląsk dostał się pod rządy tej partii. Wielu wałbrzyszanom to się nie podobało, bo doktor startował z ich okręgu.

Prezydent zdobywał zaufanie jako lekarz. Skoro nas wyciągnął z choroby, to i miasto postawi na nogi – uważali pacjenci

Lubiński, broniąc się, mówi, że dla niego liczy się interes regionu. I tak go pojmował, łącząc się z partią rządzącą. Podobnie rozumie powstanie Aglomeracji Wałbrzyskiej i ceni działania Szełemeja. Nie wszystko jednak mu się podoba u dawnego kontrkandydata. Nie ma żadnej dyskusji w radzie, żadnego głosu sprzeciwu. W Wałbrzychu są realizowane wizje i pomysły jednego człowieka, a przecież nie zawsze musi mieć rację.

Z kolei Marek Rząsowski (PO), długoletni radny, dziś poza samorządem, w ubiegłej kadencji krytykował prezydenta na forum rady, teraz robi to w lokalnej telewizji. Przede wszystkim za ogromne zadłużenie miasta i politykę w sprawie żłobków i przedszkoli. W tym ostatnim nie jest tak do końca obiektywny, bo prowadzi niepubliczne przedszkola. Miasto dąży do ograniczenia ich liczby, zastępując je placówkami samorządowymi. Rząsowski twierdzi, że to nieracjonalne, bo o wiele taniej jest dofinansowywać miejsca w przedszkolach i żłobkach niepublicznych. Tymczasem w Wałbrzychu dopłaty są zaniżane. Tak bardzo, że sprawa trafiła do sądu. – I wygrałem – ogłosił niedawno Rząsowski.

– Czy Wałbrzych jest jedynym zadłużonym miastem? – odpowiadał prezydent. Przecież pozwoliło to na przeprowadzenie wielu niezbędnych zmian w mieście. Obaj recenzenci prezydenta stwierdzają, że co najmniej 80% jego działań jest słusznych. A pozostałe – no cóż, zobaczymy, do czego doprowadzą.

Widzowie telewizyjnych prognoz pogody chyba już zapamiętali widok dostojnego zamku Książ – to oświetlonego słońcem, to znów otulonego mgłą. Ta część Wałbrzycha jest chętnie odwiedzana przez turystów. Majowe Święto Kwiatów ściąga tylu gości, że trasa dojazdowa korkuje się zaraz za Świebodzicami. Wałbrzyszanie chcą przekazać taki obraz – miasta zieleni, zabytków i nieagresywnego przemysłu.

Violetta Waluk

eprasa.pl b021c5f1c6

ZNIKAJĄCE KIOSKI

Kryzys prasy drukowanej sprawił, że hiszpańscy kioskarze walczą o przetrwanie

Tomasz Skowronek

Na początku lat 90. Manolo w każdą sobotę bez większego trudu sprzedawał przeszło 1000 egzemplarzy „El País", najpopularniejszego dziennika w Hiszpanii. – Teraz w dobry weekend nie udaje mi się sprzedać nawet 100 sztuk, mimo że sprzedaż i tak jest wtedy najwyższa – wyjaśnia Manolo, który od 56 lat przez 362 dni w roku pracuje w kiosku na madryckim placu Santa Barbara. – Chociaż perspektywy są pesymistyczne, dalej będę robił to, co do tej pory, dopóki zdrowie mi na to pozwoli – deklaruje. – Moja rodzina zaczęła handlować gazetami w tym miejscu prawie 100 lat temu.

Choć Manolo ma już 72 lata, nie zamierza zamknąć kiosku i wciąż chce w ten sposób dorabiać sobie do emerytury. Co prawda, udało mu się wraz z żoną zgromadzić pewne oszczędności, ale musieli z nich skorzystać w czasie kryzysu, kiedy ich dzieci zostały bez pracy i trzeba było im pomóc. Jako kioskarz jest w stanie zarobić 800 euro miesięcznie.

PRACA BEZ WYTCHNIENIA

Firma badawcza Estudio General de Medios (EGM) podaje, że tylko w 2017 r. gazety straciły przeszło 850 tys. czytelników. Ofiarami kryzysu prasy drukowanej są również *kiosqueros*, czyli kioskarze, którzy powoli znikają z miejskiego krajobrazu. Dziennik „El Diario" alarmuje, że w ostatnich latach w Hiszpanii zamknięto aż 40% wszystkich kiosków, a według danych Krajowego Stowarzyszenia Sprzedawców Publikacji (Agrupación Nacional de Vendedores de Publicaciones – ANVP) tylko w 2017 r. upadło aż 1000 punktów sprzedaży. W Madrycie i okolicach w zeszłym roku zamknięto ponad 200 kiosków. – W niektórych dzielnicach działalność zawiesiła ponad połowa punktów z prasą – ze smutkiem przyznaje Rafael Artacho, prezes ANVP.

W mieście Móstoles, położonym 18 km od stolicy, mieszka nieco ponad 200 tys. osób. Dziesięć lat temu ANVP miało tu pod opieką 60 kiosków, do dzisiaj przetrwały zaledwie 24. – To tylko dane liczbowe, a przecież najgorsze jest to, że ludzie tracą w ten sposób źródło utrzymania – mówi szef ANVP. Tłumaczy też, że kiedyś zawód kioskarza zapewniał niezłe zarobki, podczas gdy teraz *kiosqueros* nie stać na zatrudnienie dodatkowego pracownika, a w najgorszych wypadkach zmuszeni są nawet zamknąć interes.

Jednym ze zlikwidowanych kiosków w Móstoles był ten prowadzony przez 62-letnią Maríę Jesús, która poświęciła tej działalności praktycznie całe swoje życie zawodowe. Dziś jest już na emeryturze i opiekuje się mężem cierpiącym na chorobę zwyrodnieniową stawów. – Musieliśmy zamknąć kiosk, ponieważ nie byliśmy w stanie pokryć wszystkich kosztów – tłumaczy. – Ale przynajmniej teraz możemy usiąść na tarasie w słońcu i wspólnie napić się kawy, nigdy wcześniej tego nie robiliśmy. Prasa wydawana jest codziennie, więc nie mogliśmy zamknąć kiosku nawet na jeden dzień. Otwierałam go o siódmej rano, a zamykałam o dziewiątej wieczorem. Pracowaliśmy na okrągło.

eprasa.pl b021c5f1c6

W 2017 r. zamknięto w Hiszpanii aż 1000 kiosków. Tylko w Madrycie i okolicach – ponad 200.

María ma rację. Wszystkie największe hiszpańskie dzienniki, takie jak „El País", „El Mundo", „ABC" czy katalońska „La Vanguardia", ukazują się siedem dni w tygodniu. Ich weekendowe wydania z różnymi dodatkami liczą nieraz nawet 100 stron.

KLIENT CORAZ STARSZY

Przez wiele lat kioski były jednym z tradycyjnych i nieodłącznych elementów ulic i placów Madrytu i innych miast. Hiszpanie, którzy zazwyczaj zaczynają dzień w barze, wcześniej wstępowali do kiosku, by kupić swoją ulubioną gazetę. Te dwa miejskie przybytki – kiosk i bar – były więc filarami każdej dzielnicy, częścią miejskiej i społecznej tkanki, reprezentującą śródziemnomorski styl życia.

Teraz kioski, podobnie jak prasa drukowana, są w poważnym kryzysie. Bez wątpienia jego główną przyczyną jest internet. Sieci społecznościowe, nowe technologie i niedawny kryzys gospodarczy – wszystko to w ostatnim dziesięcioleciu pogrążyło prasę drukowaną, a z nią i kioskarzy. Jednak prasoznawcy zgodnie przyznają, że problemem jest nie tylko internet. Wydawnictwom coraz trudniej sprzedać swoje produkty, więc szukają nowych punktów sprzedaży w sieciach handlowych i supermarketach. Niektóre dzienniki podpisały umowę z firmami sprzedażowymi (np. „El País" z Amazonem), dzięki czemu gazeta codziennie rano dostarczana jest bezpośrednio do domu czytelnika. Jeszcze inne tytuły prowadzą swoje internetowe wydania, które zazwyczaj są tańsze niż papierowe. Tym samym pawilony prasowe tracą monopol na handel dziennikami. Nie mniej ważne jest to, że w ostatnich latach gazety podrożały i straciły na wiarygodności.

Praktycznie zamarła również sprzedaż czasopism erotycznych czy związanych z branżą filmową i komputerową. Podobnie jak informacje z kraju czy ze świata, bardzo szybko umieszczane na portalach internetowych, treści tego typu są łatwo dostępne w sieci.

Największą grupę kupujących prasę drukowaną stanowią ludzie starsi. Jak twierdzą hiszpańscy *kiosqueros*, średni wiek ich klientów wynosi 60 lat.

CHIPSY ZAMIAST GAZETY

Zmniejszająca się sprzedaż prasy drukowanej sprawia, że wiele kiosków stara się poszerzyć ofertę. – Jesteśmy duszą dzielnic i szukamy alternatywy, aby przetrwać. Oprócz prasy musimy sprzedawać więcej napojów bezalkoholowych, słodyczy czy słonych przekąsek. Poza tym kioski stają się punktem odbioru korespondencji czy produktów zamawianych przez internet – mówi Artacho. Taka przemiana dotyczy kiosków nie tylko w Hiszpanii, ale i na całym świecie. Od jakiegoś czasu poza gazetami oferują one również chipsy, gumy do żucia, wisiorki, pocztówki, opaski na rękę czy inne pamiątki turystyczne.

– 15 lat temu sprzedaż gazet stanowiła ok. 80% dochodu. W tym roku więcej pieniędzy przyniosła mi sprzedaż napojów bezalkoholowych niż gazet – przyznaje Maximo Frutos, który prowadzi kiosk w Barcelonie. Tłumaczy, że w mieście Gaudíego, zwłaszcza w miejscach turystycznych, stoiska z prasą funkcjonują tylko dzięki sprzedaży pamiątek, breloczków, słodyczy, koszulek, magnesów i podobnych gadżetów. Nie zmienia to faktu, że w ciągu ostatnich kilku lat 53 z 338 kiosków działających w tej katalońskiej metropolii opuściło swoje rolety po raz ostatni. Stoisko Frutosa znajduje się na bardzo ruchliwej turystycznej ulicy Las Ramblas. Kiedyś było to popularne miejsce spotkań mieszkańców, dziś ulicę zapełniają turyści i sklepy z pamiątkami. Typowych punktów prasowych jest tu coraz mniej. Zamiast nich pojawia się sporo tzw. kiosków gastronomicznych, w których sprzedawane są wyłącznie naleśniki, lody, gofry, *churros* czy koktajle owocowe. Wielu mieszkańców nie lubi jednak nowych punktów usługowych tego typu – twierdzą, że psują ducha dawnej ulicy.

Władze stolicy Katalonii starają się utrzymać przy życiu dawną kulturę społeczną, której nieodłącznym elementem są uliczne kioski. Uruchomiono więc specjalny program pilotażowy, który ma zapewnić punktom z prasą nowe życie. W tym celu wybrano 10 nieczynnych stoisk i podjęto kroki, aby zachęcić osoby bezrobotne, z niepełnosprawnościami czy młode do zakładania spółdzielni i wspólnego prowadzenia kiosków.

Oprócz sprzedaży gazet, pamiątek i książek kolekcjonerskich kioski powinny działać także jako punkty informacyjne. Można w nich będzie naładować telefon komórkowy, elektryczny skuter lub rower. Stoiska mają również oferować darmowe wi-fi. Bo – jak twierdzą katalońskie władze – chodzi o to, aby kioski zaczęły funkcjonować jako nowoczesne punkty usługowe i dzięki temu mogły lepiej radzić sobie na coraz trudniejszym rynku. Kto wie, być może władze innych miast wezmą przykład z Barcelony. Stolica Katalonii bowiem wielokrotnie w historii stawała się tyglem nowych idei i inicjatyw obywatelskich, wymyślając twórcze reakcje na różne kryzysy. ■

Przez wiele lat kiosk i bar były dwoma filarami każdej dzielnicy.

Polska od 20 lat w NATO:
na kolanach przed Amerykanami.
Szczegóły klęczenia w nowym numerze tygodnika „NIE".

FOT. REX/EAST NEWS

eprasa.pl b021c5f1c6

NA ŚMIECIACH TEŻ MOŻNA COŚ ZBUDOWAĆ

Plastik uznawany za truciznę naszej planety dla wielu jest jedyną szansą na przeżycie

Mateusz Mazzini

Kto produkuje najwięcej plastikowych odpadów? Ubiegłoroczne badania składu Wielkiej Pacyficznej Plamy Śmieci, przeprowadzone przez naukowców z amerykańskiego Uniwersytetu Cedarville we współpracy z fundacją Ocean Cleanup, wskazały sześć państw, którym przypisano najwięcej pływających śmieci możliwych do zidentyfikowania pod względem pochodzenia. Wszystkie sześć to kraje azjatyckie. Od giganta przemysłowego, czyli Chiny, przez dużo mniejsze Sri Lankę i Wietnam, po tradycyjne raje turystyczne: Tajlandię, Filipiny i Indonezję. Inne badanie, zlecone przez fundację Ocean Conservancy zrzeszającą ekologów i filantropów, pokazuje azjatycką przewagę w śmieceniu w sposób jeszcze bardziej działający na wyobraźnię. Mianowicie do mórz i oceanów na całej planecie codziennie trafia 8 mln ton plastikowych śmieci. Połowa pochodzi z Azji Południowo-Wschodniej.

W tej części świata plastik jest wszechobecny. Nie tylko najwięcej się go produkuje, ale też zużywa. A co prawdopodobnie dla środowiska naturalnego najgorsze, importuje najwięcej śmieci do przetworzenia. Długo liderem w tym niechlubnym rankingu były Chiny, które przez 25 lat z rzędu utrzymywały pozycję światowego króla plastikowych śmieci. Odpady importowane stanowiły odpowiednik 12% rocznej krajowej produkcji śmieci w Państwie Środka. W liczbach bezwzględnych przekładało się to na ok. 10 mln dodatkowych ton plastiku, z którymi coś trzeba było zrobić. Jak donosi ONZ, aż trzy czwarte wszystkich plastikowych odpadów w Azji jest wtórnie przetwarzanych niezgodnie z przeznaczeniem albo wcale. Trafiają do rzek lub prosto do oceanów bądź są nielegalnie spalane. Albo wchodzą do codziennego obiegu. I to w tym miejscu stają się dla milionów ludzi podstawowym źródłem utrzymania i szansą na przeżycie.

Jednym z miejsc, w których najwięcej ludzi zarabia na życie, zbierając plastikowe odpady, jest Sri Lanka. Na tej niewielkiej wyspie na Oceanie Indyjskim funkcjonują setki, może tysiące małych, często rodzinnych firm zajmujących się utylizacją odpadów. Co bogatsi przedsiębiorcy dorobili się już floty miniśmieciarek i zatrudniają wielu zręcznych zbieraczy. Ci, których na własną firmę nie stać, najczęściej znajdują pracę w tej drugiej roli. Godzinami chodzą wzdłuż głównych dróg, po popularnych plażach, w okolicach ekskluzywnych ośrodków wypoczynkowych i największych atrakcji turystycznych, zbierając pozostawione przez przybyszów z Zachodu butelki, opakowania czy plastikowe słomki do napojów. Za kilogram takich odpadów mogą dostać ok. 20 rupii lankijskich, czyli

Bank Światowy szacuje, że ze zbierania śmieci może się utrzymywać od 100 do 250 mln ludzi na całym świecie.

eprasa.pl b021c5f1c6

40 gr w przeliczeniu na naszą walutę. Jeszcze kilka lat temu ich wynagrodzenie było nawet dwa razy wyższe, ale rosnące ceny paliwa potrzebnego do zasilania samochodów i coraz większe trudności z przemysłową utylizacją odpadów sprawiły, że opłacalność ich zajęcia spadła.

Nie znaczy to jednak, że nie mają czego zbierać. Na początku stycznia ub.r. wszedł bowiem w życie wprowadzony przez chińskie władze zakaz importu odpadów składających się z czystego plastiku w mniej niż 99%. Spowodowało to zaburzenie układu sił w światowej gospodarce recyklingowej. Śmieci, które do tej pory trafiały do Chin, zaczęły zalewać inne kraje regionu. Masa samych odpadów eksportowanych przez Stany Zjednoczone do Tajlandii wzrosła w 2018 r. o 2000% w porównaniu z rokiem poprzednim. Podobnie wyglądają statystyki dotyczące pozostałych państw Azji Południowo-Wschodniej, przyjmujących plastikowe śmieci z całego świata na skalę wręcz masową. Do odpadów pozostawianych przez turystów doszły teraz te, których nikt inny na świecie już nie chce.

Naukowcy Sadira Sittampalam i Ian Lockwood prowadzący badania wśród zbieraczy plastiku na Sri Lance nie mają wątpliwości, że nadmiar odpadów doprowadzi do katastrofy nie tylko ekologicznej, ale i społeczno-ekonomicznej w całej Azji Południowo-Wschodniej. Opisali oni działalność firmy Viridis zarabiającej na zbieraniu i sortowaniu plastiku. Co prawda, jej historia należy do bardziej udanych – rodzina prowadząca Viridis ma do dyspozycji dziewięć samochodów i zatrudnia kilkudziesięciu zbieraczy – jednak przyszłość tej firmy może być zagrożona. Coraz więcej odpadów na wyspie z jednej strony gwarantuje stały napływ surowca, z drugiej wymusza zmianę modelu funkcjonowania. Importowane śmieci zawierają bowiem najczęściej plastik dużo gorszej jakości, zanieczyszczony, nawet w jakimś stopniu już przetworzony. Na takich odpadach najtrudniej zarobić, bo do ich recyklingu potrzeba bardziej zaawansowanej technologii i większego parku maszyn. A tego na Sri Lance brakuje. W konsekwencji coraz więcej właścicieli punktów skupu plastiku czy firm recyklingowych zaczyna różnicować ceny surowca. To z kolei wprowadza konkurencję między samymi zbieraczami, rywalizującymi o „czystsze" śmieci.

Choć brakuje ścisłych danych na temat zbieractwa plastiku, Bank Światowy szacuje, że w ten sposób może się utrzymywać od 100 mln do nawet ćwierć miliarda osób na całym świecie. Statystyka ta obejmuje nie tylko

Na Sri Lance funkcjonują setki małych, często rodzinnych firm utylizacji odpadów.

indywidualnych zbieraczy, ale i osoby zatrudniane przez takie spółki jak Viridis lub ręcznie sortujące odpady na ogromnych, przemysłowych wysypiskach. To niemal zawsze ludzie skrajnie ubodzy, często dzieci. Zbieranie śmieci jest też w wielu przypadkach zajęciem rodzinnym – plastik do skupów noszą całe pokolenia.

W wielu miejscach Azji, przede wszystkim na subkontynencie indyjskim, coraz więcej osób szuka zarobku przy zbieraniu i utylizacji odpadów, bo zmiany klimatyczne uniemożliwiają im pracę w rolnictwie czy hodowli. Pogarszająca się jakość gleb, nieregularne i dużo dotkliwsze niż dawniej pory suche i deszczowe oraz cofanie się wybrzeży powodują, że o zysk z upraw coraz trudniej. Śmieci natomiast przybywa z każdym dniem.

Przerzucenie odpowiedzialności za utylizację odpadów na kraje biedniejsze i coraz większa liczba osób utrzymujących się ze zbieractwa oraz półlegalnego przetwarzania śmieci to oczywiście nie tylko problem Azji. Zanim plastik trafi na Wschód w ramach eksportu, musi zostać pozbierany i posortowany w kraju eksportującym. Wbrew pozorom nawet w Europie proces ten nie wszędzie przebiega w profesjonalnych sortowniach. Czarnym punktem na mapie jest Kosowo. Według danych Bałkańskiej Sieci Dziennikarstwa Śledczego właśnie przesortowane odpady, wysyłane najczęściej na Wschód, są największym dobrem eksportowym małego bałkańskiego kraju. Handel śmieciami przynosi zysk rzędu 40 mln euro rocznie.

Większość pracujących w tym przemyśle robi to jednak na czarno, samodzielnie lub z rodzinami przeczesując największe wysypiska i składowiska. Wśród nich jest 12-letnia Resmije, której historię opisał portal Balkan Insight. Dziewczynka z dumą opowiedziała reporterom, że w dobrym dniu jest w stanie zarobić nawet 6-7 euro. Najważniejszy jest dla niej czysty plastik, ale również papier lub nylonowe rajstopy. Za te odpady dostanie najwięcej w punktach skupu, które w Kosowie znajdują się niemal na każdym osiedlu. Stamtąd odpady trafiają albo do kolejnego pośrednika, albo do większych firm czy międzynarodowych korporacji, odpowiedzialnych za przesłanie ich do Azji. Tu też jednak daje się odczuć skutki chińskiego zakazu importu. Przerzucenie się na inne kraje oznaczało wyrobienie nowych kontaktów i znalezienie nowych odbiorców. Zanim tutejsze firmy zbudowały nową sieć partnerów, minęło trochę czasu, a Resmije i podobni jej zbieracze musieli na chwilę zapomnieć o kilku euro codziennej wypłaty.

Z drugiej strony są miejsca, gdzie zbieranie plastiku staje się zalążkiem pozytywnej rewolucji. Tak dzieje się chociażby na Haiti. Ten zdecydowanie najuboższy kraj na półkuli zachodniej ma ogromne problemy nie tylko z odpadami, ale także z dostępem do wody pitnej (ma go zaledwie 25% populacji). Zmianę

Przynieś nam butelki i opakowania, a wyślemy twoje dziecko do szkoły – oferuje Plastic Bank na Haiti.

w podejściu miejscowych do śmieci próbuje wprowadzić firma Plastic Bank, oferująca za odpady nie gotówkę, lecz usługi. Przynieś nam odpowiednio dużo butelek i opakowań, a ogrzejemy ci dom. Wyślemy dziecko do szkoły lub wydamy ci olej do gotowania i podstawowe produkty spożywcze. Tak w skrócie wygląda społecznie odpowiedzialny model wymiany, który na Haiti zdaje się działać coraz lepiej. Przy wsparciu międzynarodowych koncernów, m.in. technologicznego Della, Plastic Bankowi udało się zorganizować już 30 punktów przetwarzania odpadów, w których zatrudnienie znalazło 350 osób. Jak widać, na śmieciach też można coś zbudować. ■

FOT. SIPA/EAST NEWS

eprasa.pl b021c5f1c6

Ewa Nowakowska

WIELKA TRWOGA

Czy ktoś jeszcze pamięta, że ćwierć wieku temu obowiązek edukacji seksualnej został wpisany do ustawy nazywanej dziś kompromisem aborcyjnym?

Wydarzenia ostatnich dni przypomniały mi mało znaną piosenkę kabaretową Jana Wołka. Znikła z anten równie szybko, jak się pojawiła, bo autor szyderca zbyt boleśnie trafił w sedno plemiennej wrogości. Jej refren brzmiał: „Trwoga, ludzie, wielka trwoga / Trzeba nam wyznaczyć wroga / Bo inaczej, panie, pany / Sami się powyrzynamy".

Trwoga wraca cyklicznie. Trzeba jej rzucać kolejne demony na pożarcie. Skąd je brać? Paliwo smoleńskie już się wypaliło. Żydokomunę międlą jeszcze Międlar z Rybakiem, ale wyznawców im nie przybywa. Nosiciele groźnych pierwotniaków, czyli uchodźcy – zużyci. Potwór gender oswojony, nie boją się go nawet dzieci. Potrzeba czegoś świeżego! I oto trafiła się świeżynka. Coś tak demonicznego, że aż prezesowi Kaczyńskiemu włosy stanęły dęba na głowie, o czym poinformowała wielką czcionką na pierwszej stronie zatrwożona „Gazeta Polska Codziennie".

Nowy demon to seks sprzymierzony z LGBT, a wymierzony w bezbronną polską dziatwę za pomocą – cytuję prezesa Kaczyńskiego – „pewnej specyficznej socjotechniki mającej zmienić człowieka". Kulisy tej socjotechniki prezes zapewne odsłoni w kolejnym wystąpieniu. W pierwszym, podczas regionalnej konwencji przed wyborami europejskimi, dopiero zasygnalizował wroga, opisał związane z nim własne emocje i naszkicował strategię walki. Otóż wróg atakuje dzieci poprzez bardzo wczesną seksualizację. „Sam, dopóki nie przeczytałem, nie mogłem w to uwierzyć, ale to się ma zacząć od urodzenia do czwartego roku życia, a potem są kolejne okresy i im dłużej się to czyta, tym bardziej włosy dęba na głowie stają", mówił prezes do zgromadzonych w Jasionce działaczy. Więcej szczegółów nie podał, ale zapewnił: „Będziemy mówili »nie« atakowi na dzieci. Polscy rodzice mają prawo do wychowywania własnych dzieci. To podstawowa funkcja rodziny. Nie damy się zastraszyć różnego rodzaju kampaniami. Będziemy bronić polskiej rodziny!".

Ten wątek zdominował konwencję. Obrona praw rodziców do wychowywania dzieci znalazła się na drugim miejscu wśród 12 punktów przyjętej tam „Deklaracji Europejskiej". „GPC" poinformowała, że Jarosław Kaczyński „jednoznacznie wyznaczył polityczny kierunek – PiS ma bronić tradycyjnych wartości i polskich rodzin".

Zaskoczonym tą szarżą prezesa chcę zwrócić uwagę na jej prekursorów. Parę dni wcześniej przypomniał o swoim istnieniu wybrany niedawno przez PiS rzecznik praw dziecka Mikołaj Pawlak. Zwrócił się do rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara o „wspólne podjęcie czynności w sprawie naruszenia konstytucyjnego prawa rodziców do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami". Naruszać te prawa miała podpisana przez prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego deklaracja LGBT+. Pawlak też nie był pierwszy. Stał się tylko urzędową tubą Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris, który już wcześniej zaatakował Trzaskowskiego. Prezes Ordo Iuris alarmował: „Prezydent Warszawy nakazuje przeprowadzenie bardzo zwulgaryzowanej edukacji seksualnej, opartej na tzw. standardach Światowej Organizacji Zdrowia, zaś wytyczne, zawarte w standardach to jest np. nauka masturbacji dzieci w wieku od czterech do sześciu lat".

W Polsce nadal to, co poniżej pasa, jest grzeszne i wstydliwe.

Do akcji ochoczo włączyły się aktywistki frontu obrony moralności: Krystyna Pawłowicz („Warszawiacy, coście uczynili naszym bohaterom! Wybraliście sobie na prezydenta krzewiciela komuny i macania waszych dzieci i wnuków"), Kaja Godek („To jest dokument o charakterze pedofilskim, jeżeli ktoś z pasją rozmawia z dziećmi o seksie, to jego miejsce jest w więzieniu, a nie w klasie") i posłanka Anna Siarkowska („Trzeba ratować polskie dzieci, bo Trzaskowski pragnie uczyć przedszkolaki onanizmu!"). Oburzeniem zapałał Patryk Jaki, którego ciągle żółć zalewa z powodu przegranej z Trzaskowskim („Miliony złotych trafią do kieszeni lewicowych organizacji na realizację postulatów ideologicznych LGBT, wstyd i hańba dla Warszawy!"), szydził Paweł Kukiz („Zamiast leżakowania, zamiast spania dzieci pójdą się masturbować").

To działa na wyobraźnię. Przecież wszyscy kochamy dzieci! Każdy gotów stanąć w ich obronie, ale… O co właściwie chodzi? O deprawację od urodzenia, jak mówił prezes Kaczyński, czy o masturbację czterolatków, jak chce inny prezes? Czy ze świętego oburzenia można uczynić paliwo w wyborach do Parlamentu Europejskiego? Czy tędy ma prowadzić polska droga do zreformowania Unii w duchu chrześcijańskiego konserwatyzmu? Nim pozwolimy na zlinczowanie prezydenta Trzaskowskiego, może warto sprawdzić, jak wygląda nowy wróg zjednoczonej prawicy?

Dokument, którego pełna nazwa brzmi „Warszawska polityka miejska na rzecz społeczności LGBT+", został przygotowany przez prezydenta wspólnie z przedstawicielami organizacji, które zajmują się edukacją równościową i przeciwdziałaniem homofobii. Zapisano w nim m.in. plany powołania pełnomocnika ds. równości, stworzenia hostelu dla ofiar przemocy oraz zapewnienia „adekwatnej, prowadzonej w angażujący sposób i odpowiadającej na potrzeby młodzieży edukacji antydyskryminacyjnej i seksualnej w stołecznych szkołach, zgodnej ze standardami WHO". Chodzi o to, żeby obraz seksualności człowieka był zgodny ze stanem wiedzy naukowej. Następnie o przeciwdziałanie homofobii i nieto-

eprasa.pl b021c5f1c6

lerancji, z którymi dzieci spotykają się już w szkołach, nierzadko w roli ofiar. Wytłumaczenie, że inne orientacje seksualne istnieją i że nie jest to kwestia wyboru, choroby ani dewiacji. Autorzy chcą pomagać w zrozumieniu i akceptacji inności. Przekonywać do tolerancji, pokazywać dramatyczne następstwa odtrącenia. Wedle Pawlaka szczytne hasła zawarte w deklaracji to tylko pozór szlachetnych intencji, przykrywka do wprowadzenia „edukacji seksualnej, która godzi w powszechnie akceptowane w Polsce normy, tradycje, wzorce kulturowe, a także w konstytucję RP".

Jedno jest bezsporne – prezydentowi stolicy chodzi o edukację seksualną w szkole, a nie masturbację w żłobku lub przedszkolu. Czy ktoś jeszcze pamięta, że obowiązek takiej edukacji został wpisany do ustawy, którą dziś nazywa się kompromisem aborcyjnym, ćwierć wieku temu?

Obrońcy „tradycji i wzorców kulturowych" zrobili wszystko, żeby ten zapis pozostał martwy. Ale on istnieje, a edukacji nie ma! Dzieci nie znają rzeczowych odpowiedzi na pytania o to, co się dzieje z nimi w okresie dojrzewania, jak przygotować się do inicjacji seksualnej, jakie są nowoczesne metody zapobiegania ciąży itd., itp. Rodzice nie umieją sprostać temu wyzwaniu. W Polsce nadal to, co poniżej pasa, jest grzeszne i wstydliwe. Gdy małe dziecko przejawia naturalne zainteresowanie swoją płciowością, dowiaduje się, że to coś brzydkiego i złego. Gdy nieco starsze skarży się, że ksiądz dotykał jego miejsc intymnych, zostaje ukarane za kłamstwo i świntuszenie. Bo w tradycyjnej polskiej mentalności wszystko, co ma związek z seksualnością, to świntuszenie, na które należy reagować świętym oburzeniem. Tu – oburzeniem na ofiarę przemocy, bo jej sprawca jest poza podejrzeniami.

I tak dochodzimy do standardów WHO w sprawie edukacji seksualnej. Światowej Organizacji Zdrowia chodzi o to, aby dorośli od początku i mądrze towarzyszyli dziecku w rozwoju psychofizycznym. Aby nauczyli je akceptacji własnego ciała, umiejętności wyrażania swoich potrzeb, praktykowania higieny osobistej. Aby na masturbację wieku dziecięcego, która obiektywnie istnieje, rodzice nie reagowali agresją. Dalej, co niezwykle ważne, aby dzieci wiedziały, czym jest zły dotyk. Wedle standardów WHO dzieci już w wieku czterech-sześciu lat powinny zdawać sobie sprawę z istnienia osób, które pod pozorem życzliwości mogą je skrzywdzić, a dziewięcio- czy 12-letnie powinny wiedzieć, czym jest wykorzystanie seksualne, jak go unikać i gdzie ewentualnie szukać pomocy. Po prostu – chodzi o ochronę dzieci przed pedofilią. Czy tak trudno to zrozumieć zwłaszcza teraz, gdy temat pedofilii jest obecny nawet w nauczaniu papieża?

Retoryka przeciwko edukacji seksualnej jest coraz bardziej skrajna i obskurancka.

Wystąpienie prezesa Kaczyńskiego ośmieliło środowiska skrajne do eskalacji roszczeń. Wojciech Zięba, prezes Polskiego Stowarzyszenia Obrońców Życia Człowieka, zażądał, by wszyscy funkcjonariusze aparatu państwowego, od prezydenta i premiera poczynając, wydali jasne oświadczenia, w których „z całą mocą" potępią deklarację prezydenta Warszawy. „Nasz Dziennik" domaga się „natychmiastowych zmian w prawie zakazujących seksualizacji dzieci i propagandy homoseksualnej" oraz kontroli we wszystkich szkołach pod kątem ewentualnie prowadzonych tam zajęć edukacyjnych. Sprawdzenia, „czy dzieci pozostawiane były same z DEMORALIZATORAMI (podkr. moje – E.N.). Jakie treści były im przekazywane?". Rzecznik praw dziecka w kolejnym wystąpieniu domaga się wyjaśnień, jakie są prawne podstawy deklaracji LGBT+.

Akcja przeciwko inicjatywie prezydenta Trzaskowskiego nabiera rozpędu. W mediach prawej strony można usłyszeć i przeczytać o promocji środowisk LGBT – bo tolerancja to przecież „homopropaganda"; o praniu mózgów – bo edukacja seksualna to nie edukacja, tylko instruktaż i oswajanie dzieci z patologiami; o tym, że „gejowska propaganda" prowadzi do odrzucenia heteroseksualności, a każdy gej to pedofil; o „operacji socjotechnicznej w celu osłabienia siły Kościoła pod pozorem pseudowolności".

Odnoszę przygnębiające wrażenie, że od czasu prawnego usankcjonowania obowiązku edukacji seksualnej na początku transformacji nie zrobiliśmy ani kroku do przodu. Gorzej – cofamy się. Obecna retoryka przeciwko tej edukacji jest bardziej skrajna i obskurancka. No i płynie ze szczytów władzy. Strach się bać.

Chodzi o to, aby dorośli od początku i mądrze towarzyszyli dziecku w rozwoju psychofizycznym.

Ewa Nowakowska jest socjolożką i publicystką

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

eprasa.pl b021c5f1c6

Marek Książek

Jerzy Jabłoński jest dumny ze zdobytych medali.

TWARDZIEL NA MEDAL

Kiedy 20 lat temu Jerzy Jabłoński tracił majątek firmy, nawet nie śnił, że jako 70-latek będzie zdobywał złote medale

Patrząc na Jerzego Jabłońskiego, mało kto się spodziewa, że w niepozornej sylwetce kryje się wulkan energii i siły. A pan Jerzy, rocznik 1945, potrafi wycisnąć nogami kilkaset kilogramów. Trenuje sześć razy w tygodniu na siłowni i boisku, nie zważając, czy to upał, czy 20 stopni mrozu. Jest mastersem – czynnym zawodnikiem w rzucie młotem, który zdobywa złote medale na europejskich i światowych imprezach. Walczy dla siebie, ale gdy na podium słyszy Mazurka Dąbrowskiego, zdaje sobie sprawę, że robi to także dla Polski.

WYWROTKA PREZESA

Na przełomie wieków Jerzy Jabłoński, doświadczony fachowiec w branży budowlanej, kierował przekształconą już w spółkę pracowniczą Olsztyńską Korporacją Budowlaną (OKB). Firma miała na koncie poważne inwestycje, a prezesa uznawano za jednego z pierwszych deweloperów w Polsce. W tym czasie budownictwo przeżywało kryzys, a prezes próbował ratować firmę i szukał terenów pod budowę również poza Olsztynem. Wtedy dwaj szefowie spółki konsultingowej z Warszawy zaoferowali mu działkę we Włochach. Należące do ZPC Ursus grunty były wprawdzie przeznaczone pod inwestycje przemysłowe, ale pośrednicy zapewniali, że będzie można je przekwalifikować pod budownictwo mieszkaniowe.

OKB zakupiła działkę, pośrednicy dostali 7,5 mln zł prowizji, po czym okazało się, że warszawiacy sfałszowali dokumenty, bo teren był przeznaczony pod... trasę szybkiego ruchu. Sprawą zajęła się prokuratura. Tymczasem w październiku 2001 r. do mieszkania Jabłońskiego kurier dostarczył paczkę z warszawskiej firmy Chemia, a za nim weszli policjanci, którzy kazali żonie prezesa otworzyć adresowaną do niego przesyłkę. Pani Krystyna bała się, że to może być bomba, więc stróże prawa sami wyjęli z opakowania woreczek białego proszku. Było to prawie 1,5 kg amfetaminy! Akurat tyle, aby można było aresztować adresata, którego zaraz zatrzymano poza domem. Dopiero po długim śledztwie ustalono, że paczka z narkotykami była prowokacją, bo ktoś (?) chciał go skompromitować jako świadka w sprawie z warszawskimi pośrednikami (wyszli z aresztu za kaucją). Gdyby siedział, byłby niewiarygodny. Ostatecznie nie udało się udowodnić, że to stołeczni cwaniacy stali za prowokacją. Zostali skazani jedynie za podrobienie dokumentów. Jednak wieść o prezesie dilerze narkotyków zdążyła obiec miasto i okolice.

– Małysz jest mistrzem i też czasami się przewróci na zeskoku – tłumaczył wtedy swoją wpadkę Jerzy Jabłoński. Wiedział jednak, że najważniejsze to podnieść się po upadku.

Niefortunny zakup gruntu zaważył na kondycji finansowej spółki OKB, w której najwięcej udziałów miał sam Jabłoński. Firma miała długi, urząd skarbowy upominał się o zaległe odsetki, po należności zgłaszali się i inni wierzyciele. Prezes poczuł się osaczony, zwłaszcza gdy jeden z banków nasłał na spółkę komornika. W tej sytuacji złożył w sądzie wniosek o upadłość firmy, licząc na to, że w tym czasie uporządkuje swoje sprawy i OKB wróci na rynek. Ale zanim Jabłoński doprowadził do ugody z wierzycielami, syndyk masy upadłościowej zdążyła sprzedać co najmniej połowę majątku spółki. I to za grosze, aby tylko zarobić na własne honorarium (400 tys. zł).

NIE PODDAĆ SIĘ BEZ WALKI

Jerzy Jabłoński ponownie podjął walkę o firmę. Przekonał wierzycieli, że zwróci im 100% należności, i podpisał z nimi ugodę, dzięki czemu sąd wstrzymał likwidację. Wówczas, po raz pierwszy po długiej przerwie, wyszedł na boisko, aby zagrać z kolegami w piłkę. Najbardziej cieszyły się z tego żona i córki.

Walkę o firmę wygrał, choć spółka wyszła z tych zmagań mocno okaleczona i Jabłoński nie mógł już wybudować tyle mieszkań i innych budynków, ile mógłby postawić przy całym sprzęcie, majątku i załodze spółki. Dziś nadal nią kieruje, choć w ograniczonym zakresie.

– Ten mój hart ducha i wytrwałość wzięły się głównie ze sportu – przyznaje 74-letni obecnie Jerzy Jabłoński. – Bo w sporcie są takie sytuacje, w których zwyczajny zjadacz chleba by się poddał, ale nie wyczynowiec.

Rodzice Jabłońskiego w 1945 r. przyjechali do Olsztyna jako przesiedleńcy z Wileńszczyzny. Mama była wtedy w ciąży z Jerzym. Chłopak od dziecka miał smykałkę do sportu. Grał w piłkę, a jako uczeń technikum kole-

eprasa.pl b021c5f1c6

jowego, którego dyrektorem był ojciec znanych piłkarzy Jan Masztaler, zaczął uprawiać pchnięcie kulą. Już w pierwszej klasie wygrał tę konkurencję w mistrzostwach Olsztyna szkół średnich na Stadionie Leśnym, tym samym, gdzie niebawem Józef Szmidt pobił rekord świata w trójskoku (17,03 m).

Takim zawodom przyglądali się wówczas trenerzy z różnych klubów i Jabłoński wpadł w oko szkoleniowcowi Międzyszkolnego Klubu Sportowego, gdzie trenował także rzut dyskiem i młotem. Dobrze mu szło, bo był sprawny ruchowo, szybko opanował technikę i jego młot lądował w okolicach rekordu Polski juniorów. Gazety okrzyknęły go nadzieją tej dyscypliny. Miałby może i szansę na medale w zawodach międzynarodowych, ale przy wzroście 175 cm ważył 78 kg, a nie chciał poddać się procesowi „zwiększenia masy ciała". Skończył z lekkoatletyką w wieku 19 lat. Potem zrobił uprawnienia instruktora futbolu i został trenerem lokalnych drużyn piłkarskich.

JAK POWSTAĆ PO UPADKU

W tym czasie ukończył studia geodezyjne, choć potem nigdy nie pracował jako geodeta. Karierę zawodową zaczynał w Rejonie Dróg Publicznych, później jako zastępca dyrektora Przedsiębiorstwa Budownictwa Inżynieryjnego wyjechał na pięcioletni kontrakt przy inwestycji towarzyszącej budowie elektrowni atomowej w Českim Krumlovie. Wrócił w 1990 r. i – żeby odzyskać sprawność fizyczną – zaczął grać w tenisa. Choć był samoukiem, szybko stał się pogromcą najlepszych oldbojów na korcie. Wraz z Lesławem Markowiczem zdobywali medale na turniejach krajowych, co w tenisowym światku było niemałym zaskoczeniem. Walczył na korcie do 2015 r.

W pierwszej połowie lat 90. Jabłoński został nawet działaczem piłkarskim. Dostał wtedy propozycję wejścia w skład zarządu drugoligowego Stomilu Olsztyn. Jabłoński postawił warunek: „Zgoda, pomogę, ale trzeba tak przebudować zespół, aby wszedł do Ekstraklasy". Już jako dyrektor potężnego Kombinatu Budowlanego (wkrótce przekształconego w kilka spółek, w tym OKB) pomógł przede wszystkim w zapewnieniu mieszkań czołowym piłkarzom, którzy zrewanżowali się wprowadzeniem drużyny do I ligi i jakiś czas dobrze im się w niej wiodło.

Z różnych względów współpraca Jabłońskiego z piłkarzami się zakończyła, ale nadal był czynnym tenisistą. Do czasu, aż

TO NIE JEST SPORT DLA GRZECZNYCH STARUSZKÓW

Już 24 marca br. w Toruniu rozpoczną się halowe mistrzostwa świata Masters w lekkiej atletyce. Weźmie w nich udział ponad 4370 sportowców weteranów z 89 krajów, w tym 3,5 tys. spoza Polski. To rekord frekwencyjny; dwa lata temu w takich samych zawodach w Daegu startowało niecałe 4,3 tys. zawodników, ale 2,8 tys. stanowili Koreańczycy.

W Toruniu wśród 870 reprezentantów Polski znajdą się tacy mistrzowie jak Władysław Kozakiewicz, Robert Korzeniowski, Sebastian Chmara, Tomasz Majewski czy Urszula Kielan. Ale tylko pani Urszula wystartuje w swojej koronnej konkurencji (skok wzwyż). Jej koledzy, głównie z powodu braku treningów lub kłopotów zdrowotnych, będą biegać. Raczej dla ozdoby i promocji imprezy.

Organizatorem mistrzostw świata jest Polski Związek Lekkiej Atletyki Masters. – O przeprowadzenie imprezy w Polsce wystąpiliśmy ponad trzy lata temu. Miasto Toruń przygotowało materiały promocyjne, a w 2016 r. delegaci na światowym kongresie w Australii przyznali nam prawo organizacji zawodów, za które samorząd toruński zapłacił 40 tys. dol. – mówi prezes PZLAM Wacław Krankowski, dyrektor mistrzostw. Cała impreza ma kosztować do 2 mln zł. Związek zapewnia obiekty, sprzęt, medale, obsługę techniczną i sędziowską oraz promocję mistrzostw, na co zdobył pieniądze od sponsorów. W ramach programu „Sport dla Wszystkich" organizatorzy dostali też 130 tys. zł z Ministerstwa Sportu i Turystyki. Ale główne koszty ponoszą sami uczestnicy, którzy przyjeżdżają za własne pieniądze, sami płacą za noclegi, wyżywienie oraz za start w zawodach; opłata wstępna wynosi 59 euro, a udział w każdej konkurencji – 28 euro. Niektórzy zawodnicy startują w trzech-czterech dyscyplinach. Wszystko muszą sfinansować z własnej kieszeni, często ze skromnej emerytury, chyba że znajdą sponsorów.

Masters to zawodnik po skończeniu 35. roku życia, rywalizuje w swojej grupie wiekowej (w przedziałach pięcioletnich), aż do 90+. 90-latkowie na bieżni czy skoczni nie są wcale wyjątkiem. Odpowiednio do wieku jest przystosowany sprzęt, w tym kula, młot i oszczep oraz płotki w biegach płotkarskich. Każdy wynik – stosownie do wieku – można przeliczyć i porównać z rezultatami profesjonalnych sportowców w kategorii *open*.

Organizator toruńskich mistrzostw przeprowadzi transmisję z zawodów w internecie. Oficjalnie TVP nie jest zainteresowana imprezą o zasięgu światowym, choć podczas relacji z halowych mityngów lekkoatletycznych wspominali o niej Przemysław Babiarz i Sebastian Chmara, którzy także wystartują w Toruniu. Promocja tego wydarzenia jest więcej niż skromna. Czy zatem sport weteranów traktowany jest jako niegroźne zabawy grzecznych staruszków?

– Jeśli ktoś tak twierdzi, powinien się przyjrzeć wynikom mastersów – odpowiada prezes Krankowski. – Wtedy z szacunkiem pochyli się nad ich osiągnięciami. Nie mówiąc o tym, że ci ludzie zachowują sprawność fizyczną i cieszą się dobrym zdrowiem do późnej starości.

Jednym słowem, przeznaczając więcej na sport mastersów, mniej się wydaje na ich leczenie.

Olsztynianin na podium między zagranicznymi rywalami.

FOT. MAREK KSIĄŻEK

eprasa.pl b021c5f1c6

usłyszał o lekkoatletycznych mastersach. W 2015 r., pierwszy raz po pół wieku, ponownie wziął do ręki młot. Chociaż znał technikę rzutu, potrafił zrobić tylko jeden obrót w kole, po czym młot wylądował bliżej, niż się spodziewał. Nie chciał na tym poprzestać i ostro wziął się do roboty. Po trzech miesiącach, już jako 70-latek, pojechał na mistrzostwa Polski, gdzie wygrał rzut czterokilogramowym młotem, bijąc w swojej kategorii rekord kraju (47 m). Zwyciężył z faworytem Ryszardem Krzesińskim, a zdziwieni mastersi pytali: „Kto to jest ten Jabłoński?".

ŁZY NA PODIUM

Po następnych trzech miesiącach już nikt się nie dziwił, kiedy pan Jerzy na mistrzostwach świata w Lyonie zdobył brązowy medal, rzucając młotem prawie 50 m. W przeliczeniu na wyniki *open* to rezultat lepszy niż Pawła Fajdka! Wkrótce w koreańskim Daegu został mistrzem świata w hali, a dodatkowo zdobył srebrny medal w rzucie ciężarkiem, który wygląda jak młot, ale jest cięższy i osadzony na krótszej lince. W zawodach na otwartym stadionie, gdzie Jabłoński rywalizował z rosłymi chłopami, też notował międzynarodowe sukcesy; ostatnio w hiszpańskiej Maladze zdobył tytuł mistrza świata w młocie (51,52 m) i zajął drugie miejsce w rzucie ciężarkiem (ponad 20 m). Tak więc aktualnie jest podwójnym mistrzem świata, a jednego z tytułów będzie bronić w najbliższych dniach w Toruniu.

– Kiedy pierwszy raz grano dla mnie Mazurka Dąbrowskiego, miałem łzy w oczach. Bo to ja spowodowałem, że cały stadion, cały świat mógł słyszeć hymn Polski. Obiecałem sobie, że drugi raz już taki miękki nie będę. Ale to jest przeżycie, od którego zawsze oczy się pocą – podkreśla.

W domu na osiedlu Dajtki ma całe naręcze medali. Żałuje tylko, że tak mało o sukcesach weteranów mówią polskie media. Gdyby zrobiło się o nich głośniej, może rząd przeznaczyłby dla nich jakieś większe dotacje. Na przykład mastersi z Niemiec czy Austrii mają dofinansowanie państwa, a nasi jeżdżą na zawody za własne pieniądze. Jabłoński na podróż i start w Perth w Australii wydał ok. 10 tys. zł. Jeszcze go na to stać, ale biedniejsi nie mogą nawet o tym marzyć. Takie zagraniczne wyjazdy są szansą na zwiedzenie świata i olsztynianin z tego korzysta, czasami zabierając ze sobą (np. do Malagi) swój „sztab szkoleniowy", czyli żonę Krystynę, która dba o jego stroje, zdrowie, dietę i dobre samopoczucie. Pan Jurek, który w wyniku treningów siłowych waży już 96 kg, na ogół czuje się dobrze. Tylko czasami zastanawia się, czy jako 74-letni pan wygląda poważnie, gdy tak biegnie w dresie przez osiedle?

Poważnie za to wyglądał podczas podsumowania plebiscytu na najpopularniejszego sportowca Warmii i Mazur 2018. Zdobył w nim drugie miejsce, co wywołało szok wśród obserwatorów, bo wyprzedził m.in. kulomiota Konrada Bukowieckiego oraz mistrzynię MMA Joannę Jędrzejczyk.

Marek Książek

eprasa.pl b021c5f1c6

Szanowni Państwo,

upływająca kadencja Parlamentu Europejskiego jest dla mnie chwilą zakończenia 28-letniej pracy parlamentarnej, w tym pięciu lat pracy w Strasburgu i w Brukseli.

Podczas mojej działalności parlamentarnej spotkałam wiele wspaniałych osób, którym jestem wdzięczna za rozmowy, okazywane wsparcie i inspirację do podejmowania nowych wyzwań oraz współudział w realizowanych na terenie Wielkopolski projektach.

Proszę wszystkich Państwa o przyjęcie najserdeczniejszych życzeń wszelkiej codziennej pomyślności, a także, by niezależnie od kaprysów aury, dla Państwa zawsze świeciło słońce.

Z wyrazami szacunku
Krystyna Łybacka
Poseł do Parlamentu Europejskiego

KRYSTYNA ŁYBACKA WŚRÓD NAJLEPSZYCH EUROPOSŁÓW

Pod koniec stycznia poseł do Parlamentu Europejskiego Krystyna Łybacka została nominowana przez pismo „The Parliament Magazine" do nagrody Najlepszy Europoseł w Dziedzinie Edukacji, Kultury i Mediów.

„The Parliament Magazine" jest aktywnym forum przeznaczonym do dyskusji na temat bieżących wydarzeń politycznych i sytuacji UE. Co roku w poszczególnych kategoriach tematycznych wybrana zostaje trójka najlepszych spośród 751 europarlamentarzystów. Plebiscyt stanowi nawiązanie do gali wręczenia Oscarów.

Osoby, które pretendują do tej wyjątkowej nagrody, muszą się wyróżniać pracą i zaangażowaniem na rzecz budowania polityk unijnych oraz przybliżania Unii obywatelom. W plebiscycie ocenione zostają wcześniejsze osiągnięcia europosła, jego stały wkład w rozwijanie projektu europejskiego oraz praca i aktywność w regionie.

Nominacja europosłanki Krystyny Łybackiej związana jest z jej działalnością w Komisji Kultury i Edukacji oraz szczególnym uznaniem dla pracy nad raportem dotyczącym modernizacji edukacji w UE. Wyróżnienie posłanki Łybackiej wiąże się także z jej pracą na rzecz programu Erasmus+ i uznaniem dla działalności krajowej, w tym dla inicjatyw edukacyjnych łączących pokolenia, takich jak wspólne zajęcia artystyczne dzieci i seniorów. Tegoroczna nominacja do nagrody „The Parliament Magazine" dla europosłanki Łybackiej jest już drugą w tej kadencji Parlamentu Europejskiego. Pierwszą otrzymała za pracę w dziedzinie nauki. Poseł Łybacka otrzymała również specjalne wyróżnienie ok. 30 organizacji pozarządowych – ON OUR WATCH, które monitorują pracę posłów w Parlamencie Europejskim.

RAPORTY KRYSTYNY ŁYBACKIEJ

Poseł Krystyna Łybacka jest współautorką ponad 100 dokumentów przyjętych w obecnej kadencji Parlamentu Europejskiego, w tym autorką dwóch kluczowych raportów dotyczących: kontynuacji wdrażania procesu bolońskiego i modernizacji edukacji w Unii Europejskiej.

KLUCZ DO MODERNIZACJI EDUKACJI W UE

Parlament Europejski przyjął podczas sesji plenarnej w czerwcu 2018 r., zdecydowaną większością głosów, rezolucję dotyczącą modernizacji edukacji w Unii Europejskiej. Ten niezwykle ważny dokument, przygotowany przez poseł do PE Krystynę Łybacką, zawiera wiele rekomendacji, wskazówek i zaleceń, którymi powinny się kierować państwa członkowskie UE w celu modernizacji krajowych systemów edukacji. Przyjęta treść rezolucji jest wynikiem licznych uzgodnień, a o jej kompromisowym brzmieniu świadczą zarówno wypowiedzi podczas debaty parlamentarnej, jak i wynik głosowania plenarnego. Projekt rezolucji autorstwa europosłanki

Krystyny Łybackiej cechuje kompleksowość podejścia do problematyki edukacji, która obejmuje proces kształcenia od przedszkola aż po szkolnictwo wyższe, z uwzględnieniem mechanizmów kształcenia ustawicznego oraz stworzenia optymalnych warunków do indywidualnej pracy z uczniem. Ważnym elementem dokumentu jest część poświęcona nauczycielom. Rezolucja podkreśla konieczność poprawy statusu nauczyciela, warunków jego pracy, perspektyw zawodowych oraz wynagrodzenia. Jak zaznacza autorka raportu, „kształt krajowych systemów edukacji nie jest objęty prawem wspólnotowym, jednakże rolą Unii Europejskiej jest wspieranie i zachęcanie krajów członkowskich do wprowadzania zmian, dzięki którym ich szkolnictwo będzie lepiej przygotowane na wyzwania przyszłości. Pracując nad raportem, przyjęłam trzy założenia. Po pierwsze, szkoła przestała być jedynym miejscem, w którym zdobywamy wiedzę i pozyskujemy informacje. Nowoczesne media uwolniły edukację. Dzisiaj bardziej niż o miejscu mówimy o przestrzeni edukacyjnej. Istotne pozostaje to, by w przestrzeni edukacyjnej to właśnie szkoła była najbardziej atrakcyjnym miejscem zdobywania wiedzy. Po drugie, rolą systemu edukacji jest nie tylko przygotowanie pracownika do rynku pracy, ale też wykształcenie pełnowymiarowego człowieka, potrafiącego realizować się w aspekcie zawodowym, kulturowym, obywatelskim i społecznym. Trzecie założenie odnosi się do niezwykle ważnego problemu, jakim są pieniądze. Jesteśmy gotowi przeznaczać spore środki ▸

eprasa.pl b021c5f1c6

na pakty obronne, podczas gdy warunkiem koniecznym rozwoju ludzkości jest pakt cywilizacyjny. Stąd propozycja zwiększenia nakładów i większej synergii pomiędzy funduszami strukturalnymi i inwestycyjnymi a nakładami na edukację. Mam nadzieję, że kraje europejskie, w tym Polska, będą mogły znaleźć w raporcie klucz do nowoczesnych i dobrych rozwiązań dla edukacji".

W trakcie prac nad raportem poseł Krystyna Łybacka zorganizowała w Parlamencie Europejskim seminarium na temat modernizacji edukacji w Unii Europejskiej, w którym udział wzięli komisarz ds. edukacji, kultury i sportu Tibor Navracsics, liczni posłowie do Parlamentu Europejskiego, przedstawiciele Komisji Europejskiej, Komitetu Regionów, Komitetu Ekonomiczno-Społecznego oraz wiele organizacji pozarządowych reprezentujących nauczycieli i różne poziomy edukacji – od wczesnoszkolnej po wyższą.

PROCES BOLOŃSKI

W ramach prac w Komisji ds. Kultury i Edukacji PE (CULT) poseł Krystyna Łybacka przygotowała również raport w sprawie kontynuacji wdrażania procesu bolońskiego. Proces boloński stanowi próbę zorganizowania systemu szkolnictwa wyższego w Europie, tak aby stał się on powszechnie zrozumiały, dostępny i godny zaufania, a jednocześnie pozostał zróżnicowany. Krystyna Łybacka zwraca w raporcie uwagę, że pomimo wielu pozytywnych rezultatów osiągniętych dzięki procesowi bolońskiemu w ciągu ostatnich 15 lat, w dalszym ciągu istnieją liczne obszary, w których niezbędne są pilne działania, by zapewnić jakość, przejrzystość i rozwój europejskiego obszaru szkolnictwa wyższego (EHEA). Ponadto proces musi stawić czoła nowym wyzwaniom, takim jak bezrobocie młodych, kryzys gospodarczy, zmiany demograficzne. Raport wzywa państwa EHEA do wdrożenia reform mających przyśpieszyć osiąganie celów procesu oraz do pomocy krajom, które mają problemy z ich implementacją. Europosłanka Krystyna Łybacka podkreśla, że istotne są także wzmocnienie więzi między szkolnictwem wyższym a badaniami naukowymi oraz lepsza synchronizacja działań wspierających proces boloński, takich jak programy Horyzont 2020 i Erasmus+. Wielu przedstawicieli różnych frakcji politycznych bardzo wysoko oceniło zaangażowanie i wkład poseł Łybackiej w przygotowanie tak kompleksowego raportu, podkreślając przy tym znaczenie tego dokumentu w ocenie i kontynuacji zmian zachodzących w obszarze szkolnictwa wyższego dzięki realizacji procesu bolońskiego. Raport Krystyny Łybackiej był oficjalnym stanowiskiem Parlamentu Europejskiego na spotkanie ministrów szkolnictwa wyższego w Erywaniu, które odbyło się w maju 2015 r. Poseł Łybacka zorganizowała też w Parlamencie Europejskim seminarium „Proces boloński oczami studentów". Wzięli w nim udział liczni przedstawiciele organizacji studenckich i pozarządowych oraz innych instytucji unijnych. Seminarium stanowiło doskonałą okazję do wymiany doświadczeń w zakresie oceny skuteczności narzędzi procesu bolońskiego. Wszyscy zgodnie podkreślali, że uznawalność dyplomów, uznawanie okresów studiów czy kwalifikacji uzyskanych za granicą oraz mobilność studentów w dalszym ciągu wymagają ulepszenia i większej skuteczności.

Treść wszystkich dokumentów przygotowywanych przez europoseł Krystynę Łybacką jest dostępna na stronach poselskich pod adresem www.europarl.europa.eu.

Program Erasmus+ to jeden z najbardziej znanych i cieszących się największym powodzeniem programów w dziedzinie kształcenia, szkolenia i młodzieży. Poseł Krystyna Łybacka jest stałym sprawozdawcą Grupy Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów w Parlamencie Europejskim ds. programu Erasmus+, co pozwala na monitorowanie działania programu i korektę jego ewentualnych niedociągnięć. W ramach działalności w Komisji CULT Krystyna Łybacka pracowała nad rezolucją dotyczącą przyszłości programu Erasmus+. Została ona przyjęta dużą większością przez Parlament Europejski we wrześniu 2017 r. W rezolucji podkreśla się ogromną rolę programu Erasmus+, który przyczynił się do poprawy jakości placówek edukacyjnych i szkoleniowych w UE, podniesienia konkurencyjności europejskiego sektora edukacji, stworzenia podstaw europejskiej gospodarki opartej na wiedzy i osiągnięcia celów strategii Europa 2020. Posłanka Krystyna Łybacka podkreśliła następujące aspekty programu:

• Dostępność. Ze względu na czynniki społeczno-ekonomiczne z programu korzysta mniej niż 5% młodych Europejczyków. Dlatego według posłanki należy podjąć działania, aby program ten był dostępny dla jak najszerszego grona Europejczyków. W tym kontekście kluczowy jest nowy cel komisji dotyczący podwojenia liczby uczestników Erasmusa+ do 2025 r. oraz zwiększenia wysiłków na rzecz szerszego włączenia w ten program osób ze środowisk defaworyzowanych.

• Finansowanie. Większe środki finansowe są niezbędne, aby wykorzystać potencjał tego programu i zrealizować jego cele. Dlatego m.in. posłanka jest jednym z inicjatorów kampanii na rzecz większego dofinansowania dla Erasmusa+. Istotne jest także sprawne regulowanie zobowiązań finansowych przez komisję, w tym czasowe wypłacanie grantów.

• Zagwarantowanie lepszej współpracy między agencjami narodowymi oraz spójne stosowanie zasad i przepisów programu przez agencje narodowe, w tym stosowanie wspólnych standardów jakości i oceny projektu.

• Zapewnienie większej koncentracji programu Erasmus+ na kształceniu przez całe życie, włączając edukację formalną i nieformalną.

• Zagwarantowanie wysokiej efektywności i przejrzystości Erasmusa+.

W ramach Europejskiego Tygodnia Uczenia się przez Całe Życie poseł Krystyna Łybacka zorganizowała także konferencję poświęconą implementacji programu Erasmus+. Wzięli w niej udział liczni posłowie do PE, przedstawiciele instytucji unijnych, agencji narodowych, organizacji pozarządowych oraz beneficjenci programu Erasmus+. W 2017 r. posłanka przeprowadziła również konsultacje dotyczące działania programu, do których zaprosiła wszystkie szkoły na terenie województwa wielkopolskiego.

eprasa.pl b021c5f1c6

Z MYŚLĄ O WIELKOPOLSKICH SENIORACH

Odpowiedzią Unii Europejskiej na rosnące potrzeby seniorów jest wzmocnienie i promocja mechanizmów tzw. srebrnej gospodarki. Pod tą nazwą kryje się wiele komercyjnych i niekomercyjnych działań, a także programów skierowanych do osób pragnących cieszyć się przeżywaniem dojrzałej młodości. Od momentu objęcia mandatu w PE przez posłankę Łybacką jej inicjatywy prosenioralne były jednym z priorytetów realizowanej w kraju działalności poselskiej. Z różnych form aktywności wspieranych przez europosłankę Krystynę Łybacką skorzystało ponad 2 tys. seniorów z całej Wielkopolski.

Posłanka koncentrowała się na inicjatywach, które z biegiem czasu rozpoczynały własne życie, niezależne od zewnętrznego wsparcia. Nawiązane kontakty i nabywane umiejętności pozwoliły seniorom na przejmowanie inicjatywy i samodzielne kontynuowanie dotychczasowych działań.

Powołany do życia przez poseł Krystynę Łybacką projekt Łączymy Pokolenia jest odpowiedzią na propozycje zgłaszane przez samych seniorów, którzy z racji wieku mają ogromne doświadczenie życiowe i zawodowe, a co najważniejsze – chętnie dzielą się swoimi umiejętnościami z innymi, szczególnie z najmłodszymi. Uczestnicy zajęć komputerowych dla seniorów, a także dla innych grup wiekowych, zdobywali umiejętności związane z podstawową obsługą komputera oraz wykorzystaniem internetu i najpopularniejszych programów komputerowych. Zajęcia odbywały się w wielu miastach Wielkopolski. Seniorzy z Piły, Ostrowa Wielkopolskiego, Leszna i Wolsztyna uczęszczali również na zajęcia z języka angielskiego lub niemieckiego. W wielu miejscach Wielkopolski odbywały się też zajęcia ruchowe, artystyczne, plastyczne oraz rozmaite spotkania tematyczne.

Seniorzy uczestniczyli również w licznych wyjazdach, przyglądając się m.in. inwestycjom zrealizowanym ze środków pochodzących z funduszy Unii Europejskiej. Dzięki współpracy z jednostkami policji, straży pożarnej, okręgowymi izbami pielęgniarek i położnych, stacjami pogotowia ratunkowego, prawnikami, dietetykami i fizjoterapeutami zorganizowane zostały zajęcia poświęcone rozmaitym aspektom bezpieczeństwa osób starszych. Realizowane warsztaty zgromadziły łącznie ok. 500 osób. Podczas zajęć seniorzy dowiadywali się m.in. o sposobach uniknięcia kradzieży i wyłudzeń, zasadach zapobiegania zagrożeniom pożarowym, sposobach udzielania pierwszej pomocy, warunkach opieki medycznej, korzystali też z wiedzy doświadczonych prawników, którzy odpowiadali na pytania dotyczące zwłaszcza kwestii majątkowych. Bardzo dużym zainteresowaniem cieszyły się zajęcia z udziałem dietetyków i fizjoterapeutów.

Kulminacją inicjatyw realizowanych przez europosłankę Krystynę Łybacką w środowiskach senioralnych była Senioriada, czyli Europejska Konferencja Seniorów Województwa Wielkopolskiego, w której dwóch edycjach wzięło ponad 400 uczestników – przedstawicieli działających w Wielkopolsce klubów seniora, uniwersytetów trzeciego wieku, związków emerytów, rencistów i inwalidów, a także członkowie miejskich i gminnych rad seniorów oraz osoby indywidualne zajmujące się animacją senioralną.

POSEŁ ŁYBACKA PODPOWIADA, JAK SIĘGAĆ PO ŚRODKI NA BADANIA I INNOWACJE

Europoseł Krystyna Łybacka intensywnie zaangażowała się w promocję największego unijnego programu na rzecz badań i innowacji Horyzont 2020 (H2020). Posłanka jest także przedstawicielem Parlamentu Europejskiego w Europejskim Instytucie Innowacji i Technologii. Aktywnie uczestniczyła też w pracach grupy parlamentarnej monitorującej funkcjonowanie programu Horyzont 2020. W ramach śródokresowego przeglądu programu Horyzont 2020 poseł Krystyna Łybacka w swoich propozycjach podkreśliła m.in.:

- Konieczność usprawnienia współpracy między sektorem badań naukowych a szkolnictwem wyższym i wzmocnienia powiązań między europejską przestrzenią badawczą a obszarem szkolnictwa wyższego.
- Znaczenie przejrzystości i wiarygodności procesu oceny projektów w ramach H2020, kluczowe dla skuteczności programu.
- Potrzebę utrzymania finansowania w formie grantów na badania naukowe, rozwój i innowacje na poziomie co najmniej równym obecnemu.

Europosłanka zaapelowała także do komisji o zapewnienie wystarczającej elastyczności H2020 pozwalającej na większe dostosowanie programu do aktualnych wyzwań społecznych, zachęciła do dalszego wspierania mobilności naukowców za pośrednictwem działania Maria Skłodowska-Curie oraz do sprzyjania mobilności pomiędzy środowiskiem akademickim a przemysłem. Aby ułatwić polskim naukowcom aplikowanie po środki z programu Horyzont 2020, europosłanka Krystyna Łybacka przygotowała specjalny poradnik, opisujący krok po kroku procedurę składania wniosku. W publikacji znajdują się także szczegółowe informacje o celach, strukturze i funkcjonowaniu programu Horyzont 2020.

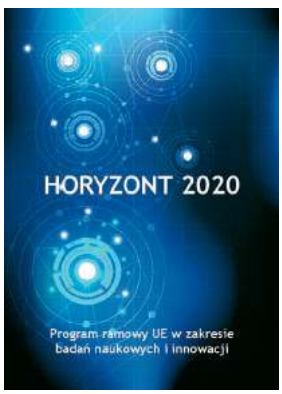

eprasa.pl b021c5f1c6

Z EUROPĄ OD NAJMŁODSZYCH LAT

W swojej działalności w PE Krystyna Łybacka wspierała inicjatywy, których efektem jest popularyzacja wiedzy o Unii Europejskiej i jej instytucjach, zwłaszcza wśród ludzi młodych. Inicjatywy takie jak: Europejskie Przedszkolaki, Najmłodsi na tropie Unii Europejskiej, Wakacje z Europą realizowane były z myślą o najmłodszych mieszkańcach Wielkopolski. Uczniowie szkół podstawowych, gimnazjów i liceów swoją wiedzę na temat Wspólnoty mogli poszerzać, biorąc udział w konkursach europejskich, a także w ramach specjalnych lekcji europejskich, podczas których do szkół przekazywane były materiały edukacyjne przygotowane przez Przedstawicielstwa Komisji Europejskiej i Parlamentu Europejskiego w Polsce. Potrzeba dyskusji o kluczowych wyzwaniach stojących przed Unią Europejską stała się także impulsem do zorganizowania kilku debat oksfordzkich, których inicjatorami byli uczniowie XIV Liceum Ogólnokształcącego w Poznaniu, a na szczeblu uniwersyteckim – studenci Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu.

PRZEŁAMYWANIE BARIER

Poseł Krystyna Łybacka podejmowała wiele inicjatyw realizowanych wspólnie z podmiotami działającymi na rzecz niepełnosprawnych. Szczególny wymiar miały te, których celem były integracja i aktywizacja osób z niepełnosprawnościami, m.in. festyny sportowo-rekreacyjne z udziałem osób dorosłych, młodzieży i dzieci. Krystyna Łybacka wsparła również organizację zajęć w ramach półkolonii dla dzieci z niepełnosprawnością intelektualną w Gnieźnie, a także wyjazd na specjalistyczny obóz rehabilitacyjny do Jastarni dla dzieci z niedosłuchem z Ostrowa Wielkopolskiego. W Pile z inicjatywy poseł Łybackiej i Klubu Sportowego Czarne Pantery odbyło się szkolenie mające zachęcić osoby niewidome i niedowidzące do aktywnego wypoczynku w formule *nordic walking.*

SZKOLENIA DLA PRZEDSIĘBIORCÓW, SAMORZĄDOWCÓW I ORGANIZACJI POZARZĄDOWYCH

Od początku obecnej kadencji Parlamentu Europejskiego posłanka Krystyna Łybacka zaangażowała się w organizację bezpłatnych szkoleń, do udziału w których zapraszała zarówno doświadczonych przedsiębiorców, jak i osoby myślące dopiero o rozpoczęciu własnej działalności gospodarczej. Wśród uczestników szkoleń nie brakowało przedstawicieli samorządów i organizacji pozarządowych. Podczas warsztatów uczestnicy zapoznawali się z zasadami przyznawania wsparcia w ramach perspektywy finansowej na lata 2014-2020 i dowiedzieli się, jak działa Plan Inwestycyjny dla Europy, nazywany potocznie planem Junckera. Dzięki współpracy z Punktami Informacji Europejskiej Europe Direct w Poznaniu i Ostrowie Wielkopolskim, a także Agencją Rozwoju Regionalnego w Koninie szkolenia miały wiele aspektów praktycznych, szczególnie ważnych w procedurze aplikowania po środki europejskie. Szkolenia odbyły się w wielu miastach Wielkopolski. W biurach poselskich Krystyny Łybackiej w Poznaniu, Koninie, Lesznie i Ostrowie Wielkopolskim odbywały się również bezpłatne konsultacje europejskie w formule indywidualnej. Dla pracowników organizacji pozarządowych i instytucji samorządowych odbyły się szkolenia dotyczące funduszy krajowych i europejskich dla sektora pozarządowego oraz przepisów RODO. W 2017 i 2018 r. w szkoleniach na temat rozwiązań prawnych wynikających z ustaw o pożytku publicznym i wolontariacie oraz prawa o stowarzyszeniach uczestniczyło prawie 100 osób.

Z inicjatywy posłanki Krystyny Łybackiej zorganizowane zostało spotkanie konsultacyjne z udziałem ok. 50 osób reprezentujących zarówno organy administracji publicznej, jak i instytucje z branży turystycznej i krajoznawczej. Podczas wystąpień kolejnych panelistów prezentowane i omawiane były dobre praktyki zaangażowania administracji publicznej w tworzenie warunków do jak najpełniejszego wykorzystywania potencjału turystycznego i krajobrazowego regionu Wielkopolski, a także jego promocji na europejskim rynku usług turystycznych.

PORADNIKI EUROPEJSKIE EUROPOSŁANKI KRYSTYNY ŁYBACKIEJ

„Daleka Bruksela bliska ludziom. Uprawnienia, z jakich mogą korzystać obywatele polscy jako obywatele Unii Europejskiej"

„Praktyczny poradnik dla osób podejmujących pracę w krajach członkowskich Unii Europejskiej"

„Praktyczny poradnik dla osób podejmujących pracę na terytorium Unii Europejskiej. Część II. Prawo do świadczeń emerytalnych – omówienie wybranych zagadnień"

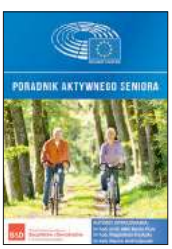

„Niepełnosprawny w Unii Europejskiej"

„Poradnik aktywnego seniora"

Wszystkie poradniki są dostępne do pobrania na stronie internetowej **www.lybacka.pl.**

eprasa.pl b021c5f1c6

ZOSTAŁO MAŁO CZASU, BY PRZERWAĆ KRĄG ZŁA

MAGDALENA CIELECKA

MARCIN DOROCIŃSKI

FILM BORYSA LANKOSZA

CIEMNO, PRAWIE NOC

NA PODSTAWIE POWIEŚCI JOANNY BATOR

KSIĄŻKA W SPRZEDAŻY

AGATA BUZEK · PIOTR FRONCZEWSKI · ROMA GĄSIOROWSKA · DOROTA KOLAK · ALEKSANDRA KONIECZNA · DAWID OGRODNIK · ELIZA RYCEMBEL · JERZY TRELA

AURUM FILM PRZEDSTAWIA W KOPRODUKCJI DORA-FILM WFS WALTER FILM STUDIO ARTPARK DI FACTORY DREAMSOUND FILM WYPRZEDAŻOWANY PRZEZ POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ MAGDALENA CIELECKA MARCIN DOROCIŃSKI W FILMIE BORYSA LANKOSZA CIEMNO, PRAWIE NOC
AGATA BUZEK PIOTR FRONCZEWSKI ROMA GĄSIOROWSKA DOROTA KOLAK ALEKSANDRA KONIECZNA DAWID OGRODNIK ELIZA RYCEMBEL JERZY TRELA WYPRZEDAŻ ARTUR KUCZKOWSKI KASPER HABISIAK MARCIN KASIŃSKI MUZYKA MARCIN STAŃCZYK MONTAŻ MAGDALENA CHOWAŃSKA DYNAMIC TRYTYCZNA PIOLA GIŻLIŃSKA KOSTIUMY MAGDALENA BIEDRZYCKA AGATA COLAK SCENOGRAFIA KATARZYNA FILIMONIUK JAGNA DOBESZ
KOPRODUKCJA PIOTR WALTER JAROSŁAW PERDUTA RAFAŁ BUJNICKI MAREK MAŚLANKA DORYS SZYC JAROSŁAW KUŹNIAR JĘDRZEJ SABLIŃSKI RAFAŁ GOLIS KASPER HABISIAK MARCIN KASIŃSKI ZDJĘCIA MARCIN KOSZAŁKA SCENARIUSZ NA PODSTAWIE POWIEŚCI JOANNY BATOR MAGDALENA LANKOSZ DORYS LANKOSZ PRODUKCJA LESZEK BODZAK ANETA HICKINBOTHAM KAT FILMU BORYS LANKOSZ

W KINACH OD 22 MARCA

eprasa.pl b021c5f1c6

Rozmawia Martyna Słowik

CHODZI O HISTORIĘ, NIE O TRUPY

Uszanuję decyzję świadka, ale jego odmowa nie spowoduje, że przestanę zajmować się tematem

Dlaczego Karol Kot zabijał?

– Moim zdaniem był chory psychicznie. Nie miał mitycznego guza mózgu, o którym długo mówiono.

Zespół biegłych z Krakowa stwierdził, że był chory psychicznie. Ale biegli z Grodziska Mazowieckiego, których opinia stała się wiążąca, uznali go za zdrowego, mogącego w pełni odpowiadać za popełnione czyny.

– Nie do końca. Krakowscy biegli uznali, że pewne objawy wskazują na możliwość wystąpienia choroby. To zmieniało kwalifikację prawną. Jednak orzeczenie biegłych z Grodziska Mazowieckiego było wygodniejsze. Oni wtedy zawsze orzekali właściwie.

To znaczy jak?

– W pewnych sprawach wyrok nie zapadał w sądzie. Ale by zapadł właściwy, potrzebowano podkładki, żeby zachować pozory. Tak było w najbardziej znanej sprawie, wampira z Zagłębia, w której o kilkanaście morderstw oskarżono Zdzisława Marchwickiego. Ogromną rolę w tym procesie odegrali biegli z Grodziska.

Nie uważasz, że biegli z Grodziska za bardzo ulegali naciskowi społeczeństwa, które chciało linczu?

– Psychiatrzy raczej nie, dla nich to nie miało znaczenia. To sąd uległ presji społeczeństwa. Podczas „turnieju biegłych", bo tak to nazwała prasa, chodziło o coś innego. Biegli z Grodziska nie byli pracownikami naukowymi. Zdzisława Truszczyńska miała doktorat, a Andrzej Różycki nie. Leczyli na oddziałach i byli jednocześnie biegłymi. W zespole krakowskim byli klinicyści ze szpitala uniwersyteckiego z ogromnym dorobkiem badawczym. To trochę tak, jakby mechanik samochodowy chciał się spierać z inżynierem projektującym silniki.

Rodzice, zwłaszcza matki, w jakimś stopniu zawsze usprawiedliwiają swoje dzieci.

Choć kiedy czytam ich opinie, mam wątpliwości, czy psychiatrzy w ogóle powinni się wypowiadać. Ich orzeczenia są śmieszne. Biegli przepisywali zeznania świadków w taki sposób, jakby potwierdzali ich autentyczność. Własnych wniosków było niewiele. Na sto stron dokumentu dosłownie dwa akapity.

Różnice w opiniach biegłych wynikały z koniunkturalizmu zespołu z Grodziska Mazowieckiego?

– Biegli powołani do sprawy Kota pochodzili z dwóch różnych szkół psychiatrii. Psychiatria nie jest nauką ścisłą, zero-jedynkową. Obserwując zachowanie podejrzanego, jeden stwierdzi, że występuje u niego takie zaburzenie, a drugi, że inne, albo że go w ogóle nie widzi. Jeden z biegłych psychiatrów sam powiedział, że to, jak oni interpretują zachowania pacjentów, zależy od wcześniejszych doświadczeń zawodowych, od tego, z jakimi pacjentami pracowali, jakie przypadki badali.

Co ciebie najbardziej zastanowiło po przeczytaniu akt sprawy?

– Nikt podczas procesu nie zwrócił uwagi na to, że Karol słyszał głosy, które mu coś kazały. To dosłownie kilka zdań, które padają na sali sądowej. W opiniach biegłych nie ma o tym ani słowa. Sędzia próbował dopytywać, ale Kot odmówił odpowiedzi. I nikt dalej tego wątku nie ciągnął.

Powinien?

– Co nam przychodzi na myśl, gdy się dowiadujemy, że oskarżony słyszał jakieś głosy? Schizofrenia. Biegli stwierdzili zaś, że nie jest schizofrenikiem.

Rówieśnicy Kota już w szkole widzieli, że jest dziwny, agresywny. Kolekcjonował noże, opowiadał o fantazjach związanych z zadawaniem bólu. Może gdyby zareagowało środowisko – rówieśnicy, nauczyciele, rodzice – nie doszłoby do tragedii?

– Nie sądzę. To był rzadki przypadek psychopaty. O to także spierali się biegli. Oczywiście Grodzisk twierdził, że Kot nie jest psychopatą, a Kraków, że wykazuje cechy typowe dla psychopatów i sadystów. Inną sprawą jest hobby. Dzisiaj kolekcjonowanie noży nie wydałoby się dziwne, ale w tamtych czasach może powinno. Jednak otoczenie musiało zauważyć, że to nie tylko pasja. To była niezdrowa fascynacja.

Z akt śledztwa, które szeroko przytaczasz w książce, wynika, że matka Kota zachowywała się tak, jakby nie dopuszczała do siebie pewnych faktów.

– Rodzice, zwłaszcza matki, w jakimś stopniu zawsze usprawiedliwiają swoje dzieci. Nie zauważają pewnych zachowań, a nawet im zaprzeczają. Tyle że Karol w domu się maskował. Owszem, nie krył się z kolekcjonowaniem noży, rzucał nimi namiętnie i tłumaczył rodzicom, że to część treningu, że wyrabia celność. A oni przyjmowali to bezkrytycznie.

Przesłuchiwani przez śledczych koledzy Kota opowiadali, że w szkole był obiektem drwin.

– Wszyscy zeznawali w ten sam sposób: „Koledzy przezywali…", „Koledzy z niego się śmiali…". Ale nie padają imiona ani nazwiska. Nie mówią też „my". Jest ich 30 w klasie i każdy mówi o innych, nie wskazując konkretnych osób. Kot był piętnowany, wyśmiewany. Dzisiaj nazwalibyśmy to hejtem. Takie zachowania pogarszały jego stan psychiczny.

Dotarłeś do młodszej siostry Karola, Barbary. Kiedy on popełniał swoje zbrodnie, ona była dzieckiem. Dlaczego w książce nie oddajesz jej głosu?

– Bo w aktach sądowych był tylko jeden krótki protokół z jej przesłuchania. A konstrukcja książki opiera się przede wszystkim na dokumentach archiwalnych.

eprasa.pl b021c5f1c6

PRZEMYSŁAW SEMCZUK
– dziennikarz i pisarz, autor książki „M jak morderca" o Karolu Kocie, który w latach 60. wywołał w Krakowie psychozę strachu

Barbara powiedziała, że jako dziecko bała się go. Wpadał w szał, atakował ją, zmieniały mu się oczy. Po paru minutach mu przechodziło. Kiedyś podbił jej oko. Nawet wtedy kryła go przed rodzicami. Po tych atakach czasami jej współczuł, pytał, czy boli i co się stało. Jak gdyby tego nie pamiętał. Opowiedziała też o ataku w bramie, już po aresztowaniu Kota. Jakiś mężczyzna zaczął ją szarpać i dusić. Bełkotał, że zabrano mu dziecko i on zabierze czyjeś. Odpowiedziała, że też jest ofiarą. Odszedł i nigdy więcej go nie widziała.

Kto to był?

– Nie mogę powiedzieć, ale nietrudno się domyślić.

Co byś zrobił, gdyby Barbara nie zgodziła się na rozmowę?

– Kiedyś, pracując nad innym reportażem, po długich poszukiwaniach namierzyłem człowieka, który mógł mi powiedzieć coś o sprawie. Zadzwoniłem. Stwierdził, że dla niego sprawa jest zamknięta. Uszanowałem to. Za kilka minut oddzwonił i powiedział: „Pan i tak o tym napisze. Wolę, żeby pan napisał to, co powiem, a nie głupoty. Chcę mieć na to wpływ, porozmawiajmy". Od tamtego czasu używam tego argumentu: uszanuję decyzję, ale proszę mieć na uwadze, że odmowa nie spowoduje, że przestanę zajmować się tematem.

Rozmawiałeś też z Danutą Włodarczyk, koleżanką Kota z sekcji strzeleckiej, dzięki której milicja wpadła na jego trop.

– Podczas pierwszej rozmowy zaproponowałem, że opowiem to, co wiem z akt sprawy, a ona to uzupełni. Wolała jednak sama opowiadać. Niestety, pamięć jest zawodna. Nie była to dokładna opowieść. Po 50 latach nie zgadzała się chronologia zdarzeń. Na szczęście są dokumenty. Papier się nie myli. Ale w dokumentach nie ma emocji, o których może opowiedzieć uczestnik wydarzeń. W tym człowiek ma przewagę nad suchym zapisem faktów. Danuta do pewnego momentu była przekonana, że Kot ma problemy, w których trzeba mu pomóc. Nie wierzyła, że to on zabił. Ale przyszedł moment, że uwierzyła.

W jaki sposób chciała pomóc Karolowi?

– Szukała pomocy w klinice psychiatrii u dr Półtawskiej. Po pierwszej wizycie, gdy Półtawska powiedziała, że nic mu nie jest, uwierzyła jej jako specjalistce. Tydzień później Kot zamordował na kopcu Kościuszki młodego chłopca, Leszka Całka. To była jego druga śmiertelna ofiara. Ciekawy jest moment, kiedy Danuta już wie, kim jest Kot. Była na milicji, złożyła zeznania. Idą do pracowni trenera, on łapie ją w korytarzu, wykręca ręce. Ona już się nie śmieje, już się go boi. W tym momencie zdała sobie sprawę, że on może ją zabić. Ale nie dała tego po sobie poznać.

Danuta zaprowadziła Karola do dr Półtawskiej, psychiatry, dzisiaj bardziej znanej jako przyjaciółka Jana Pawła II i działaczka *pro-life*. Doktor stwierdziła, że Kot jest „nałogowym onanistą", i przepisała mu witaminę B complex. Co po latach powiedziała ci o sprawie?

– Nie chciała ze mną rozmawiać, zdenerwowała się. Kategorycznie stwierdziła, że nie chce, aby przy tej sprawie pojawiało się jej nazwisko. Pytała, skąd o niej wiem. Gdy powiedziałem, że z akt, odparła: takie akta niech pan do pieca wsadzi. W 1967 r., podczas procesu, dostawała wezwania do sądu jako świadek. Nie przychodziła, wyjechała nawet z Krakowa. Wtedy myślenie sądu było inne: jeden świadek w tę czy w tamtą nie robi różnicy. Zresztą jej zeznania niewiele wnosiły do sprawy.

Myślisz, że dr Półtawska czuje się winna i dlatego unika rozmów?

– Uważam, że to jej porażka jako lekarza psychiatry. Kiedy się jest specjalistą, pewne rzeczy trzeba potrafić rozpoznać. Jej spostrzeżenia jako psychiatry były zadziwiające:

Teraz nie ma kary śmierci, a spirala nienawiści też się nakręca.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl b021c5f1c6

Mirosław Woroniecki
Autorytarny klerykalizm i socjalliberalna alternatywa
Redakcja „Res Humana"
Warszawa 2018

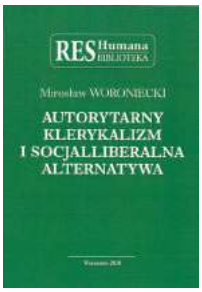

Bracia Kaczyńscy, konstruując ofertę wyborczą, odwołali się do ludowej religijności i obrzędowości eksponującej związek z ideą narodową – twierdzi autor zbioru. Ostatecznie doktryna Prawa i Sprawiedliwości przybrała formę klerykalizmu politycznego jako praktyki działania. Dzisiejsze poparcie znacznej części społeczeństwa dla demontażu instytucji demokratycznych jest w znacznym stopniu wynikiem postawy większości biskupów i kleru Kościoła katolickiego w Polsce, który zdając sobie sprawę z nieuchronnego procesu laicyzacji, stara się mu przeciwstawić.

Janusz Maciej Jastrzębski
Pocztówki z San Escobaru
Rzeszów 2018

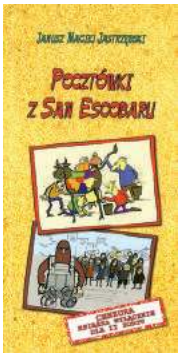

Dziennikarz i literat przedstawia tomik wierszy satyrycznych komentujących „dobrą zmianę" w San Escobarze, gdzie władze z zacięciem kształtują wielką przemianę kraju: „A to spółki państwowe dla swoich przejmują, / A to prawa połamią, »dla dobra narodu«, / Zarazem praworządność wielką deklarują. / A to podwyżki sobie załatwią po cichu, / A to leki podrożą, dla dobra pacjentów… / Sami zaś w bizantyjskim topią się przepychu".

Józef Stanisław Kmieciak
Zmyślenia
Oficyna Wydawnicza Reduta
Łódź – Warszawa 2017

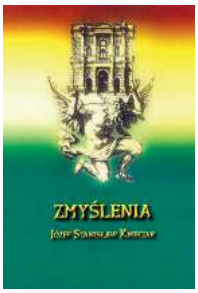

Zbiór przewrotnych aforyzmów, których autor posługuje się często kpiną, drwiną i szyderstwem. Pisze: „Poczucie władzy usztywnia nawet chwiejnych". Albo: „Z niewoli umysłowej może cię wyzwolić tylko całkowita bezmyślność". „Każdego potrafił zafascynować swoją ignorancją". „Niejeden działając z niskich pobudek, osiągnął szczyt kariery".

najistotniejszą rzeczą było to, że on się onanizuje. Całej reszty nie zobaczyła. Mam wrażenie, że Wanda Półtawska przez pryzmat swojej wiary i przekonań ma spaczone spojrzenie. Dożyliśmy czasów, w których lekarz ginekolog może powiedzieć, że ma klauzulę sumienia. Nie liczy się przysięga Hipokratesa, tylko przekonania religijne. I o ile musimy akceptować to, że ginekolog odmawia przepisania tabletki „dzień po", o tyle kwestia wiary u psychiatry wydaje się bezsensem. Krótka rozmowa z dr Półtawską skończyła się jej stwierdzeniem, że miała inną diagnozę. Nie wiem jaką, bo nie chciała powiedzieć. Pewnie uznała, że Karol był opętany.

Myślisz, że kara śmierci, która obowiązywała w Polsce do końca lat 80., nakręcała spiralę nienawiści?

– Teraz nie ma kary śmierci, a spirala też się nakręca. Wystarczy przypomnieć sprawę mężczyzny, który podpalił dom ze śpiącymi żoną i dziećmi. Albo sprawę Katarzyny W., matki Madzi z Sosnowca. Włączasz telewizję i słyszysz, jak ludzie mówią: „Panie, powiesić trzeba, po co nam takie potwory". Dokładnie taki list znajduje się w aktach Kota. „Takich ludzi nam nie potrzeba, chwasty trzeba wyrywać z korzeniami".

Według sondażu SW Research dla „Newsweeka" z 2016 r. 45% Polaków chciało przywrócenia kary śmierci.

– To szokujące dane. Mam wrażenie, że ostatnio liczba zwolenników kary śmierci zaczyna rosnąć. Ks. Adam Boniecki, który był na procesie Kota, powiedział, że to była kara eliminacyjna. Nie chodziło o zadośćuczynienie czy o karę samą w sobie, ale o to, żeby skutecznie go się pozbyć. Takie było oczekiwanie społeczne, poza tym psychiatrzy bali się podobnych przypadków. Wtedy nie było jeszcze zakładu w Gostyninie.

Teraz jest, ale przepełniony.

– Jest nawet kolejka. Okazało się, że ludzi, którzy powinni tam się znaleźć, jest więcej niż tylko Trynkiewicz. Dotychczas w najlepszym razie trafiali na oddział zamknięty szpitala psychiatrycznego. Ale i wtedy, i teraz personel nie chciał takich przypadków. Tego nie da się leczyć. Gostynin to przechowalnia. Sposób na humanitarną eliminację ze społeczeństwa. Coś, co ma zastąpić dożywotnie więzienie.

Czy zbrodnie, które popełnił Kot, mogą się zdarzyć we współczesnej Polsce?

– Pewnie. I się zdarzają. Jak brutalne morderstwo i oskórowanie studentki z Krakowa w 1998 r. Zrobił to ewidentny seryjny morderca. Teoretycznie to określenie stosuje się, gdy człowiek zamorduje więcej niż trzy osoby. Być może była to jedyna ofiara. Jednak istotny jest *modus operandi*, sposób działania sprawcy i motywacja. Kajetan P., świeża sprawa, gdyby go nie złapano po pierwszym morderstwie, zabijałby dalej.

Nie obawiasz się, że twoja książka może zmotywować potencjalnych przestępców do działania?

– Zawsze jest takie ryzyko. Bogdan Lach, najsłynniejszy polski profiler, powiedział, że wkurza się, gdy widzi nagłówki „Top 10 największych seryjnych morderców". Bo to motywuje przestępców, którzy też chcieliby się znaleźć na takiej liście. Karol Kot tak reagował, był dumny z tego, co robił. Podczas wizji odgrywał rolę i cieszył się, że jest w centrum zainteresowania. Achim Knychała także chciał być lepszy od Marchwickiego. Dodam, że nie wierzę w winę tego ostatniego. Są ludzie, którzy szukają w internecie informacji, czytają, ale któregoś dnia to im może nie wystarczyć. Mogą zechcieć poczuć to, co czuje morderca. Dlatego w książce o Marchwickim w ogóle nie chciałem opisywać drastycznych scen. Po co? Chodzi o historię, nie o trupy. O pokazanie tamtego świata, ludzi i tego, jak wtedy działał aparat ścigania. Tło społeczne pojawia się we wszystkich moich książkach. Nawet w biografii małego fiata. A w „M jak morderca" odgrywa bardzo ważną rolę. Ta książka opisuje nie tylko Kota, ale i społeczeństwo ówczesnego konserwatywnego Krakowa. Dulszczyznę. Ci sami ludzie, którzy walczą o kościół w Nowej Hucie, wysyłają listy, pisząc: „Niech sąd nie waży się wydać innego wyroku niż wyrok śmierci".

Martyna Słowik

Tło społeczne pojawia się we wszystkich moich książkach. Nawet w biografii małego fiata.

eprasa.pl b021c5f1c6

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

DEJANIEPAWŁYZACJA

Jeżeli ktoś na stałe nie monitoruje prawicowych portali (portalików, portaliczątek) albo przy porannej kawie z croissantem nie przerzuca francuskich dzienników, to mógł mu ten tekst umknąć. Francuski dziennik „Le Monde" opublikował artykuł dwóch działaczek katolickich. Pisarka i redaktorka „Témoignage chrétien" Christine Pedotti oraz publicystka i biblistka Anne Soupa zatytułowały swój tekst „Żądamy (prosimy? pytamy o?) dekanonizacji Jana Pawła II" i bez żadnej taryfy ulgowej argumentowały, że właśnie myśli i teksty papieża z Polski budowały „systemową kulturę przemocy" wobec kobiet poprzez takie, a nie inne podejście i wyidealizowanie Maryi, matki Jezusa.

Grzegorz Górny w portalu wPolityce (dla wtajemniczonych – wPotylicę), usiłując dawać odpór działaczkom, przywołuje fragment tekstu: „Żądamy dekanonizacji papieża Jana Pawła II, protektora oprawców w imię »racji Kościoła« oraz głównego architekta ideologicznej konstrukcji »kobiety«, a także zakazu nauczania, propagowania oraz publikowania »teologii ciała«, którą głosił on podczas swych środowych katechez". Mniejsza o gimnastykę retoryczną Górnego, który wzburzony podkreśla, że „francuskie działaczki nie przytaczają żadnego dowodu na związek maryjności Jana Pawła II (czy nawet szerzej: maryjności Kościoła katolickiego) z wykorzystywaniem seksualnym zakonnic przez księży". Nie chcę wchodzić w meandry argumentacji francuskich autorek, które napisały tekst pod wpływem doniesień o gwałtach na zakonnicach dokonanych przez księży. W tej historii, z polskiej perspektywy, moją uwagę zwraca coś innego – pojawienie się bardzo mocnego mainstreamowego głosu skrajnie krytycznego wobec Jana Pawła II. Idzie to za ujawnianymi krok po kroku nie tylko konsekwencjami propagowanej wizji kobiety i jej seksualności (a raczej jej ograniczania), ale przede wszystkim faktami pokazującymi, jak wiele tamten papież wiedział o ciemnej stronie instytucji, której był zwierzchnikiem. I co najbardziej porażające – jak niewiele w tych sprawach robił, albo jak dużo wysiłku włożył w to, żeby skandale z pedofilskimi przestępstwami księży i hierarchów nie ujrzały światła dziennego. Polski Kościół, media, władza czy społeczeństwo nie wykazywały się nigdy nawet śladową skłonnością do spojrzenia z dystansu czy krytycznie na Karola Wojtyłę w watykańskiej odsłonie. Byliśmy – wierzący i niewierzący, partyjni i bezpartyjni, kobiety i mężczyźni – zjednoczeni w micie i śnie otulającym jego postać, działania, zaniechania (o których wiedzieliśmy albo mało, albo jeszcze mniej). I dlatego cała Polska jest Janem Pawłem wybrukowana. Tysiące ulic, placów, szkół, alei, centrów, zakamarków nosi jego imię. I potężne zapomnieczenie Polski wszerz i wzdłuż. Co się stanie, kiedy święty papież zostanie tylko byłym papieżem? (Nigdy wcześniej Kościół nie dekanonizował swoich świętych, droga od jednego tekstu dwóch kobiet do pozbawienia Jana Pawła II aureoli daleka, ale pozwólmy sobie na luksus wolności pomyślenia. Nawet warszawski sąd w ostatnich dniach uznał wyrok na Jerzego Urbana za publikację niewinnego żartu rysunkowego ze zdziwionym Jezusem za karkołomną pomyłkę i nakazał przeprowadzenie postępowania raz jeszcze – kula się toczy...).

Cała Polska jest Janem Pawłem wybrukowana.

Co z tą Polską? Co z ulicami naszych miast? Jak żyć? Co z tysiącami portretów w świątyniach, często bardziej eksponowanymi od obiektu kultu? Nie nasz problem, to pytania wierzących wobec ich własnej wspólnoty. Oczywiście jest problem poważniejszy niż kłopot meldunkowy. To jest też kwestia tego, że przez lata nie tyle nie mogliśmy, ile nie chcieliśmy słyszeć głosów sprzeciwu, krytyki NASZEGO OJCA ŚWIĘTEGO. Teraz będziemy, być może, mierzyć się z tym, że ani on taki nasz, ani ojciec i na dodatek żaden święty.

Żebym się nie zagalopował – dla Kościoła wciąż święty, dla milionów Polek i Polaków także. Jednak warto mieć przed oczyma dynamikę znikania prałata Jankowskiego, zarówno jego pomnika, jak i – co istotniejsze – legendy, a co najważniejsze – wchodzenie opowieści okrutnej, przerażającej o wyrządzonych przez niego krzywdach. Opór Kościoła będzie tu trwał, zaklęcie, że martwy nie może się bronić, będzie huczeć, głos ofiar będzie marginalizowany, lekceważony – tak to działa, nie będzie inaczej. Ale coraz większe grupy społecznościowe mówią i powiedzą „nie". I tej siły już nie da się zatrzymać.

Podobnie będzie z legendą o Janie Pawle. Nie ma pomników nieobalalnych, ale nie o pomniki z kamienia tu idzie. Chodzi o monumenty w naszych głowach, stawiane nadaremnie, z głębokiej potrzeby jakiejś większej „mądrości", autorytetu, który zdejmie z nas odpowiedzialność i odpowie na leninowskie pytanie „Jak żyć?". Słyszeliśmy więcej czegoś innego, niż w papieskich kazaniach było, przypisywaliśmy mu więcej zasług, niż miał na koncie, nie podejrzewaliśmy nigdy o nic – za to wszystko przyjdzie zapłacić. Patrząc z boku, z dystansu, spoza Polski – nic w tym dziwnego. Patrząc stąd – wciąż nie do wiary. Nie zazdroszczę wierzącym. Na szczęście w ojczyźnie Karola Wojtyły nie tak ich znowu wielu, coraz mniej. Wygrywają praktykujący i dlatego proces odjaniepawlania może tu potrwać co najmniej dekady, jeśli nie dłużej. Pod warunkiem, że to dłużej w ogóle będzie (piszę w przeddzień szkolnego strajku klimatycznego). W ich niezajaniepawlonych głowach i rękach – nadzieja.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b021c5f1c6

SZUKALSKI – KONIEC NIEWAŻNOŚCI

Nie ma grobu wielkiego rzeźbiarza, jego prochy zostały rozrzucone na Wyspie Wielkanocnej

Leszek Konarski

Pełnometrażowy film dokumentalny o uśmierconym milczeniem w Polsce i za granicą rzeźbiarzu Stanisławie Szukalskim „Walka: Życie i zaginiona twórczość Stanisława Szukalskiego" („Struggle: The Life and Lost Art of Szukalski") to największy i dotychczas najdroższy film opowiadający o jakimkolwiek polskim artyście. Wyświetlany jest na platformie Netflix w 160 krajach, w 60 wersjach językowych, dla prawie 200 mln subskrybentów. Producentami filmu o szaleńczym samouku, synu kowala z Warty koło Sieradza, porównywanym do Michała Anioła i Rodina, przed którym chylili głowę najwięksi polscy rzeźbiarze z Xawerym Dunikowskim na czele, są właśnie Netflix i aktor Leonardo DiCaprio, a całość wyreżyserował dokumentalista Irek Dobrowolski.

DiCaprio zrealizował ten film, nie tylko aby opowiedzieć o tragicznym losie wyklętego rzeźbiarza wyprzedzającego swoją epokę, ale również by spłacić dług wobec Polaka, który pomógł mu stać się artystą. Do skromnie urządzonego domu na przedmieściach Los Angeles młody Leonardo przychodził często z ojcem George'em, rysownikiem komiksów. Szukalski tłumaczył mu, że wielka sztuka jest wytworem wyobraźni, a nie kopiowaniem rzeczywistości. Jak twierdzi dzisiaj Leonardo DiCaprio, rozmowy z „polskim dziadkiem", bo tak go nazywał, pomogły mu w karierze filmowej, a ten dokument był jego obowiązkiem wobec zapomnianego artysty.

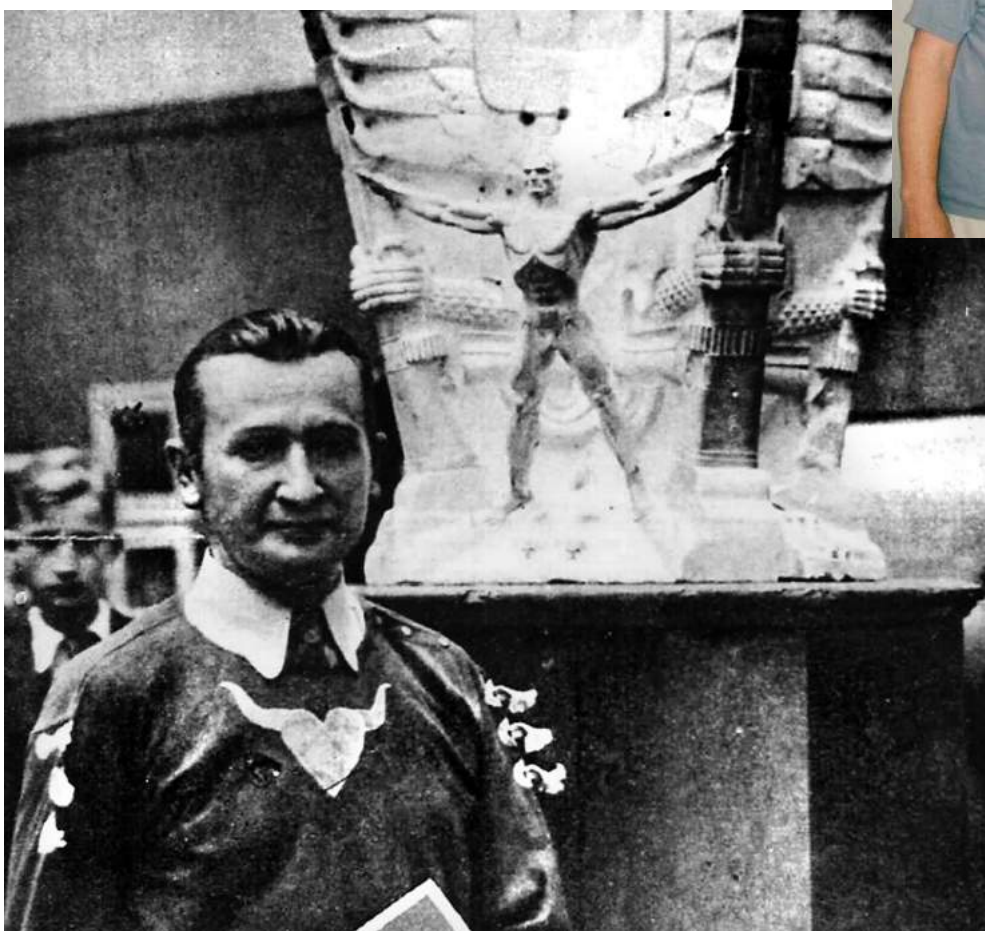

Stanisław Szukalski przy projekcie pomnika „Wiecznica baczności" dla Katowic, 1929 r.

ODKRYTY PO LATACH

Przy filmie o Stanisławie Szukalskim pracowało niemal 300 osób, zdjęcia trwały pięć lat, korzystano z pomocy amerykańskich wytwórni filmowych mogących tworzyć efekty niestosowane dotąd w dokumentach. Oryginalnych dzieł Szukalskiego zachowało się bowiem niewiele, praktycznie cała jego twórczość, znajdująca się w pracowniach w Warszawie i Katowicach, została zniszczona przez hitlerowców w pierwszych miesiącach II wojny światowej. Dzięki dzisiejszej technice filmowej udało się z zachowanych zdjęć odtworzyć całe piękno tych rzeźb. Najpierw zdjęcia były fotografowane przez pięć kamer, następnie specjaliści składali wygenerowany komputerowo model rzeźby, nakładali kolor, fakturę, nadawali ruch. Tym sposobem udało się wirtualnie zrekonstruować rzeźby z najdrobniejszymi szczegółami.

Reżyser Irek Dobrowolski, autor głośnego „Portrecisty", opowiadającego o Wilhelmie Brassem, fotografie w Auschwitz-Birkenau, o Szukalskim wiedział niewiele. – W 2013 r. przypadkowo znajomy powiedział mi, że amerykański kolekcjoner Glenn Bray poszukuje polskiego reżysera, który zrealizowałby dokument o Stanisławie Szukalskim. Moja żona Anna, z którą od 2001 r. wspólnie realizujemy filmy, była w tym czasie w Stanach Zjednoczonych. Postanowiła odwiedzić mieszkającego w Kalifornii Braya i po zobaczeniu zgromadzonych materiałów stwierdziła, że powinniśmy ten film zrobić – wspomina i dodaje: – Wielką przyjemnością była praca z Leonardem DiCaprio. On załatwiał wszystkie sprawy w Netflixie, umawiał nas na wywiady z najważniejszymi ludźmi, do dyspozycji mieliśmy studia filmowe i najlepszych producentów. Leonardo był z nami od pierwszych zdjęć do ostatnich. Na końcu, 11 grudnia 2018 r., poprowadził pierwszy pokaz filmu w Los Angeles County Museum of Art (LACMA),

eprasa.pl b021c5f1c6

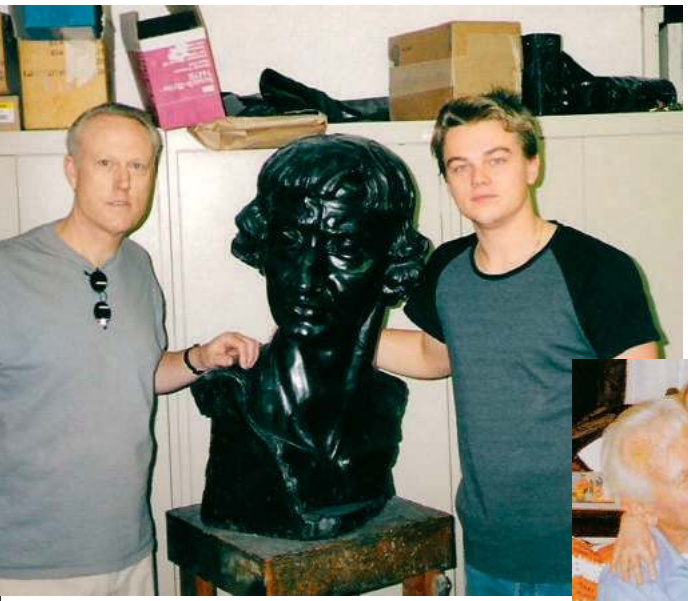

Glenn Bray i Leonardo DiCaprio przy rzeźbie Szukalskiego „Kopernik", Los Angeles, 1999 r.

Stach z Warty z dziewięcioletnim Leonardem, Los Angeles, 1983 r.

na który przybyły sławy Hollywoodu. Po projekcji niektórzy mieli łzy w oczach, wzruszony był też DiCaprio, bo dla niego to bardzo osobista opowieść o przyszywanym polskim dziadku, który zaraził go sztuką.

KOPERNIK Z ANTYKWARIATU

Nie tylko DiCaprio chciał przypomnieć twórczość Polaka. Film jest przede wszystkim efektem wielkiej przyjaźni Szukalskiego z mieszkającym w Los Angeles kolekcjonerem Glennem Brayem, który w latach poprzedzających śmierć artysty zapisywał na taśmach wideo rozmowy z nim, pomagał mu materialnie i któremu Szukalski powierzył opiekę nad swoją spuścizną.

Zaczęło się w 1978 r., gdy młody kolekcjoner komiksów Glenn Bray w antykwariacie w Los Angeles znalazł wydany w 1923 r. album o nieznanym mu Stanisławie Szukalskim. Zamieszczone tam fotografie

Tylko sztuka potrafi zmienić chlebojada i ziemiołaza w twórcę.

rzeźb zachwyciły go. Kilka lat później w innym antykwariacie zobaczył plakat z wizerunkiem Kopernika i od razu rozpoznał, że to dzieło Szukalskiego. Księgarz powiedział, że ten plakat dał mu osobiście Szukalski, który mieszka w pobliżu. Bray znalazł numer w książce telefonicznej i tak zaczęła się trwająca kilkanaście lat wielka przyjaźń. To dzięki Brayowi wiemy o ostatnich latach Szukalskiego, o jego często ekscentrycznych pomysłach i przemyśleniach. I to on namówił Leonarda DiCaprio do zrobienia filmu.

Irkowi Dobrowolskiemu udało się zrobić film bardzo prawdziwy, niczego nieukrywający, przedstawiający różne oblicza samorodnego geniusza, ekscentryka, człowieka pełnego sprzeczności. Dla Szukalskiego nie było podziałów między życiem, nauką, religią – wszystko było sztuką. Jest więc o wierze artysty w ideę wielkiej i słowiańskiej Polski, o patriocie, który w ostatnich latach stworzył 43-tomowe dzieło wykazujące, że Polacy byli jednymi z pierwszych ludzi na naszej planecie i przed tysiącami lat mieszkali w okolicach Wyspy Wielkanocnej na Oceanie Spokojnym. Szukalski został też pokazany jako idol przedwojennej bohemy artystycznej Chicago, a w Polsce skandalista, nacjonalista, przeciwnik zniewolenia kraju przez kler katolicki, antysemita, wizjoner, a w ostatnich latach uwielbiany za swoje poglądy przez polskie organizacje nacjonalistyczne i słowianofilskie. Jest tu o napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę, bombardowaniu polskich miast, mordowaniu polskiej inteligencji, niszczeniu dóbr kultury. Ale są także migawki z ostatnich Marszów Niepodległości, gdzie członkowie prawicowych ugrupowań mają na transparentach „toporła" – zaprojektowany przez Szukalskiego symbol potęgi Słowiańszczyzny, orła

Światem rządzą hordy niedouków, którzy wszystko wiedząc, niczego nie potrafią zrobić – mówił Szukalski.

z rozpostartymi skrzydłami układającymi się w kształt topora. O naszej skomplikowanej historii opowiada w filmie prof. Timothy Snyder z Uniwersytetu Yale. Szukalskiego wspominają amerykańscy artyści, pisarze, krytycy sztuki, a z Polaków – prof. Lechosław Lameński z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, autor pierwszej po wojnie biografii artysty, ponadto historyk sztuki dr Piotr Rypson i Maciej Miezian z Muzeum Historycznego Miasta Krakowa.

MILCZENIE

Stanisław Szukalski, ps. Stach z Warty, urodził się 13 grudnia 1893 r. w Warcie. W wieku 13 lat wyjechał z rodzicami do Stanów Zjednoczonych i uczęszczał do Art Institute of Chicago, gdzie profesorowie dostrzegli jego niezwykły talent rzeźbiarski. Za namową polskiego rzeźbiarza Antoniego Popiela 15-letni Staś został wysłany na studia do Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Na egzaminie wstępnym wzbudził zachwyt prof. Konstantego Laszczki i został natychmiast przyjęty. Ale Staś buntował się i wrócił w 1913 r. do Ameryki.

Po sukcesach w Stanach Zjednoczonych w 1923 r. przyjechał do Polski, gdzie jego prace wzbudziły zachwyt, na wystawy przychodziły tłumy. W 1929 r. z grupą swoich zwolenników usuniętych z krakowskiej ASP założył Szczep Szukalszczyków herbu Rogate Serce i poddając totalnej krytyce dotychczasowy system kształcenia artystów, planował otworzyć w Krakowie Twórcownię, centrum sztuki dla studentów z całego świata. Znowu jednak wyjechał do USA, by w 1935 r. wrócić do Polski z całym dorobkiem artystycznym.

Został wreszcie doceniony, miał pracownie w Warszawie i w Katowicach, spływało sporo zamówień. Wszystko skończyło się z wybuchem wojny. Cała twórczość Szukalskiego została zniszczona. Na szczęście on sam z żoną, dzięki amerykańskiemu paszportowi i z pomocą ambasady amerykańskiej w Warszawie, z dwoma tylko walizkami wrócił do USA i osiedlił się w Kalifor-

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl b021c5f1c6

nii, gdzie do końca żył w biedzie. Mało rzeźbił, nie miał pieniędzy na materiały, pracował nad wielotomowym dziełem, chcąc udowodnić, że kiedyś wszyscy ludzie na Ziemi posługiwali się językiem zbliżonym do polskiego. Swoją teorię nazwał zermatyzmem. Tworzył nową mitologię z Polską w tle, chciał odrodzenia Słowiańszczyzny. Zmarł 19 maja 1987 r., przed śmiercią poprosił Glenna Braya, aby rozrzucił jego prochy właśnie na Wyspie Wielkanocnej, u stóp kamiennych posągów. Jego wola została spełniona, nie ma nigdzie grobu genialnego artysty.

„Mikołaj Kopernik", litografia,1940 r.

„Bolesław Prawy", fragment pomnika, 1928 r.

WEGETACJA PRZEZ NIEDONOSKÓW

Po wojnie Szukalski tylko raz odwiedził Polskę – w październiku 1957 r. – i wtedy go poznałem. Miałem 16 lat i nigdy nie zapomnę tych kilku dni spędzonych na rozmowach ze Stachem z Warty. To była postać charyzmatyczna, wizjoner, szaleńczy w swoich pomysłach, patriota dążący do odrodzenia Polski, przeciwnik komunistów, Kościoła, uważający, że z kulturą w Ameryce jest gorzej niż na Syberii.

Mój ojciec, Marian Konarski, jeden ze studentów wyrzuconych z krakowskiej ASP w 1929 r. za entuzjastyczne przyjęcie wystawy rzeźb Szukalskiego w Krakowie, pełnił aż do śmierci w 1998 r. funkcję szczepowego w Szczepie Rogatego Serca, który faktycznie od lat już nie istniał. Był także – oprócz kuzyna Stacha z Warty, mieszkającego w Warszawie Romana Romanowicza – jednym z dwóch ludzi, którzy cały czas utrzymywali listowny kontakt z Szukalskim. Niemal co dwa tygodnie, a czasem częściej, do ojca przychodził list z Ameryki, w którym Szukalski pytał, co nowego w Polsce, co w Krakowie, na Wawelu, na Floriańskiej. Żył Polską, musiał o wszystkim wiedzieć.

Przed wojną listy pisał ręcznie, używając unikatowego liternictwa, ozdabiając treść rysunkami. Wszystkie te przedwojenne listy zostały opublikowane w książce prof. Lechosława Lameńskiego „Szukalski. Teksty o sztuce" i znajdują się w dziale rękopisów Biblioteki Narodowej w Warszawie. Listy powojenne Szukalski pisał już na maszynie (niedługo też zostaną opublikowane). Ojciec zawsze mówił, że ta korespondencja to powinność pielęgniarska. Wiadomości z Polski pomagały Szukalskiemu przetrwać w Ameryce.

Dlatego gdy jedyny raz Stanisław Szukalski przyjechał do Polski, przez kilka dni mieszkał w naszym domu rodzinnym w Krzeszowicach pod Krakowem i tu spotykał się z byłymi uczniami i zwolennikami. Tłumaczył mi, że sztuka to wyobraźnia, zapisywanie marzeń. Mówił i potem przypominał w listach, że „światem rządzą hordy niedouków, niedonosków poronionych, którzy wszystko wiedząc, niczego nie potrafią zrobić". Tylko „sztuka potrafi zmienić chlebojada i ziemiołaza w twórcę, w pół-boga". To przez tych wszystkich niedonosków musi klepać biedę w Ameryce, która tak jak Polska tępi ludzi wybitnych, utalentowanych, a nagradza miernoty. Pamiętam, jak mówił, że „towarzystwo rechoczących żab" lub „duchowo upośledzone chamy inteligenckie", jak zwykł nazywać krytyków sztuki, postanowiły „skazać go na nieważność".

Gdy ojciec dowiedział się o śmierci Stacha z Warty, napisał jeszcze jeden list, którego nie wysłał. Zakończył go słowami: „Wielki talent jest niewygodny dla wszelkich komisji przeciętniaków. Niewygodny był Norwid, Matejko czy Wyspiański, którzy tylko od kamieni nie doznali goryczy. Nawet Mickiewicz pod koniec życia był niewygodny dla rodzimych polityków. Mickiewicz, na którego pomniku wykuto napis: »On kochał Naród«. Na Twoim grobie należałoby napisać: »On kochał Naród, a Polaków chłostał za ich wady, o których nie w smak nam słuchać«. Ty byłeś z rodziny szaleńców twórczości i pracy. Zaleta, bo historia szczyci się takimi szaleńcami. Oni ją piszą swoim życiem. Ale wada, bo płaci się za nią ciągłą męką konfliktów, osobistym szczęściem, życiem bez tego masła, które smaruje chleb codzienny i pozwala dożyć spokojnej starości".

Oryginalnych dzieł Szukalskiego zachowało się niewiele, rzeźby w pracowniach w Warszawie i Katowicach zostały zniszczone przez hitlerowców.

W tym roku mija 90 lat od chwili założenia w Krakowie Szczepu Rogatego Serca, grupującego artystów buntowników, którzy sprzeciwili się akademickiemu systemowi kształcenia i elitom kulturalno-kawiarnianym decydującym o kierunkach w sztuce. Z tej okazji paryska galeria Roi Doré, promująca polską sztukę, postanowiła zorganizować trzy wystawy członków szczepu w Krakowie, Warszawie i Paryżu. Pierwsza odbyła się już w krakowskiej galerii OFF FRAME. Wystawa w Warszawie ma być w połowie lipca i wszystko wskazuje, że do Polski, do kraju swojego przybranego dziadka, przyjedzie Leonardo DiCaprio.

Leszek Konarski

eprasa.pl b021c5f1c6

Oko w oko

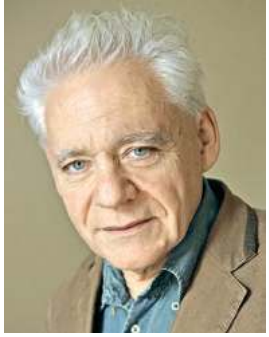

Tomasz Jastrun

GABINET OSOBLIWOŚCI

Genialny strateg Jarosław Kaczyński otwiera nowy wielki front. Wróg nazywa się LGBT. Można by stworzyć galerię pisowskich straszydeł: Niemcy, Erika Steinbach, Soros, Żydzi, lewica, liberałowie, tęcza na placu Zbawiciela, postkomuniści, sędziowie, gender, uchodźcy itd. Bez trudu dałoby się tym zapełnić duży gabinet osobliwości. LGBT to zupełna nowość, będzie się teraz nadmuchiwać to monstrum. W nazwie jest kłębowisko lesbijek, pederastów, pedofilów, wszelkich zboczeń. Polskie dzieci będą seksualizowane od niemowlęctwa. Noworodki przejdą kurs masturbacji. Prezes, nawiązując do wprowadzenia karty LGBT, wołał wstrząśnięty: „To jest nie do uwierzenia. To się zaczyna w wieku 0-4. Im bardziej się to czyta, tym bardziej włosy dęba stają. Ma być dokonywana koncentracja na ważnej, ale przecież nie jedynej sferze życia. Ma być podważana kwestia tożsamości chłopców i dziewczynek”.

Prezes oczywiście tej karty nie przeczytał, jakiś osioł mu ją streścił. Wielkie wzburzenie wśród polskiej prawicy, powtarzają bzdury, biskupi też się burzą. Dla Kościoła uświadomienie dzieci to bieda, będą donosić na poczciwych księży pedofilów. Księdza Jankowskiego już lewica załatwiła. Biskup świdnicki Ignacy Dec uważa, że edukacja seksualna w szkołach to „bardzo niebezpieczna pokusa szatana, a wierzący muszą działać, by uniemożliwić coraz śmielsze działania gorszycieli”. Według Deca zajęcia w szkole „tak naprawdę służą demoralizacji. Dzieci na tym etapie rozwoju nie wiedzą, co jest dla nich dobre, a co złe. Natomiast to, co wydaje się chwilowo przyjemne, w przyszłości może prowadzić do nieszczęść”. No właśnie, drogi biskupie, najpierw przyjemność, a potem nieszczęście, bo ciąża. Ale jak bez seksu zwiększyć dzietność narodu, a Kościół optuje za dzietnością.

Prezes i biskupi to najwybitniejsi w Polsce eksperci od dzieci i wychowania seksualnego.

Widać, że prezes i biskupi to najwybitniejsi w Polsce eksperci od dzieci i wychowania seksualnego. Zeszła wielka lawina dowcipów, czasami doprawdy zabawnych, na temat seksualnej fachowości prezesa. Całe to szaleństwo dzieje się w kraju, gdzie nie ma w szkołach edukacji seksualnej na poziomie, a zarazem wszystko jest pod ręką w internecie. Wielkie zamieszanie w głowach dzieci. To nie tylko cyniczna gra polityczna, ale też ukryta mroczna sfera, kompleksy, seksualne urazy i traumy polskiej prawicy. Prezes nie ma rodziny i zapewne życia erotycznego. Odwołuje się do ludzi o podobnym stanie duszy. To nie jest próba przekonania nowych wyborców, ale krzepienie twardego elektoratu i walka o ten jeszcze bardziej na prawo. Co to ma wspólnego z pytaniami o Europę, z prawdziwymi wyzwaniami, przed którymi stoi Polska?

•

Mam zgubny wpływ na dzieci, nie dosyć, że je demoralizuję swoimi książkami, to jeszcze jeżdżę na spotkania do szkół. Tym razem spotkanie w szkole podstawowej na Bielanach, z moją nową książką dla dzieci „Antek i przyjaciele”. Najpierw rozmowy z bibliotekarką i z nauczycielami. Wszyscy wściekli na minister edukacji, na ten jej głupawy uśmiech, na samozadowolenie, na brak rozumu. Rozgoryczenie też z powodu niskich zarobków. Podobno coraz więcej wakatów w szkołach, kto może, ucieka od tego zawodu. A dzieci słodkie i mądre, ze dwie setki w dwóch grupach. W każdej klasie jest zawsze mała elita, to dzieci naprawdę zdolne, z zaskakującą wiedzą. Dzieci są dzisiaj o wiele śmielsze niż kiedyś, choćby w czasach, gdy ja byłem dzieckiem. Chcą mówić, debatować, pokazać się. To także efekt permisywnego wychowania. Wielekroć pisałem, że ma ono też drugą, ciemną stronę. Rośnie pokolenie małych bogów i narcyzów. Ale jest pewne, że nasze dzieci mają ogromny potencjał, który fatalna edukacja marnuje. Świat jest teraz nastawiony na wiedzę i kreatywność, jednak nie w naszym kraju, gdzie zastygły dawne systemy wychowawcze. Aż serce boli patrzeć, jak marnujemy potencjał naszych dzieci. Teraz cała energia polskich szkół idzie na niwelowanie opłakanych skutków idiotycznej i niepotrzebnej reformy. A niskie pensje powodują, że mamy bardzo słabych nauczycieli, trwa selekcja negatywna. Nieszczęśliwi nauczyciele, wściekli rodzice, zaszczute dzieci. Walka o lepszą szkołę to walka o lepszą przyszłość Polski.

•

Prezes na konwencji w Jesionce wołał, że w sprawach wyborczych „trzeba gryźć trawę. Nasza partia często gryzła trawę i zwyciężała”. Trawy u nas dostatek, nawet dla tak wielkiego stada owiec.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b021c5f1c6

KURTYNA W GÓRĘ

GRA W BERKA

Pewnie każdy pamięta z dzieciństwa grę w berka, a wielu z nas również „Berka" Marcina Szczygielskiego, który z Ewą Kasprzyk w roli głównej utrzymywał się na afiszu Teatru Kwadrat przez 10 sezonów. To wystarczający powód do drugiego podejścia, w którym dochodzi na scenie do ponownego spotkania ulubieńców publiczności, sąsiadów o odmiennych poglądach na świat. Anna (Ewa Kasprzyk) należy do tzw. moherów, czyli elektoratu Radia Maryja, pracujący w reklamie Paweł (teraz Antoni Pawlicki, poprzednio Paweł Małaszyński) jest gejem. Już w „Berku" doszli mimo różnic do porozumienia, autor nie wznawia więc konfliktu postaw, a co najwyżej charakterów i pokoleń – pani Anna i Paweł są teraz sobie życzliwi, co nie znaczy, że potrafią znieść swoje towarzystwo. Wszystko to z poczuciem humoru i dystansu w spektaklu widać, aż do chwili kiedy sąsiedzi postanawiają w tajemnicy pośpieszyć sobie z pomocą – wtedy zaczną się prawdziwe kłopoty. Zwłaszcza kiedy na scenie pojawi się niejaki Kazimierz (Daniel Olbrychski).

Autor w nagromadzeniu zbiegów okoliczności może iść w zawody z mistrzami komedii oświeceniowej, a liczne *qui pro quo* napędzają spiralę nieporozumień i komizmu. Nie czynię z nich zarzutu – nie ma co się srożyć na te zaskakujące powiązania. W końcu to komedia o farsowym podłożu, bez ambicji głębokiej diagnozy społecznej. Ale mimochodem uczula na potrzebę tolerancji i zrozumienia innych. A choć pewnie można by z „Berka 2" wykroić subtelną komedię psychologiczną, to i tak broni się w farsowym opakowaniu.

Tomasz Miłkowski

Marcin Szczygielski, „Berek 2, czyli upiór w moherze", reżyseria Ewa Kasprzyk, Teatr Gudejko, premiera w Teatrze Imka w Warszawie 23 lutego 2019

DWUGŁOWE CIELĘ I JEGO MATKA

Matką jest znakomita Ewa Błaszczyk i scena jej śmierci, kluczowa dla spektaklu, została zaaranżowana w niezwykły, surrealistyczny sposób. Nie wiemy, czy śmiać się, czy zachować powagę, bo teatr Witkacego nigdy nie był oczywisty, zawsze stanowił zagadkę. Tutaj jednak autorka inscenizacji i reżyserka Natalia Korczakowska sama chciała wejść w buty Stanisława Ignacego, to i owo dopisać albo trochę udziwnić. Niepotrzebnie wprowadziła do dramatu regulamin firmy portretowej Witkacego, bo to tylko wyciągnęło przedstawienie, któremu skróty dobrze by zrobiły.

Bronisław Tumiłowicz

Stanisław Ignacy Witkiewicz, „Metafizyka dwugłowego cielęcia", inscenizacja i reżyseria Natalia Korczakowska, Teatr Studio w Warszawie, premiera 15 lutego 2019

CZECHOW ZNAWCA ŻYCIA

Młodzieńczy tekst Antoniego Czechowa poddano adaptacji, bo „Płatonow" w całości musiałby trwać z pięć godzin. Spektakl nazywa się skromnie „Kilka scen z życia", ale stanowi atrakcyjną całość. Niby to wieczór sylwestrowy z alkoholem i sztucznymi ogniami, ale w istocie kilka portretów kobiecych, a każdy inny i na swój sposób budzący współczucie. Przedstawienie też zrealizowały kobiety. Czechowowski tytułowy bohater wykreowany przez Otara Saralidzego zapada w pamięć, jest sam w sobie dziełem sztuki, zwłaszcza że kiedyś w tym teatrze Płatonowa grał wielki Gustaw Holoubek. Dziwak, kusiciel, pijak, a do tego nauczyciel (to zestawienie wywołuje salwę śmiechu). Warto zobaczyć, jak z takim gorzkim życiowym dramatem radzą sobie młodzi aktorzy z Dramatycznego. Drugi akt rozgrywa się na śniegu i publiczność po spektaklu z ciekawości sprawdza, czy biały puch jest prawdziwy.

Antoni Czechow, „Kilka scen z życia" według „Płatonowa", tłumaczenie Adam Tarn, reżyseria Anna Gryszkówna, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, Scena na Woli, premiera 1 marca 2019

Bronisław Tumiłowicz

MIĘDZY OKŁADKAMI

Krzysztof Domaradzki
TRANS

Czarna Owca, Warszawa 2019

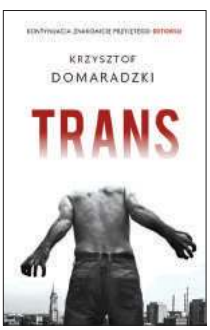

Czytelnicy „Detoksu", pierwszej książki Domaradzkiego, mogli już się przyzwyczaić do brutalnego i dosadnego języka autora. Niemniej jednak kontynuacja dobrze przyjętego debiutu może być dla wrażliwszych czytelników niełatwą przyjemnością. W „Transie" znów mamy brutalne zabójstwa, alkoholowe ciągi komisarza Kawęckiego, półświatek, mroczne tajemnice i układy. Domaradzki prowadzi akcję w dwóch płaszczyznach czasowych, zgrabnie żongluje wątkami, bawi się językiem – widać, że nie tylko ma nosa do kryminalnych zagadek, ale przede wszystkim świetnie posługuje się piórem. Uwagę zwraca opis środowiska policjantów i rozbudowana postać głównego bohatera. Kawęcki fascynuje i wkurza zarazem, aż chciałoby się wyskoczyć z czytelniczego fotela i pognać do autora z pytaniem: jak można takiego bohatera stworzyć?!

Rafał Pikuła

eprasa.pl b021c5f1c6

NA EKRANACH

CIEMNO, PRAWIE NOC

reż. Borys Lankosz, prod. Polska, w kinach od 22 marca

Adaptacja prozy Joanny Bator jest pozbawiona wątków religijnych, o których najgłośniej było w mediach przy premierze książki. W pierwowzorze katolicy i liberałowie stawali do walki – o wartości, przekonania i język, którym nazywają i opisują rzeczywistość. Podzielonej Polski w filmie nie ma, ale język pozostał jednym z głównych bohaterów. Kiedy dziennikarka Alicja (Cielecka) wraca z Warszawy do rodzinnego Wałbrzycha napisać reportaż o zaginionych dzieciach, już w pociągu napotyka opór w rozmowach ze współpasażerami. A dalej jest tylko gorzej – górnicy stracili zdolność mowy, dziatki gaworzą po swojemu, a oryginałowie, których tu nie brakuje, posługują się niezrozumiałymi neologizmami. Alicja musi się odnaleźć w tej wieży Babel, żeby zrozumieć pokrzywdzonych, a przy okazji własną przeszłość. To wszystko w konwencji barokowego kryminału, w którym zło jest przerysowane, jednak śmierć i ból z poznania prawdy o sobie już nie. Szalona inscenizacja i fenomenalnie wykorzystana obsada ciągną film w górę, ale przez przyciężki sposób opowiadania zdarza mu się zaryć w ziemi.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

MARINA ABRAMOVIĆ DO CZYSTA / THE CLEANER

Centrum Sztuki Współczesnej Znaki Czasu w Toruniu zaprasza na retrospektywę Mariny Abramović, nazywanej ikoną performance'u. Wystawa jest odsłoną największej w Europie retrospektywy artystki. Znalazło się na niej ok. 120 dzieł, począwszy od prac z lat 60., na realizacjach współczesnych skończywszy. Organizatorzy zrekonstruują także część performatywnych akcji Abramović.

TORUŃ, CSW, DO 11 SIERPNIA

ZJEDNOCZONA PANGEA

Pangea (Wszechziemia) to superkontynent, który istniał ok. 200-250 mln lat temu i łączył rozdzielone obecnie bloki kontynentalne. Wystawa używa metafory Pangei, zapraszając do wyobrażenia sobie ziemskiej wspólnoty jako jednego gospodarstwa domowego. I zastanowienia się, „jaki potencjał ekologiczny mogą mieć skromne działania (…). Czego możemy nauczyć się od ludzi żyjących w zagrożonych wyniszczeniem tzw. kulturach rdzennych i ludowych? Jaka byłaby wartość towarów, pieniędzy i pracy w przyszłości pozbawionej perspektywy wzrostu gospodarczego?". Prace w przestrzeni wystawy tworzą opowieść o uważności i wrażliwości.

ŁÓDŹ, ms[1], 22 MARCA-9 CZERWCA

TADEUSZ ROLKE FOTOGRAFIE WARSZAWSKIE

Wielowątkowa gawęda o stolicy lat 50. i 60. – od obrazów zrujnowanego i budowanego po wojnie miasta, poprzez reportaże z życia mieszkańców, fascynację modą i kobietami, po zapis życia artystycznego i towarzyskiego, portrety ludzi kultury i sztuki. Z tymi obrazami kontrastują zdjęcia ówczesnych polityków, haseł propagandowych i portretów Marksa widocznych w przestrzeni miasta. A wszystko to na fotografiach z okresu współpracy Rolkego z pismami: „Stolica", „Polska", „Ty i Ja" oraz „Przekrój". Wystawie towarzyszą album „Tadeusz Rolke. Fotografie warszawskie" oraz wydarzenia promocyjne. 24 maja w DSH świętowane będą 90. urodziny artysty.

WARSZAWA, DOM SPOTKAŃ Z HISTORIĄ, 21 MARCA-9 CZERWCA

BYLIŚMY

GWIAZDY RODZĄ SIĘ W LUBLINIE

Drugi Międzynarodowy Konkurs Wokalny im. Antoniny Campi z Miklaszewiczów, który zakończył się w Lublinie, wyłonił troje zwycięzców. Warunkiem wzięcia udziału w finale było m.in. wykonanie arii Stanisława Moniuszki. Nagrody główne zdobyli tylko Polacy. Pierwsza przypadła barytonowi Pawłowi Trojakowi, drugą zdobyła sopranistka Natalia Rubiś, trzecią przyznano mezzosopranistce Magdalenie Wachowskiej. Nagrodę specjalną za najlepsze wykonanie pieśni otrzymała Viktoria Melnyk z Ukrainy. Typując najlepszych, jury pod przewodnictwem Ewy Vesin wyłoniło prawdziwe gwiazdy. Ale widać, że na rynku śpiewaczym jest deficyt znakomitych głosów męskich, zwłaszcza tenorów.

Bronisław Tumiłowicz

Kolumny przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, KINO ŚWIAT

eprasa.pl b021c5f1c6

Wojciech Śmieja
Korespondencja z Nowego Jorku

DZIURA W WIELKIM JABŁKU

Plotka o the Hole głosi, że to miejsce jest regularnym cmentarzem nowojorskiej mafii

To prawdziwa perwersja Manhattanu. 17 stacji metra (w tym kilka nieczynnych) i prawie godzinę jazdy od serca Nowego Jorku znajduje się Dziura. The Hole. Wciśnięta między Brooklyn i Queens niecka wypełniona wodą deszczową. Kiedy miasto pnie się wzwyż, ona rozpełza się kilka metrów niżej niż otoczenie. Kiedy Manhattan zna każdy, o niej nie wiedzą nawet rodowici nowojorczycy; kiedy on buzuje energią, ona tkwi w jakimś przemożnym bezruchu. Ona. Dziura. The Hole.

Rosalie, jej ogródek, jej figi

Dom, w którym mieszka Rosalie, wyróżnia się na tle postapokaliptycznego krajobrazu. Nie żeby był jakąś rezydencją, ale dwupiętrowy, brudnożółty klocek wygląda po prostu na zamieszkany. Przed wejściem stoi jakiś samochód, ale wrażenie zamieszkania zapewne wywołuje ubożuchny i zagracony ogródek z jakimiś ozdóbkami typu odpustowy wiatraczek czy wyblakła figurka wiewiórki.

Rosalie w tym wielkim domu z pustym piętrem straszącym nadtłuczonymi szybami mieszka sama. Kiedyś miała męża, który był z Białorusi, ale mówił, że Rosjanin. Dziś Rosalie jest sama z paczką papierosów, kotem, psem i tą tandetną figurką wiewiórki. W the Hole mieszka od urodzenia i ma nadzieję tu właśnie zejść z tego świata. Niestraszne jej zapowiedzi wywłaszczenia, ogłaszane przez kolejne ekipy nowojorskich burmistrzów od czasów Rudy'ego Giulianiego, który zaczął wielką odbudowę miasta i po którym nastał równie ambitny Michael Bloomberg – a teraz jest Bill de Blasio. Jakoś wszyscy na the Hole łamali sobie zęby. Może dlatego, że właściwie nikt nie wie, gdzie ona leży? Na Brooklynie klną się, że to już właściwie Queens, w Queens zdecydowanie przeczą i mówią, że to Brooklyn. Widać, można mieszkać nigdzie, będąc w sercu największej metropolii Stanów Zjednoczonych.

Rosalie ironizuje, że mieszka w nowojorskiej Wenecji. Cóż, jej może się kojarzyć z Wenecją, jej mężowi dookolny widok mógł przypominać bagniste przedmieścia Pińska. Ogromne kałuże rozlewają się tu w jakieś miniaturowe pojezierza rozchlapywane kołami samochodów. The Hole umiera jako teren mieszkalny i staje się wielkim złomowiskiem. Tu auta tnie się na żyletki, wyklepuje albo po prostu porzuca. Rosalie użera się właśnie z takim sąsiadem mechanikiem – hałasuje od rana do wieczora, a wielkie amerykańskie ciężarówki z nie wiadomo czym regularnie tarasują jej wjazd. Mimo to Rosalie jest po amerykańsku dumna. Nie ma jak the Hole, uważa. Tylko tu może sobie bez obawy zapalić papierosa na ulicy, wypuścić psa bez smyczy, czuć się u siebie. Oczywiście kiedyś było lepiej, gwarniej, prawie wszyscy sąsiedzi już zdążyli się wyprowadzić. Jeśli dzisiaj ktoś do the Hole przyjeżdża, to nocą młodzież na seks w samochodzie albo gówniarze zajarać marihuanę w kabinie którejś z porzuconych ciężarówek. Przestępczość? Z tyłu ogródka specjalnie zostawiła przestrzeń dla trawy i bujnych krzaków, żeby nikt się nie włamywał. Nie ma co oglądać, bo Rosalie woli z tą swoją dumą pokazać dwa rachityczne drzewka figowe rosnące od frontu. Każde innego gatunku, dające różne w smaku owoce, tłumaczy.

Charlie był kowbojem, a the Hole – enklawą Dzikiego Zachodu w Nowym Jorku.

Sam, jego samochody, jego choroby

Sam zaczepia z auta: – *Are you a journalist? Are you a journalist?*

Nie ma cierpliwości słuchać zawiłych wyjaśnień – jemu chodzi o dziennikarza z któregoś lokalnego medium, żeby nagłośnił jego krzywdę. Jakiś pętak z kraju, o którym Sam nie ma zielonego pojęcia, jest mu na nic, choć z drugiej strony, reflektuje się szybko, niech cały świat usłyszy o jego krzywdzie. Wyłącza silnik, wysiada, wita się, wyciągając wielką jak bochen chleba dłoń. Olśniewający biały uśmiech ma się nijak do kurwowania na czym świat stoi. Sam pochodzi z Gujany, od ćwierć wieku mieszka w USA, z tego w the Hole przeżył pierwszych 15 lat, ale jak tylko się odkuł, to się z tej dziury, *nomen omen,* wyprowadził. Co prawda, tylko parę ulic dalej, do Ozone Park, ale przynajmniej do normalnego świata, gdzie równe chodniki i kanalizacja. W the Hole wciąż mieszka paru jego kumpli. Tu przywozi swoje auta do zaparkowania obok domu dawnego ko-

eprasa.pl b021c5f1c6

Wandale zniszczyli samochód Sama, a policja go lekceważy, bo jest czarny.

miejsce zajmuje reumatyzm, którego nabawił się, pracując w tej wilgotnej Dziurze, no tu, w the Hole.

Charlie, jego konie, jego kumple

Charlie też tu już nie mieszka, ale przychodzi regularnie. Na rogu Ruby Street i Blake Avenue (nazwy ulic w ogóle są tu jakieś nie na miejscu: Rubinowa, Szmaragdowa, Szafirowa) stoi z młodszym przynajmniej o pokolenie Lawrence'em. Dzieli ich pokolenie, ale łączy miejsce urodzenia (obaj pochodzą z Karaibów) i zamieszkania. Lawrence to bykowaty chłop pracujący w budowlance, mieszka trochę tu, a trochę tam. Z Dziury się wyprowadził, ale mieszka w pobliżu i od czasu do czasu zagląda. Tak samo jak Tom, który do nich dołącza. Biały farciarz, któremu udało się wyprowadzić w dużo lepsze i dalsze okolice Brooklynu, ale także czuje siłę przyciągania Dziury i pogaduch na rogu Ruby i Blake. Najstarszy w towarzystwie Charlie ma pobrużdżoną, smoliście czarną twarz i spojrzenie zapatrzone w dal, gdy mówi, jaka Ameryka jest rough i jak trzeba tu pracować 24 godziny na dobę, żeby dociągnąć do pierwszego.

W ciężkim życiu Charliego the Hole była jasnym punktem, enklawą Dzikiego Zachodu w największym mieście Wschodniego Wybrzeża. Tak, Charlie był kowbojem. Czarnym Kowbojem, a w jego i jego kompanów wyobraźni the Hole była jak Laredo, jak kowbojskie miasteczko gdzieś z pogranicza Utah i Teksasu. Charlie należał do New York City Federation of Black Cowboys. Tylko w westernach kowboje byli biali, tłumaczy Charlie, bo tak naprawdę większość kowbojów to byli czarni chłopcy i o tym powinniśmy pamiętać. Zajęcie było przecież trudne, nisko płatne i niebezpieczne. Nie dla białych, krótko mówiąc, za to w sam raz dla czarnych. Federacja powstała jako organizacja *non profit* w 1994 r. W najlepszych czasach miała ok. 50 członków. Trzymali swoje rumaki w stajniach na pobliskiej Cedar Lane. Niestety, w roku 2016 ze względu na fatalne warunki w stajniach miasto rozwiązało umowę z Czarnymi Kowbojami. Przyszli nowi dzierżawcy i dziś przy odremontowanych stajniach na Cedar Lane działa drogi klub jeździecki, na który Charliego nigdy nie byłoby stać. A Czarni Kowboje, wspomina, robili mnóstwo świetnej roboty. Organizowali pokazy w szkołach, uczyli o czarnym dziedzictwie Dzikiego Zachodu, starali się odciągnąć młodych od narkotyków i przestępczości i pokazać, jaką frajdą jest możliwość – tu, w Nowym Jorku! – jeżdżenia konno. Gdzie indziej w tej metropolii można sobie swobodnie i bez opłat ani zezwoleń swobodnie pojeździć, no gdzie? Tylko w the Hole! Właśnie tu raz do roku Czarni Kowboje organizowali swoje święto – prawdziwe rodeo. Charlie jest przekonany, że wraz z końcem Czarnych Kowbojów trzy lata temu nastąpił koniec Dziury. Dziś może tylko stać na rogu Ruby Street i Blake Avenue z kumplami i wspominać dawne dni. Ciężko być kowbojem w Nowym Jorku... Huk silników samolotów startujących z nieodległego lotniska Kennedy'ego przerywa tok wspomnień Charliego.

Rosalie i jej ogródek, z którego jest tak dumna.

legi, bo nie trzeba płacić za miejsce, czysta oszczędność. I właśnie auto mu tu zniszczyli, co koniecznie powinni zobaczyć ludzie na całym świecie, policja go poniża i lekceważy jego szkodę, bo jest czarny, a policja biała. Podstawowe ubezpieczenie nie obejmuje takich szkód, bo ubezpieczenia to wymysł białych dla białych, a nie dla czarnych. Naprawa kosztować go będzie jakiś tysiąc albo półtora. Kiedyś sam był mechanikiem, ale teraz choruje. Na co? Na wiele chorób, które skrupulatnie wylicza, analizując objawy i przyczyny. Niech świat się o nich dowie. Niech świat wie, co dolega Samowi z Gujany! Królewskie

The Hole staje się wielkim złomowiskiem. Tu auta tnie się na żyletki, wyklepuje albo po prostu porzuca.

Cmentarz mafii?

Nowy Jork przeszedł ogromną przemianę w ostatnich latach. Miasto

eprasa.pl b021c5f1c6

zostało gruntownie odnowione i stało się przyjazne mieszkańcom. Przykładem może być daleko posunięta gentryfikacja polskiego Greenpointu. Ducha ponurego miasta przestępczości, jakim był Nowy Jork w latach 70. i 80., udało się właściwie zewsząd wyegzorcyzmować. The Hole musi na tym tle zdumiewać. Czy naprawdę najbogatszego miasta USA, 11-milionowej metropolii, nie stać na wyremontowanie paru ulic na krzyż, gdzie ludzie wciąż muszą korzystać z szamb i brnąć po kolana w błocie?

Okoliczne ulice tu nagle się załamują i wpada się w kilkumetrowej głębokości jakby krater, dość luźno jak na nowojorskie warunki zabudowany.

17 stacji metra od Manhattanu jest miejsce, o którym nie slyszeli rodowici nowojorczycy.

Jeśli akurat nie ma dzikich wysypisk ani złomowisk, to rosną przedziwne trzcinowiska i szuwary grodzone tajemniczymi zabazgranymi płotami i przetykane pustostanami. Gdzie brak racjonalnych wytłumaczeń, rządzi plotka. Ta o the Hole głosi, niebezpodstawnie zresztą, że to miejsce jest regularnym cmentarzem mafii (co potwierdzają zeznania kolejnych bossów i śledztwa FBI). Mówi się nawet o 200 ciałach poupychanych w tutejszych wądołach. Gdyby tu coś ruszyć, choćby zrobić kanalizację deszczową, odkryto by skalę zjawiska. Urzędnicy miejscy o tym wiedzą, bo sami mają związki z mafią, wielu mieszkańców zatem wierzy, że nikt nigdy the Hole nie ruszy.

Rodzina Bonanno należy do Wielkiej Piątki mafijnych rodzin Nowego Jorku. Powstała pod koniec XIX w., ale z nazwiskiem Bonanno kojarzona jest od roku 1931, kiedy rządy objął najmłodszy w dziejach *capo di tutti capi,* Joe „Banannas" Bonanno. Miał wówczas zaledwie 26 lat. Rządził lat niemal 30, ale sprowadził na rodzinę kłopoty. W trakcie mafijnej „wojny bananowej", którą wywołał w drugiej połowie lat 60., próbował wyeliminować konkurencyjnych bossów, co jednak się nie udało. Wojnę przerwało zawieszenie broni w 1969 r., ale doprowadziła do niesnasek w rodzie Bonanno. Próbował je ukrócić jeden z następców Joego, Philip Rastelli, oficjalna głowa rodziny, ale po tym jak w połowie lat 70. trafił za kratki, zamachu na jego pozycję dokonał niezwykle bezwzględny nawet jak na mafijne standardy Carmine Galante „Cygaro". Przeciw niemu sprzysięgli się wszyscy: pozostałe rodziny Wielkiej Piątki, którym zagrażał, i „lojalistyczni" członkowie rodziny Bonanno. Zlecenie morderstwa pobłogosławił wówczas już emerytowany Joe „Banannas" Bonanno. 12 lipca 1979 r. trzech mafiosów dokonało egzekucji Galantego w jednej z brooklyńskich restauracji. Byli to: niemożliwie gruby Dominick Trinchera (choć ledwo mówił po angielsku, został, na krótko, następnym capo), Philip Giaccone, tak pobożny, że nazywany był „Księdzem", i Al Indelicato rozpoznawalny po okularach słonecznych, białych garniturach i czerwonych kowbojkach.

Zabójstwo nie zakończyło rodzinnych sporów, a trzej mordercy Galantego sami zaczęli walczyć o władzę w rodzinie. Chcąc uniknąć dalszego rozlewu krwi, zgodzili się na spotkanie z „lojalistami" Rastellego. Był wtorek 5 maja 1981 r., dzień pamiętany w Nowym Jorku jako dzień „zabójstwa trzech capi". Według późniejszych zeznań ciała mafiosów przewieziono, prawdopodobnie by odsunąć podejrzenia, na „cmentarz" innej rodziny z Wielkiej Piątki, rodziny Gambino, czyli właśnie do the Hole. 19 dni później grupa dzieciaków bawiąca się na stercie śmieci w Dziurze nagle zobaczyła wystającą dłoń. Była to ręka Ala Indelicata. Mimo poszukiwań pozostałych dwóch ciał nie udało się odnaleźć do roku 2004, kiedy miejsce ich pochówku zdradził władzom jeden z ich skruszonych kompanów. Agenci FBI pojawili się w the Hole w mglisty październikowy poranek i rozpoczęto poszukiwania. Wkrótce trafiono na dwa zdekompletowane szkielety. Przy jednym znaleziono starą kartę Citibanku, drugi zidentyfikowano dzięki drogiemu zegarkowi Piaget, dokładnie takiemu, jaki opisała żona mafiosa w zeznaniach składanych 23 lata wcześniej. Nawet po śmierci opinał nadgarstek Philipa Giacconego. Jak głosi slogan szwajcarskiego producenta: „Luksus i precyzja".

Dzieciaki bawiące się na stercie śmieci zobaczyły nagle wystającą dłoń. Była to ręka Ala Indelicata.

•

Ile jeszcze ciał żołnierzy, bossów i ofiar mafii skrywają błotniste łąki i wysypiska the Hole? Być może w końcu się dowiemy. Burmistrz de Blasio planuje wielką przebudowę całego regionu East New York, to będą miliardowe inwestycje, a obszar the Hole, choć obejmuje zaledwie parę ulic, wart jest w duszącej się metropolii ogromne pieniądze. Być może wartki strumień dolarów zaleje w końcu the Hole. Pewnie tak musi być, a jednak trochę szkoda...

Wojciech Śmieja

FOT. WOJCIECH ŚMIEJA

eprasa.pl b021c5f1c6

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

KABANOSY W „DZIADACH”

Lektura nie jest czynnością zawsze mającą jednakowy przebieg. Być może istnieje jakiś teoretyczny przebieg idealny, ale to raczej mit kultury, weryfikowany na co dzień przez naszą starą, dobrą rzeczywistość. Laboratoryjne, czyli np. wakacyjne warunki, które pozwalają przeczytać w skupieniu jednego dnia całą książkę, zdarzają się naprawdę rzadko. A przecież nawet po lekturze miło jest z książką trochę pobyć, wrócić do ulubionych fragmentów, zrobić notatkę. Takie luksusy mają chyba tylko ci, którzy poślizgną się na lodzie i wylądują w łóżku z pękniętą piętą i zwolnieniem.

– Ja już nie umiem czytać – mówi mi koleżanka. – Czytam siedem, osiem książek jednocześnie, najczęściej żadnej nie kończę. – Przestałem czytać książki, czytam już tylko teksty w internecie – skarży się kolega.

– Ale to nadal lektura! – oponuję i przypominam sobie wyrzuty sumienia, jakie sama miałam przez wiele lat, kiedy porzucałam książkę w połowie, nie zawsze dlatego, że okazywała się nudna. Czasem za trudna, innym razem wyparta przez kolejne lektury, zapomniana. Albo po prostu – czekała na odpowiedni czas.

Skąd to uczucie wstydu i zniechęcenia, które pojawia się, kiedy patrzymy na książki zaznaczone w jakimś miejscu i pozostawione? Jeszcze przez kilka miesięcy udajemy, że kiedyś je skończymy, ale gdy stos przy łóżku zaczyna się chwiać niebezpiecznie – któregoś dnia zabieramy je z pola widzenia. Zawsze z poczuciem porażki. Składam postulat innego spojrzenia na te sprawy. Czytanie pierwszych 30 stron książki, czytanie od środka, czytanie tylko jednego interesującego nas rozdziału, czytanie tekstu w internecie, czytanie gazety – to przecież wciąż czytanie. Kto powiedział, że bardziej wartościowy jest czytelnik, który wytrzyma i dojdzie do końca? Kto powiedział, że przeczytanie całej książki jest bardziej wartościowe niż lektura dwóch, trzech w połowie? Czytanie to jeden z niewielu obszarów absolutnej wolności. Nie zawsze tak było. Dlatego postuluję wolność absolutną, liberalizm, a nawet anarchię czytelniczą. Przy takiej porwanej, nielinearnej, wiecznie niedokończonej lekturze status niektórych przedmiotów gwałtownie rośnie – zakładki stają się towarem pierwszej potrzeby.

Każdy namiętny czytelnik wie, że można kupić dowolnie dużo zakładek np. w muzealnych sklepikach – z nosem i okiem Mony Lisy albo dziwnie skadrowanym słonecznikiem van Gogha. Zakładki – podobnie jak gumki do włosów, ołówki i chusteczki do okularów – w tajemniczy sposób same się wyczerpują. Znikają. Wkrótce książki trzeba zakładać tym, co pod ręką: przy biurku, sedesie czy łóżku. Sama zakładałam już książki ogryzkiem, łyżeczką, termometrem, wacikiem, tabletką od bólu gardła, a nawet włosem. U znajomych widziałam rzeczy straszne (i jeszcze bardziej obrzydliwe). „Konserwatywny” czytelnik padłby trupem, widząc wkładkę higieniczną wystającą z tomu wierszy Czesława Miłosza albo kabanosa szczecińskiego wyglądającego wesoło z Mickiewiczowskich „Dziadów”. A przecież należy się cieszyć. Nie z kiełbasy, ale z tego, że ktoś nadal czyta „Dziady”, ekscytuje się Miłoszem w łazience lub potęguje płynącą z posiłku przyjemność, zachwycając się „Mitologiami” Rolanda Barthesa.

Kto powiedział, że przeczytanie całej książki jest bardziej wartościowe niż lektura dwóch, trzech w połowie?

Nie wiem, czy wszystko może stać się zakładką. W każdym razie wszystko, co się zmieści do książki. Najczęściej jest to po prostu druga książka, która od tej pory pozostaje z tą pierwszą w dziwnym miłosnym klinczu. Tak tworzą się dziwne struktury, które według własnej, tajemnej geometrii przejmują w posiadanie nasze małe pokoiki, kuchnie. Jeśli chodzi o książki – chaosowi należy się poddać. Inaczej czeka nas spadek życiowej energii, spowodowany przez bezsensowne wyrzuty sumienia. Lektura jest lekturą, jest lekturą, jest lekturą. Ma swoje przebiegi. I niech każdy będzie całkiem inny. Trudno.

www.tygodnikprzeglad.pl
Przegląd
Dołącz do naszej społeczności
Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku i Twitterze

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b021c5f1c6

CHMURY, OBŁOKI I BAJER

Jerzy Kalibabka, uwodziciel i bandzior, do końca był przekonany, że miłość mu wszystko wybaczy

Leszek Konarski

Gdy kilka dni temu dowiedziałem się, że w wieku 63 lat zmarł w Dziwnowie Jerzy Kalibabka, bohater wielu moich reportaży i serialu „Tulipan", to poza żalem, że odszedł ktoś znajomy, zacząłem po raz kolejny zastanawiać się, czy dobrze zrobiłem, opisując jego przygody. Pamiętam te wielogodzinne odwiedziny w więzieniu w Nowym Sączu, kiedy opowiadał mi o podbojach miłosnych. Tylko czasem, gdy np. twierdził, że w miesiącu miał 1000 kobiet, hamowałem go: „Jurek, czy ty nie przesadzasz? Więcej niż trzy dziewczyny dziennie?". Chwilę pomyślał: „Dobrze, napisz 500". Po kilku latach doszedłem do wniosku, że muszę przestać pisać o „Tulipanie" lub „Delonie" (tak go nazywano w więzieniu), bo zupełnie straciłem nad nim panowanie. A on zaczął wierzyć we wszystko, co mi opowiadał. Nie było żadnych kradzieży, gwałtów, oszustw, tylko jedna wielka miłość. W technice uwodzenia jest najlepszy w Polsce, żadna Michalina Wisłocka nie może się z nim równać i bardzo się dziwi, że tak pozbawiona urody kobieta może pisać o seksie. Gdy w więziennej bibliotece wychowawca, widząc jego zainteresowania, polecił mu dzieła Balzaka, bo z erotyki niczego więcej nie mieli, po przeczytaniu pierwszej powieści Kalibabka tak mi powiedział: „Balzak to przy mnie pierwszoklasista, u niego wszystko toczy się powoli, u mnie dziewczyna dostaje olśnienia po godzinie, może po dwóch".

WSZYSTKO Z MIŁOŚCI

Był koniec kwietnia 1982 r., gdy w krakowskiej prasie przeczytałem pisaną maczkiem informacyjkę, że milicja w Nowym Sączu zatrzymała poszukiwanego listem gończym Jerzego K., który rozkochiwał w sobie młode kobiety i potem je okradał. Pojechałem do Nowego Sącza i dotarłem do inspektora wydziału dochodzeniowo-śledczego komendy wojewódzkiej Andrzeja Zbróga, świeżo upieczonego absolwenta wydziału prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, któremu przydzielono prowadzenie tej sprawy. Dowiedziałem się, że w restauracji w Szczawnicy zatrzymano przestępcę uwodziciela, który był poszukiwany w całym kraju, już kilka razy go aresztowano, ale skuty kajdankami uciekał z konwojów lub z komend milicji. Podróżując po Polsce, rozkochiwał w sobie bogate kobiety, zdobywał ich zaufanie, a w końcu ograbiał z kosztowności, futer, kożuchów... W chwili aresztowania miał przy sobie samochodowy atlas Polski, a jako zakładki używał ulotki reklamującej film „Miłość ci wszystko wybaczy" o Hance Ordonównie, który w 1982 r. wszedł na ekrany. Taką też przyjął linię obrony – wszystko, co robił, to z miłości do kobiet.

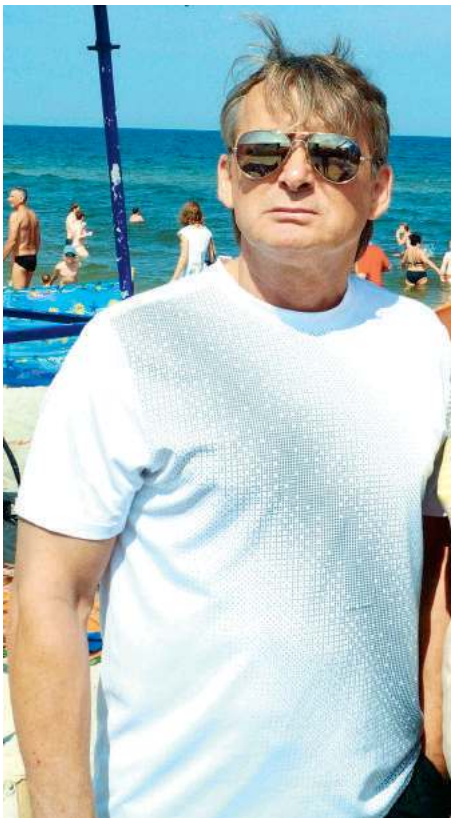

Balzak to przy mnie pierwszoklasista, u niego wszystko toczy się powoli, u mnie dziewczyna dostaje olśnienia po godzinie, może po dwóch.

W te uczucia Kalibabki insp. Andrzej Zbróg nie uwierzył i wyruszył w kilkumiesięczną podróż po Polsce, odwiedzając miasta i wioski zaznaczone przez „Tulipana" w atlasie samochodowym i przesłuchując setki kobiet, które padły jego ofiarą. Przywiózł z tej podróży olbrzymi materiał, który był podstawą do wniesienia przez prokuraturę aktu oskarżenia. Wynikało z niego jednoznacznie, że „Tulipan" w sposób bezwzględny wykorzystywał naiwność kobiet i je okradał.

MIŁOŚĆ MI WYBACZY

A ja w tym czasie odwiedzałem w areszcie Jerzego Kalibabkę i tak jak przypuszczałem, już podczas pierwszego widzenia wyjaśnił mi, że nie jest żadnym przestępcą, złodziejem czy gwałcicielem. Milicjanci pytają go, ile ukradł pierścionków, a nikt nie zapyta, dlaczego ściągał je dziewczynom z palców. Jednym zabierał, aby drugie uszczęśliwić. Dlaczego wypytują tylko te kobiety, którym coś zginęło, a nie te, które były z nim szczęśliwe i teraz chodzą w jego kożuchach, na palcach mają jego pierścionki. Nie rozumieją go milicjanci, prokuratorzy, ja także nigdy go nie zrozumiem, ale może mi o swoim życiu opowiedzieć. O pięknym życiu, jednej wielkiej miłosnej euforii.

Mówił całymi godzinami, trudno było przerwać. Twierdził, że urodził się, aby kochać. Uwiódł kilka tysięcy kobiet. Dokładnie ile nie wie, bo po 2 tys. przestał je liczyć. Niektórym musiał czasem coś ukraść, aby potem dać innym. Posiadanie wielu

eprasa.pl b021c5f1c6

dziewcząt kosztuje, trzeba je ubierać w peweksie, chodzić z nimi na dansingi, jeść w drogich restauracjach. Tłumaczył mi: „Gdybyś miał naraz tyle dziewcząt co ja, to też musiałbyś kraść". A nie pracował, bo „tylko chamy i motory pracują, ja jestem tak przystojny, że nie ma potrzeby, abym niszczył sobie ręce pracą".

Nie jest żadnym przestępcą, on tylko wstawiał dziewczynom „chmury i bajer", wychodził naprzeciw ich marzeniom, opowiadał o tym, co chciały usłyszeć, same za nim szły. „Pukanie", bo tak to nazywał, szło mu dobrze, bo bardzo dbał o własny wygląd, zawsze był wykąpany, wyperfumowany, w czystej koszuli. Wszystko kupował w peweksach, białe buty zamawiał u szewca w Warszawie. Mnie pouczał: „Pamiętaj, 60% twojego powodzenia to ubranie".

Długo opowiadał, jak na dyskotekach i na ulicach bezbłędnie selekcjonował dziewczyny, biednej nigdy nie „puknął". Musiała mieć złoty łańcuszek i co najmniej trzy pierścionki. Z daleka potrafił odróżnić prawdziwe złoto od imitacji, nie mylił się. Jego peweksowska garderoba wzbudzała zainteresowanie, szczególnie w małych miasteczkach, przedstawiał się jako osoba na stanowisku, dobrze zarabiająca.

8 marca 1984 r. Jerzy Kalibabka usłyszał wyrok i rozpłakał się. Po raz pierwszy widziałem łzy w jego oczach. Był przekonany, że sąd uwierzy w jego tłumaczenie, że wszystko robił z miłości i ta miłość mu wszystko wybaczy. Tymczasem sąd wysłuchał relacji prawie 200 kobiet i za popełnienie 103 przestępstw, kradzieży, oszustw, gwałtów, został skazany na 15 lat pozbawienia wolności. Zwolniono go po dziewięciu latach i ośmiu miesiącach.

Wszystko robił z miłości do kobiet i nie wie, dlaczego skazano go na 15 lat więzienia.

CZAR PEWEKSU

O „Tulipanie" napisałem serię reportaży w „Przeglądzie Tygodniowym", potem była o nim opowieść w „Ekspresie reporterów". Miał również być kręcony film fabularny, ale uznano, że zbyt mocno drwię sobie z czasów PRL, i nic z tego nie wyszło. Chciałem pokazać Kalibabkę jako produkt czasów biedy, gdy nie ma niczego w sklepach i chłopak w amerykańskich dżinsach to książę z bajki, a gdy jeszcze zaprowadzi kobietę do peweksu i każe jej wybrać perfumy, to już z pewnością będzie jego. Pomysł kupiła potem telewizja, ale postanowiono z tego zrobić wyłącznie serial sensacyjno-przygodowy, bez polityki, i choć pomagałem Andrzejowi Swatowi w pracy nad tym serialem, nie pisałem scenariusza.

Nie pamiętał, ile tysięcy kobiet uwiódł, po 2 tys. przestał je liczyć.

Jerzy Kalibabka czytał w więzieniu wszystkie moje teksty, oglądał serial i nie był zbyt zadowolony. Uważał, że jest dużo lepszy w miłości, niż go opisałem, nie został pokazany jako niedościgniony mistrz w „pukaniu" dziewcząt. Nie napisałem też, że dziewczyny go kochały i były mu za wszystko wdzięczne. Dlatego zaproponował mi napisanie książki, w której sam o sobie opowie. Zgodziłem się i po kilku tygodniach przyjechałem podpisać z nim umowę, którą sam przygotował. Było w niej, że autorem książki jest Jerzy Kalibabka, a ja tylko spisuję jego myśli. Tłumaczył mi, że jedynie on potrafi opisać to, co przeżył, jedynie on wie, jak „pukać", bo do tego doszedł, mając tysiące dziewcząt. Mówił mi, że nie mam żadnego doświadczenia i nie jestem w stanie go zrozumieć, tak jak milicjanci, prokuratorzy i sędziowie. Nie podpisałem tej umowy, bo zrozumiałem, że „Tulipan" zaczął wierzyć w to wszystko, co mi wcześniej opowiedział, cytował całe fragmenty reportaży jako potwierdzenie, że mówi prawdę. Tak się czasem zdarza, że wykreowany przez dziennikarza bohater zaczyna potem żyć własnym życiem i autor traci nad nim kontrolę. Od tego czasu nic o nim nie napisałem.

W SZKOLE UWODZENIA

Tak jak przypuszczałem, po prawie 10 latach spędzonych w więzieniu Jerzy Kalibabka wyszedł na wolność z przekonaniem, że nadal jest najprzystojniejszym mężczyzną, profesorem od „pukania", i może mieć wszystkie kobiety, jakich zapragnie.

Po powrocie do rodzinnego Dziwnowa związał się z 16-letnią Andżeliką, dla której otworzył kawiarnię nazwaną jej imieniem. Zrozpaczeni rodzice dziewczyny zawiadomili prokuraturę o zniewoleniu ich córki i „Tulipan" wyprowadził się do Gorzowa Wielkopolskiego, gdzie poznał 30-letnią Karinę, pracującą jako modelka. Wrócił z nią do Dziwnowa, prowadzili stoisko z warzywami, parking, szkołę uwodzenia, ma z nią kilkoro dzieci.

W czasie trwającego pół roku kursu, kosztującego 1,2 tys. zł, tłumaczył, że mężczyzna musi uwierzyć we własne siły, poczuć się królem życia i dopiero wtedy wszystkie kobiety będą do niego należały. Nie należy się bać podchodzenia do nieznajomej i wstawiania bajeru, każdą kobietę można zdobyć, trzeba tylko trochę pomyśleć i dobrać odpowiednią metodę działania. Reklamował się, że jego kursanci zamiast mieć jedną dziewczynę na rok, mogą mieć kilka dziennie.

Pamiętam, że prowadzący śledztwo w Nowym Sączu insp. Zbróg ciągle się zastanawiał, jak to możliwe, że Kalibabka, który skończył zaledwie siedem klas, potrafił tak barwnie mówić, fascynująco opowiadać o podbojach erotycznych, używając wyszukanych słów, wykazywać się znajomością biżuterii, natychmiast odróżniać prawdziwe złoto od podróbek. Był przy tym świetnym aktorem, wcielał się w różne postacie i kobiety mu ufały. Andrzej Zbróg mnie także strofował, abym nie wierzył w te opowieści, bo to bandzior, który swoje niecne czyny usprawiedliwia miłością.

Nie wiem, co było przyczyną śmierci Jerzego Kalibabki, podobno zasłabnięcie, problemy z sercem, nie podano szczegółów. Do końca życia chętnie spotykał się z dziennikarzami, występował w telewizji i odszedł z tego świata z przekonaniem, że nie skrzywdził żadnej kobiety. On tylko je bajerował, prowadził po chmurach, z każdą zadawał się tylko z miłości i spełniał ich marzenia, za co będą mu zawsze wdzięczne. Amen. ■

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl b021c5f1c6

Marzena robi paznokcie jak malinki

140 KILOMETRÓW NA PÓŁNOCNY WSCHÓD OD WARSZAWY

Dzisiaj nie ma biedy, na wsi też, szczególnie po wejściu do Unii. Jest co najwyżej lenistwo

Agnieszka Pajączkowska, Aleksandra Zbroja

Dziewczyny, mam klientki. Widzę, że jesteście przejazdem, ale nic nie poradzę. Wy same tak po wiochach jeździcie? Bez obstawy? Niezłe jesteście. A co chcecie robić? Dłonie czy stopy? O mamo, faktycznie masz płytkę spękaną. Jak coś takiego widzę, od razu wiem, że hybryda była zdjęta w domu, zgryziona. Robiłaś pierwszy raz w życiu? To wszystko jasne. Wczoraj też była u mnie jedna taka z paznokciami jak dziecko w podstawówce. Najczęściej przychodzą młode dziewczyny, choć zdarzają się panie starsze. Rolniczki raczej nie. Jak kto trzyma krowy, to wracając z obory wkłada ręce w chlor. Inaczej będzie się smród po domu ciągnął. Na wsi chyba tylko taka ma zapuszczone ręce. No dobra, to może zaczekajcie. Ja będę kończyć klientkę, ale pogadać możemy. Marzena mam na imię, a to pani Jola, właśnie hybrydkę robimy, usiądźcie z nami.

•

Marzena: Tak, rozmawiało się tu o czarnych protestach. W Ostrołęce też były. Nawet jedna licealistka wyszła i niektórzy brawo bili, że się odważyła. Zazwyczaj słyszałam, że to głupie, że nienormalne, że co one sobie w ogóle wyobrażają…

Jola: Ja sama tak mówiłam.

Marzena: A ja bym tak nie powiedziała. Każdy niech decyduje o sobie.

Jola: Ja mam inne zdanie, jestem przeciwko aborcji. Nikt nie decyduje o sobie, bo nas Pan Bóg stworzył i nam nic do tego.

Marzena: Ale, proszę pani, nie wszyscy są wierzący, trzeba to brać pod uwagę.

Jola: To jest moje zdanie. Domaga się taka prawa do aborcji, ale ktoś musi za to zapłacić. I to ma być z naszych podatków? A za 5–10 lat przyjdzie po in vitro i też my mamy za to płacić? Najpierw jest aborcja, potem in vitro, później eutanazja…

Marzena: Ciekawa jestem, jakby pani do tego podeszła, gdyby została pani zgwałcona. Myślę, że kobieta wtedy powinna mieć prawo zdecydowania, czy ona może z tym żyć i patrzeć później na to dziecko, czy lepiej to od razu usunąć. Przecież ona i tak jest pokrzywdzona.

Jola: No, może wtedy to tak… Ale z drugiej strony, te gwałty też się nie biorą z niczego. Poprzedni rząd chciał, aby prezerwatywy i antykoncepcja były finansowane dla dziewcząt, które skończyły 15 lat. Od 15 lat! Wyobraża sobie pani?

Marzena: Pani Jolu, my tu gadu-gadu, a dłonie już gotowe! Pazurki jak malinki. Do zobaczenia.

•

No dobra, możemy pogadać. A kiedy tę waszą książkę wydacie? Musicie to napisać z jajem, żeby pociągnęło młodych ludzi. I musicie też mieć dobry tytuł, bez tytułu nikt się nie zainteresuje. A jak będzie z humorem, to może nawet i u nas na wsi ktoś kupi. Herbaty wam

FOT. BARTŁOMIEJ MAGIEROWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl b021c5f1c6

zrobić, kawy? Mnie nie przeszkadza, że jesteście bez dzieci. Czemu o to w ogóle pytacie? Chyba myślicie, że dziewczyny ze wsi to są jakieś zacofane, nietolerancyjne. A to przecież są sprawy pokoleniowe, żadna różnica między wsią i miastem. Ja się na wsi wychowałam, mam 31 lat i inaczej na to patrzę niż starsze osoby.

Dziewczyny, to co robimy? Paznokcie to jest dodatek, bo głównie grzebię we włosach. Jak z żelem robię hybrydkę, to biorę 50 zł, bez żelu 35 zł. Młode kobiety chcą głównie lakiery z brokatem. Kiedyś to był kicz, a teraz jest szał. Sezonowo idą wszelkie owocki, wzorek w arbuzy, w truskawki. Trochę sama wymyślam, coś podpatrzę z internetu. Widzicie, dziewczyny, taka mała mieścinka, a salon jak w stolicy. Chciałabym, żebyście nie przedstawiały wsi tak, że dziewczyny tu się pindrzą, żeby się komuś podobać, a najlepiej chłopakom. Bo my robimy to też dla siebie.

Różnie tu o siebie dbamy. Niektóre klientki przychodzą miesiąc w miesiąc, choćby na podcięcie czy farbę. Ale są i takie, co bodaj raz do roku. To zależy kto z jakiego domu się wywodzi. Moja mama zawsze miała paznokieć umalowany, a o mojej siostrze w życiu byście nie powiedziały, że jest z gospodarstwa. Jak zdarzy jej się paznokci nie umalować, mówi: „Jezu, jak ja wyglądam, jestem znieładzona".

Ja się dziwię, że wy jesteście tak w tyle. Czemu nie robicie paznokci? Tylko nie mówcie, że was nie stać! Dzisiaj nie ma biedy, na wsi też, szczególnie po wejściu do Unii. Jest co najwyżej lenistwo. Niektórzy, co mają dużo dzieci, zrezygnowali z pracy, bo im się bardziej opłaca siedzieć, nic nie robić, 500+ wydać na przelew. Tak się u nas mówi – na przelew, czyli na libacje, zamiast na nowe okna.

Jeśli ty mówisz, że z wyższym wykształceniem właśnie dostałaś pensję 850 zł za miesiąc pracy, to ja ci proponuję się przekwalifikować. Młodzi ludzie powinni się ogarnąć. Jedyne, co z mężem mieliśmy, gdy braliśmy ślub 10 lat temu, to dziecko w drodze. Siedzieliśmy kątem u rodziców, wszyscy w jednym pokoju. Gdy mąż dostał stałą pracę, zarabiał 2200 zł. Wynajęliśmy stancję i 1000 zł szło na opłatę mieszkania. Aby coś mieć, trzeba się było zaciąć w sobie, a nie latać z imprezy na imprezę. Byłam tak styrana, że aż miałam drugą ciążę zagrożoną. No, co tak patrzycie, dziewczyny, my się wtedy budowaliśmy! Jak na nasze lata naprawdę daleko doszliśmy. Co ja zarobiłam, szło na mieszkanie i na jedzenie, a co mąż – na budowę. Jakoś dawaliśmy radę, wuj i ojciec budowali z mężem, żeby było po kosztach, wykańczaliśmy sami. W ósmym miesiącu ciąży ściany wałkiem malowałam. Wprowadziliśmy się sześć dni przed porodem. Dopiero od pół roku mamy górę zrobioną, ale wszystko własnymi siłami ogarnęliśmy. Teraz ludzie inaczej nas postrzegają. Wam też się wydaje, że aby mieć dom, to trzeba mieć ogromne pieniądze. Myślę, że razem z wyposażeniem wydaliśmy na wszystko 250 tys. Bez kredytu. I nie powiem, żebyśmy sam chleb z masłem jedli.

Gdy się tu przenieśliśmy, założyłam działalność, zaczynałam od zera – to trwa, zanim ludzie się dowiedzą, że coś robisz i w dodatku jesteś godna polecenia. Bo nie sztuką jest robić byle jak, tanimi lakierami. Działalność zamknęłam – płacić ZUS nie jest tak słodko. Jak skończy mi się wychowawczy, dopiszę się do KRUS-u rodziców. Przecież ja się nie rozliczam z tego dochodu za włosy i za paznokcie, no co wy.

Dziewczyny, przepraszam, że ja wam tej kawy nie zrobiłam. Jedna z cukrem, druga bez?

Nie byłabym w stanie zarobić tyle, co mój mąż, i nie znam tu kobiety, która by więcej zarabiała niż mężczyzna. Chyba że wyjedzie za granicę. Ale to jest ryzyko, bo często mężczyzna chce, aby go kobieta prosiła o pieniądze. Myślę, że ja dałabym sobie finansowo radę bez męża, ale nie muszę. Teraz on tak zarabia, że w ogóle mogłabym nie pracować, ale co bym miała ze sobą zrobić?

Z koleżankami spotykamy się po domach, przy winie. Nie że jakiś jabol, ale Carlo Rossi, a jak sobota przyjdzie, to i grilla zrobimy. W weekendy słychać nas na całą wieś. Każdy sobie chlapnie, śpiewa i jest wesoło. Pamiętam, jak dawniej moi rodzice się z sąsiadami spotykali. Ciągle były imieniny u kogoś, jedni do drugich chodzili. Dzisiaj raczej rodziny się zapraszają.

Łazienka? Pewnie, że możesz skorzystać. Na prawo zaraz jest. Ta tutaj na dole jest taka, żeby w oczy sąsiadów nie kłuła, za to łazienka na górze to takie serce naszego domu, w kamieniu, z podświetlaną wanną, wszystko wedle mojego projektu.

Może w mieście tak tego nie widać, ale na wieś idą bardzo duże pieniądze. Z waszej strony patrząc, to jest to trochę niesprawiedliwe, bo ludzie stąd dostają za darmo pieniądze, a wy nie. Na naszej wsi jest cywilizacja, ale powiem wam, że niedawno pojechałam do takiej prawdziwej wiochy, gdzie jest pięć domów na krzyż. Miałam zlecenie – zrobić trwałe trzem starszym paniom, które nie mają jak do mnie dojechać, więc zbierają się w jednym domu i po mnie dzwonią. Babki fest! Takie swojskie, co pogadają, pośmieją się. Dały też mój numer warszawiance, która kupiła tam działkę z jakąś chatą. Warszawiacy lubią takie dziury zabite dechami, że tam tylko ogon lisa zo-

Myślicie, że dziewczyny ze wsi są jakieś zacofane, nietolerancyjne. A to są sprawy pokoleniowe, żadna różnica między wsią i miastem.

eprasa.pl b021c5f1c6

baczysz. I ta kobieta zadzwoniła, żebym do niej przyjechała zrobić włosy. To ja mówię, żeby przyszła do tych sąsiadek, tak będzie łatwiej. Wyjaśniła, że słabo chodzi i nie da rady. „Dobra – pomyślałam sobie – nie znam kobiety, pojadę". Zanim tamtym zrobiłam trwałe, to już chyba miałam z 10 telefonów od niej, kiedy ja wreszcie będę, bo ona czeka. Zostawiłam te kobiety, pojechałam, a ona od drzwi: „bo ja z Warszawy", ciągle to podkreślała. I wiecie co? Dla mnie to jest wieśniactwo. Bo wieśniara to taka, która się nie potrafi zachować. Ja się nią nie czuję. My między sobą mówimy, że ktoś się po wieśniacku ubrał albo zachował. Dam przykład. Tam była jeszcze córka tej pani. Zapytała, czy się napiję wody, odmówiłam, bo sąsiadki częstowały mnie kawą i herbatą, na co ona z takim ni to zdziwieniem, ni oburzeniem: „Naprawdę?!". Jakby się zdziwiła, że nie dały mi wódki – jej zdaniem kobiety ze wsi to chyba albo pijaczki, albo biedota, której na kawę nie stać.

Zachęcałam, żeby może poszła czasem do sąsiadek, poznać się. Usłyszałam, że ona tam nie chodzi. Powiedziała to z takim wstrętem… Wiecie, jak ja się poczułam? Bardzo źle. Przyszła z wyboru na tę wiochę, a próbuje przy mnie zabłysnąć, że ona jest wielka warszawianka.

U was w mieście wszyscy idą na studia, bo chyba nie wiedzą, co innego ze sobą zrobić.

Duże miasto nie robi na mnie wrażenia. Dzisiaj wielu ludzi ze wsi wyjeżdża za granicę, do Stanów nawet, na jakieś wymiany międzynarodowe. Nas ta Warszawa nie interesuje. Tylko moja siostra, która studiowała w Warszawie, jakoś się tam zasiedziała. Podśmiewam się z niej trochę, mówię: „Przyjedź na wiochę naszą, bo już całkiem przeszłaś tą warszawką". Czyli że już o siebie nie dba. Mówi na przykład, że sobie może wyjść na ulicę w byle jakim frędzlu i nikt nie zwróci uwagi. A u nas ludzie na ubiór bardzo patrzą. Wyjdź na wioskę nieogarnięta, to od razu usłyszysz. Mi też zdarza się makijażu nie zrobić, gugla z włosów związać i latać tak cały dzień, jak wy teraz. Ale to czasami, a dziewczyny z miasta chyba mają tak generalnie – że im się nie chce, że nic nie muszą, więc sobie odpuszczają.

Nie wstydzę się tego, że jestem po zawodówce – czy mi jest potrzebne liceum, żeby włosy robić? Choć ostatnio myślałam, żeby maturę zdać. Tak dla ambicji, po co innego? *Sorry,* ale ja lepiej zarobię niż ty po tych doktoratach. Oboje z mężem po zawodówce i bez kredytu postawiliśmy ten dom, a wy nawet pracy porządnej nie macie. Nie myślałam, żeby iść na studia. U was w mieście idą wszyscy, bo chyba nie wiedzą, co innego ze sobą zrobić.

Reportaż z książki Agnieszki Pajączkowskiej i Aleksandry Zbroi *A co wyście myślały? Spotkania z kobietami z mazowieckich wsi,* Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2018

eprasa.pl b021c5f1c6

Bombardujemy nas

Edward Mikołajczyk

Dwanaście dni po przyjęciu Czech, Polski i Węgier NATO zaatakowało z powietrza Serbię. Oba te wydarzenia, choć mają wspólną datę (marzec 1999 r.), nie mają ze sobą związku przyczynowego. W nowym pakcie nowi członkowie mieli mniej więcej tyle samo do powiedzenia, co w starym, czyli nic. Tyle że w NATO byli niecałe dwa tygodnie, a w Układzie Warszawskim kilka dekad.

Oto wielka tajemnica wiary w polityce. Trzeba wiedzieć, kiedy się otrzepać ze starych pajęczyn, zdjąć zakurzone buty, włożyć nowy mundur i czekać na komendę, kto jest dzisiaj naszym wrogiem i kiedy ruszamy.

W roku 1999 Serbia nie była niczego winna NATO. Co więcej, od państw tak bliskich jak Węgry i Polska miała nawet prawo oczekiwać publicznej obrony przed jednostronnymi oskarżeniami o nieprzestrzeganie praw człowieka i posądzeniami o wywołanie wojny w Kosowie. Wykazała się bowiem zdumiewającymi aktami solidarności w chwilach najtrudniejszych dla Polaków, Węgrów i Czechów po II wojnie światowej. Była despotią, jak wszystkie państwa za żelazną kurtyną, ale w pochodach pierwszomajowych nie nosiło się u nas portretu marszałka Tity, tylko obnosiło karykaturę „krwawego kata narodu jugosłowiańskiego". W Budapeszcie i w Pradze Tito był największym wrogiem Związku Radzieckiego i „psem łańcuchowym amerykańskiego imperializmu".

Budynek Ministerstwa Obrony Serbii ma przypominać o bombardowaniu natowskim sprzed 20 lat.

Trzeba wiedzieć, kiedy włożyć nowy mundur i czekać na komendę, kto jest dzisiaj naszym wrogiem.

Kłopoty Jugosławii zaczęły się w momencie, kiedy USA zamknęły parasol nad federacyjną republiką, a Federacja Rosyjska miała dość własnych kłopotów. Serbia poczuła się odpowiedzialna za utrzymanie integralności FRJ, a Słowenia i Chorwacja miały zbyt mocnych patronów w kilku europejskich stolicach, żeby Belgradowi pozwolić na bezustanne rejwodzenie.

Po niezrozumiałym zwrocie w polityce amerykańskiej sama Jugosławia nie była zdolna do utrzymania dotychczasowego składu republik. Pewnie nikt nie był w stanie zahamować rozpadu państwa, ale przecież można było uratować pokój! Moim zdaniem w najodpowiedniejszym momencie zabrakło wtedy wyobraźni i siły jednemu człowiekowi, ówczesnemu wicekanclerzowi Niemiec Hansowi-Dietrichowi Genscherowi.

Czy ktokolwiek chciał zabronić Słoweńcom, Chorwatom, Serbom i pozostałym narodom byłej Jugosławii, żeby żyli sobie we własnych państwach, a te państwa miały swoich prezydentów, własne wojsko, dyplomację i reprezentacyjną drużynę piłki nożnej? To wszystko było do załatwienia przy jednym stole, tyle że nie zaraz i naraz, ale po kolei. Europa tymczasem pozwoliła, żeby obywatele Jugosławii pobili się między sobą na śmierć i życie o to, kto będzie pierwszy i więcej zagarnie.

Sram vas bilo, że tak powiem, a sekretariat redakcji proszę o pozostawienie podejrzanego słowa, bo chciałbym, żeby w tym miejscu zabrzmiało w polskich uszach; zapewniam, że u Serbów jest przyzwoite.

Epilogiem wojen bałkańskich miały być 24 marca 1999 r. pociski rakietowe skierowane na Serbię z amerykańskiego bombowca w służbie NATO. W serbskiej rodzinie w Londynie wpada do mieszkania synek, który oglądał telewizję u angielskich sąsiadów, i krzyczy: Mamo, tato, bombardujemy nas! Rodzice urodzeni w Smederewie długo nie mogli pojąć, o co dziecku chodzi.

W czasie 78 dni tej paradoksalnej wojny w 2,3 tys. ataków wystrzelono 420 tys. rakiet. Nie będę liczył ofiar, cywilów ani żołnierzy, zabitych ani rannych, nie podam liczby zrujnowanych szkół, elektrowni, mostów i szlaków kolejowych, by nie mącić obrazu napaści jako operacji chirurgicznej NATO. Bo właśnie mamy obchody, każdy swojego 20-lecia. Polacy – przynależności, Serbowie – otrzymanych 20 lat temu ciosów.

Kanadyjski generał Lewis MacKenzie, były komendant oddziałów UNPROFOR w Bośni, powiedział z okazji rocznicy, że agresja na Serbię „była wielką pomyłką NATO, a dzisiaj miejsce tego kraju jest na Zachodzie i w NATO właśnie".

Premier republiki Momir Bulatović, który w 1999 r. ogłaszał stan wojenny, dzisiaj mówi w belgradzkiej Happy TV, że w Europie nie było chętnych do operacji lądowej. Amerykanie się zgodzili, pod warunkiem że stopa ich żołnierza nie dotknie ziemi serbskiej, dlatego wybrali „chirurgię z powietrza". Dawał przy tym do zrozumienia, że NATO chodziło o podarowanie sobie prawdziwego poligonu z okazji jubileuszu 50-lecia.

Polska na 20-lecie w NATO na razie postanowiła tylko popsuć sobie święto Konstytucji 3 maja. ■

FOT. DESKGRAM.NET

eprasa.pl b021c5f1c6

Nathan H. Lents

STWORZENI, BY BŁĄDZIĆ

Mózg ewoluował w sposób pozwalający mu maksymalnie oszczędzać czas

Termin „błąd poznawczy" odnosi się do każdego systemowego niepowodzenia w procesie racjonalnego bądź „normalnego" podejmowania decyzji. Wszelkie tego rodzaju defekty są przedmiotem żywego zainteresowania psychologów, ekonomistów i innych naukowców, starających się zrozumieć, jak coś tak cudownie zaawansowanego jak ludzki mózg może się mylić tak niewiarygodnie głęboko, tak niewiarygodnie często i… przewidywalnie.

Ludzki mózg jest generalnie cudem logiki i rozumowania. Nawet dzieci zdolne są do dedukcyjnego rozumowania i uczą się prostych reguł logicznych typu jeżeli-to. Matematyka, której podstawowa wersja jest wrodzoną umiejętnością, jest w gruncie rzeczy ćwiczeniem z zakresu logiki. Nie oznacza to, że logika czasami nam nie umyka, lecz ogólnie ludzie myślą i działają logicznie. To dlatego błędy poznawcze są czymś dziwnym i wymagają badań – są odchyleniem od racjonalności, jakiej oczekujemy od naszego mózgu.

W ciągu ostatnich paru dziesięcioleci powstała cała dziedzina ekonomii, zwana ekonomią behawioralną, zajmująca się błędami poznawczymi. Jeden z jej twórców, laureat Nagrody Nobla Daniel Kahneman, wyjaśnił wiele tych błędów w swojej popularnej książce „Pułapki myślenia. O myśleniu szybkim i wolnym". Istnieją dosłownie setki błędów poznawczych o częściowo pokrywających się definicjach i wspólnych źródłach. Dzielimy je na trzy szerokie kategorie: błędy wpływające na przekonania, decyzje i zachowania; błędy wpływające na interakcje społeczne i uprzedzenia; błędy związane ze zniekształcaniem wspomnień. Generalnie błędy poznawcze są skutkiem uproszczeń, jakich dokonuje umysł, próbując zrozumieć świat. Aby uniknąć potrzeby dokładnego analizowania każdej bez wyjątku sytuacji, w jakiej się znajdujemy, nasz mózg ustanawia reguły oparte na doświadczeniach z przeszłości, które pomagają nam w szybszym wydawaniu sądów. Oszczędność czasu zawsze była priorytetem, więc mózg ewoluował w sposób pozwalający mu maksymalnie oszczędzać czas. Psychologowie nazywają te sztuczki heurystykami wydawania sądów.

Nie zaskakuje fakt, że mózg stworzony do dokonywania szybkich ocen często się myli. Szybka robota to niechlujna robota. W tym świetle niesprawiedliwością byłoby traktowanie wielu błędów popełnianych przez nasz umysł jako wad konstrukcyjnych, wszak w większości przypadków nasz mózg radzi sobie świetnie. Bądź co bądź, ograniczenia to nie to samo co wady.

Oto powód, dla którego błędy poznawcze należałoby jednak kwalifikować jako defekty: nie są one skutkiem przeciążenia systemu, ponieważ są raczej modelowymi pomyłkami, które popełniamy raz po raz. Gorzej nawet, są głęboko zakorzenione i odporne na korygowanie. Nawet ludziom, którzy dużo wiedzą o swoim mózgu, zdarza się coś pomylić. Nawet gdy dostają wszelkie informacje pozwalające ustrzec się błędu, wciąż nie potrafią uniknąć pewnych pomyłek.

Na przykład wszystkim nam przydarza się często coś, co nazywamy efektem potwierdzenia lub błędem konfirmacji. Jest to bardzo ludzka skłonność do interpretowania informacji w taki sposób, by potwierdzały nasze istniejące już przekonania, zamiast oceniać je bezstronnie i obiektywnie. Efekt potwierdzenia może przyjmować różne formy: wybiórczej pamięci, błędów w rozumowaniu indukcyjnym czy wręcz otwartej odmowy przyjęcia do wiadomości niewygodnych dla nas dowodów. Wszystkie one są usterkami w procesie przetwarzania informacji, których ludzie zwykle u siebie nie dostrzegają, nawet jeśli im się je wskaże, a które ogromnie irytują ich u innych.

W przypadku większości ludzi poglądy polityczne i społeczne są wysoce odporne na zmianę – niezależnie od danych, jakie im się przedstawia. W klasycznym doświadczeniu badacze społeczni zebrali przypadkową grupę ludzi i pokazali im dwa (wymyślone) raporty badawcze, z których jeden dowodził, że kara śmierci skutecznie odstrasza od popełniania brutalnych przestępstw, drugi zaś twierdził, że

eprasa.pl b021c5f1c6

jest odwrotnie. Naukowcy poprosili następnie uczestników badania o ocenę jakości i użyteczności każdego z badań. Ogólnie rzecz biorąc, uczestnicy zwykle dawali wysokie noty raportowi, który potwierdzał ich własne poglądy, a niskie raportowi wspierającemu poglądy przeciwne. Czasami nawet wskazywali na konkretne ograniczenia raportu, z którym się nie zgadzali, a które były również obecne w studium, które popierali! W innych eksperymentach naukowcy szli nawet dalej, rozdając uczestnikom sfabrykowane raporty z badań na temat akcji afirmatywnej i ograniczenia dostępu do broni, dwóch gorących tematów politycznych. Analizy te były bardziej rozbudowane i przekonujące oraz zawierały jaśniejsze konkluzje niż jakiekolwiek rzeczywiste badania. Nie miało to żadnego znaczenia. Ludzie oceniali badanie za dobrze przeprowadzone wtedy i tylko wtedy, gdy potwierdzało ich poglądy na dany temat (…).

Inną manifestacją błędu konfirmacji jest coś, co nazywamy efektem Forera. Jego nazwa pochodzi od Bertrama Forera, który przeprowadził słynną dziś demonstrację na grupie niczego niepodejrzewających studentów. Prof. Forer poprosił ich o wzięcie udziału w bardzo długim i skomplikowanym teście osobowościowym – diagnostycznej inwentaryzacji zainteresowań – i powiedział im, że wykorzysta jego wyniki do stworzenia kompletnego opisu ich osobowości. Tydzień później dostarczył każdemu z nich rzekomo spersonalizowaną kartę opisującą ich osobowość za pomocą serii stwierdzeń. Oto co dostał jeden ze studentów:

1. Odczuwasz wielką potrzebę bycia lubianym i podziwianym przez innych. **2.** Wykazujesz tendencję do samokrytycyzmu. **3.** Posiadasz ogromny niewykorzystany potencjał, którego nie przekuwasz na własne korzyści. **4.** Chociaż twoja osobowość ma pewne słabości, generalnie potrafisz je rekompensować. **5.** Miewasz problemy z dopasowaniem seksualnym. **6.** Choć na zewnątrz jesteś zdyscyplinowany i opanowany, wewnątrz bywasz niespokojny i niepewny. **7.** Czasami masz poważne wątpliwości, czy podjąłeś właściwą decyzję lub postąpiłeś właściwie. **8.** Wolisz nieco odmiany i różnorodności oraz jesteś niezadowolony, gdy krępują cię restrykcje i ograniczenia. **9.** Jesteś dumny ze swojego niezależnego myślenia i nie przyjmujesz twierdzeń innych bez zadowalających dowodów. **10.** Przekonałeś się, że zbytnia szczerość na swój temat wobec innych jest nierozsądna. **11.** Czasami jesteś ekstrawertyczny, sympatyczny, towarzyski, a czasami introwertyczny, nieufny i pełen rezerwy. **12.** Niektóre twoje aspiracje są całkiem nierealistyczne. **13.** Jednym z twoich najważniejszych celów w życiu jest bezpieczeństwo.

W przypadku większości ludzi poglądy polityczne i społeczne są wysoce odporne na zmianę.

Sęk w tym, że wszyscy studenci dostali taki sam opis osobowości, chociaż o tym nie wiedzieli. Ich nieświadomość była kluczem do eksperymentu. Gdy wszyscy otrzymali już swoje „osobiste" i „zindywidualizowane" opisy osobowości, zostali poproszeni o ocenę ich trafności w skali od 1 do 5. Przeciętna ocena wyniosła 4,26. Jeśli jesteście podobni do mnie, pewnie pomyśleliście, że powyższe wyniki dość trafnie opisują i waszą osobowość. Istotnie tak jest. Dość dobrze pasują do każdego, ponieważ stwierdzenia są albo tak niejasne, albo tak uniwersalne, że można je odnieść niemal do każdego, kto nie jest totalnym psychopatą. (…)

Oczywiście gdyby studentom powiedziano, że czytają przypadkową listę cech osobowościowych, prawdopodobnie zauważyliby, że niektóre z nich w rzeczywistości nie pasują, lecz ponieważ powiedziano im, że zostały przygotowane specjalnie dla nich, uwierzyli w przeczytane słowa.

Ów błąd w naszej zdolności do przetwarzania informacji może napytać nam prawdziwej biedy. Wszelakiej maści astrolodzy, wróżki, media i jasnowidze świetnie się orientują w zawiłościach efektu Forera. Przy odrobinie praktyki naciągacz potrafi wykorzystać najdrobniejsze podpowiedzi swojej ofiary do utkania rozbudowanej historii, która wydaje się niepokojąco prawdziwa i na temat. Oto klucz: nieszczęśnik musi chcieć wierzyć w to, co mu się mówi. Z tego powodu efekt Forera określany jest często innym mianem – efektu horoskopowego albo efektu Barnuma, od P.T. Barnuma, autora słynnego powiedzenia „Co minutę rodzi się frajer". (…)

•

Podobnie jak cudem natury jest zdolność ludzkiego mózgu do logicznego myślenia, jest nim również jego niezwykła umiejętność zapamiętywania. W naszych głowach krążą

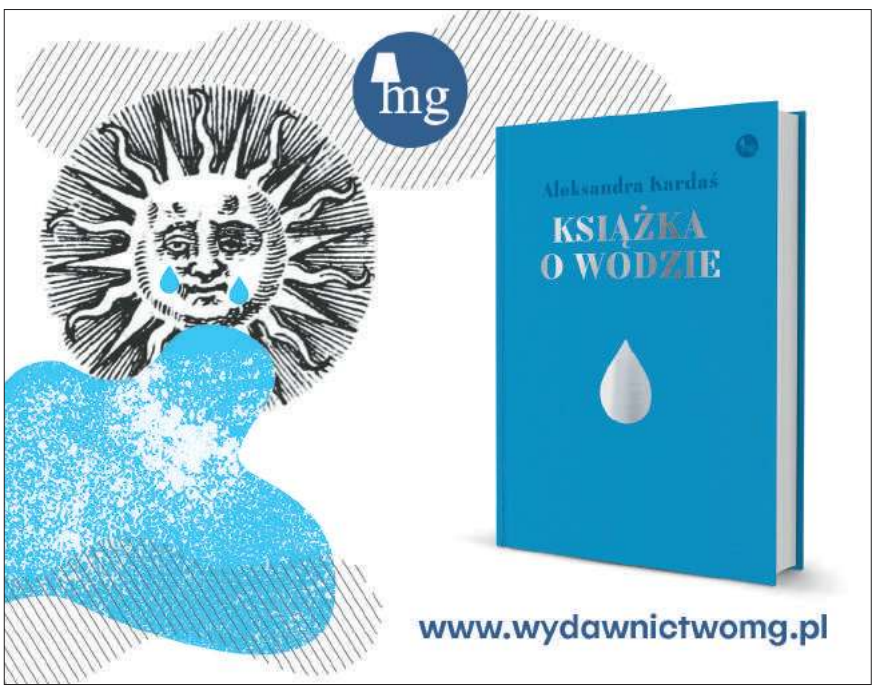

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl b021c5f1c6

dosłownie miliardy informacji, od światowych stolic wyuczonych na pamięć w podstawówce przez numer telefonu najlepszego kolegi z ławki szkolnej po żywe wspomnienia podróży, filmów i wzruszających przeżyć. Ale i w tym wypadku fantastyczna ludzka cecha nie jest wolna od wad.

W procesach formowania, przechowywania i przywoływania wspomnień przez mózg jest wiele różnych niedociągnięć. Większość ludzi doświadczyła np. sytuacji, w której okazywało się, że przywoływane latami i z lubością wspomnienie po konfrontacji z nagraniem lub świadectwem innych osób zawiera istotne nieścisłości. Czasami ludzie pamiętają jakieś zdarzenie jako głównie swoje doświadczenie, tymczasem byli tylko biernymi obserwatorami. Jeszcze kiedy indziej przenoszą wspomnienie w inny czas i miejsce lub zmieniają skład jego uczestników.

Chociaż takie drobne błędy wydawać się mogą niewinne, miewają istotne konsekwencje. Wystarczy spojrzeć na wymiar sprawiedliwości. Jeśli oskarżyciel dysponuje naocznym świadkiem przestępstwa, skazanie jest zwykle formalnością. Jeśli świadek z przekonaniem identyfikuje kogoś jako napastnika, który na jego oczach dopuścił się czynu, jakże może się mylić? Jeśli świadek nie znał wcześniej ani oskarżonego, ani ofiary, dlaczegóż miałby kłamać?

Lecz badacze specjalizujący się w psychologii sądowej dokonali zaskakujących odkryć w odniesieniu do wiarygodności naocznych świadków. Chociaż nie dowiecie się tego od zbierających i przedstawiających dowody policjantów i prokuratorów, 30-letni dorobek badawczy dowodzi, że identyfikacje dokonywane przez naocznych świadków są silnie nacechowane uprzedzeniami i często mylne, szczególnie w przypadku brutalnych przestępstw.

Psychologowie posługiwali się symulacjami, za pomocą których pokazywali, jak łatwo wspomnienia mogą ulec zniekształceniu. Rzucały one światło na niepokojące procesy przebiegające w głowach wielu naocznych świadków. Badacze rekrutowali np. ochotników i losowo dzielili ich na dwie grupy. Obie grupy oglądały film przedstawiający symulację brutalnego przestępstwa ze stałej i ograniczonej perspektywy, tak jakby badani byli obserwatorami tej zbrodni. Następnie obie grupy poproszono o opisanie napastnika. Jedną grupę pozostawiono samą na godzinę, tymczasem drugiej przedstawiono kilku podejrzanych i poproszono o zidentyfikowanie sprawcy. Zastosowano jednak pewien trik dotyczący składu grupy osób okazywanych. Żaden z aktorów nie był sprawcą, lecz jeden z nich – i tylko jeden – z grubsza odpowiadał opisowi przedstawionemu przez świadków pod względem wzrostu, budowy ciała i rasy. Częściej niż rzadziej świadkowie identyfikowali właśnie tę osobę jako sprawcę i w większości przypadków byli „bardzo pewni" prawidłowości swojej identyfikacji.

Powyższy wynik jest oczywiście niepokojący, lecz dalsza część eksperymentu może niepokoić jeszcze bardziej. Jakiś czas potem obie grupy zostały poproszone o ponowne opisanie sprawcy przestępstwa. Członkowie grupy, która nie typowała sprawcy z grupy podejrzanych, podali mniej więcej takie same opisy jak wcześniej. Jednakże większość osób z drugiej grupy przedstawiła znacznie bardziej szczegółowe opisy. Okazanie im podejrzanych „poprawiło" ich pamięć dotyczącą sprawcy. Dodatkowe szczegóły, jakie podawali, zawsze pasowały do aktora z okazania, nie zaś do rzeczywistego sprawcy przestępstwa, którego byli świadkami. Gdy badacze szczegółowo wypytywali świadków o ich wspomnienia z momentu przestępstwa, przekonywali się, że świadkowie opowiadali o tym, co widzieli, szczerze i najlepiej, jak umieli. Ich wspomnienia zostały wypaczone.

Mózg stworzony do dokonywania szybkich ocen często się myli. Szybka robota to niechlujna robota.

Badania te były później kontynuowane i wpłynęły na sposób, w jaki na terenie większości stanów przeprowadza się okazania. Eksperci w dziedzinie pamięci świadków naocznych mówią, że jedynym właściwym sposobem na przeprowadzenie okazania jest takie zorganizowanie go, by wszyscy okazywani – podejrzany oraz osoby przybrane (jak nazywa się aktorów biorących udział w okazaniu) – we wszystkich elementach odpowiadali fizycznemu opisowi podanemu przez świadka. A jeśli opis świadka nie pasuje idealnie do podejrzanego (co się często zdarza!), osoby przybrane muszą pasować do podejrzanego, nie zaś do opisu. Należy zakryć widoczne cechy identyfikujące, a także zadbać, by ubrania okazywanych były do siebie możliwe podobne. Blizny i tatuaże należy zasłonić, ponieważ jeśli świadek pamięta, że sprawca miał na szyi tatuaż, a w grupie okazywanych tylko jedna osoba jest tak wytatuowana, istnieje duże prawdopodobieństwo, że świadek wskaże właśnie tę osobę, nawet jeśli jest ona niewinna. (…)

Fragment książki Nathana H. Lentsa *Człowiek i błędy ewolucji. Niepotrzebne kości, zepsute geny i inne niedoskonałości ludzkiego ciała*, przekład Marek Zawiślak i Jacek Środa, Rebis, Poznań 2018

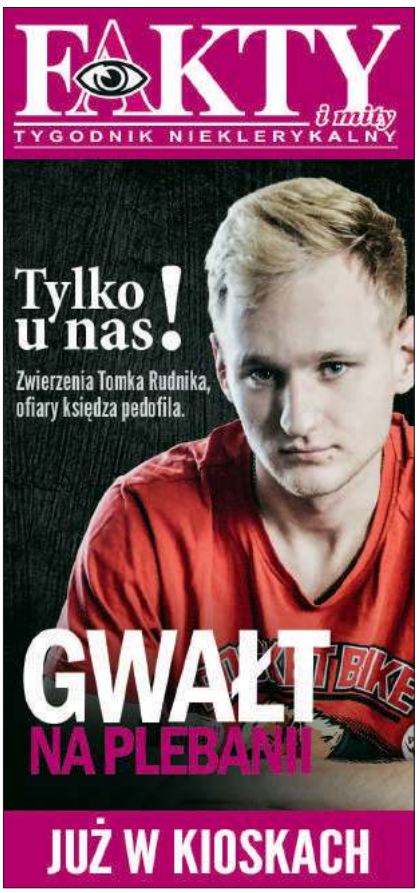

eprasa.pl b021c5f1c6

Fort Trump, czyli skromniej nad Wisłą

Gdzie te czasy, kiedy coroczne podsumowanie polskiej polityki zagranicznej wygłaszane w Sejmie przez szefa MSZ było wielkim wydarzeniem, szeroko relacjonowanym i komentowanym… Minister Jacek Czaputowicz przemawiał do opustoszałej sali, a i komentarzy zbyt wiele nie było. Bo i czegóż można było się spodziewać? Zwłaszcza że Czaputowicz nie odkleił się od nalepki „minister eksperyment" i jego pozycja w obozie władzy jest trzeciorzędna.

Być może pomogło mu to w wygłoszeniu wystąpienia, które – mimo wielu uwag (o nich trochę później) – trzymało się ziemi.

Nie było w nim pisowskiej tromtadracji, tych okrzyków: „Europo, obudź się! Naśladuj nas!" itd. Minister nie opowiadał głupot, że Polska namówi państwa Europy do pisania na nowo traktatów unijnych, że będzie „chrystianizowała" Unię albo że jest liderem Grupy Wyszehradzkiej i że to wielka siła w Unii. Nie opowiadał też o „przełomowym" projekcie politycznym, zwanym Międzymorzem, w którym oczywiście Polska gra pierwsze skrzypce. I to tak, że drżą przed tą siłą i w Berlinie, i w Moskwie. Raczej unikał takich rzeczy, żeby się nie ośmieszyć.

Może było mu o tyle łatwiej, że ostatnie lata okazały się, jeśli chodzi o politykę zagraniczną, dla pisowskiej ekipy koszmarne. Główny sojusznik, Stany Zjednoczone, nawet nie próbuje udawać, że Polska jest czymś więcej niż państwem trzeciorzędnym, i nie zamierza w niczym iść Warszawie na rękę. Właśnie kilka dni przed *exposé* Czaputowicza Ministerstwo Obrony otrzymało z Waszyngtonu informację, że stałej bazy wojsk amerykańskich w Polsce nie będzie. Ameryka przy okazji prosi, żeby nie używać nazwy Fort Trump, bo to denerwuje Rosję.

Jak więc wychwycili co czujniejsi obserwatorzy, szef MSZ nie użył w wystąpieniu tej nazwy ani razu. Usta zasznurowane.

Taki jest wynik wielkiej pisowskiej ofensywy dyplomatycznej wobec USA – wdzięczenia się Andrzeja Dudy do Donalda Trumpa, organizowania Amerykanom i Izraelowi w Warszawie konferencji bliskowschodniej czy podkopywania jedności Unii Europejskiej. Ech… Tyle starań, a tu nic. I nawet nazwy Fort Trump nie można używać…

Drugi wątek dotyczył kontaktów wewnątrzunijnych. Tu minister również był nastawiony defensywnie. Czasy, gdy PiS wołało, że flaga unijna to szmata, a Unia to Niemcy, czyli wróg, chyba już się skończyły.

Minister przyznał, że dzięki Unii Polska zanotowała niebywały skok modernizacyjny. I że Niemcy są naszym najważniejszym sojusznikiem w Europie i głównym partnerem gospodarczym. Zaraz jednak dodał, że fundusze spójności to żadna jałmużna, tylko rodzaj rekompensaty za otwarcie naszego rynku na europejskie towary. Dodał też (widać, że to go boli), że nie zgadza się na wiązanie wypłat funduszy strukturalnych z respektowaniem zasad praworządności. Argumentując, że Komisja Europejska i Rada UE nie mają mandatu władzy sądowniczej – to zadanie należy do trybunału w Luksemburgu.

Widać więc, że ekipa PiS i samo MSZ szykują się do kolejnych sporów z Brukselą. Wprawdzie Unia to już nie jest ten niedawny wróg, ale wciąż ktoś obcy, z kim trzeba się spierać i grać twardo. Jak na PiS, dobre i to.

Attaché

Cesarz Akihito rozpoczął serię rytuałów zwiastującą jego abdykację zaplanowaną na kwiecień.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl b021c5f1c6

JOLKA

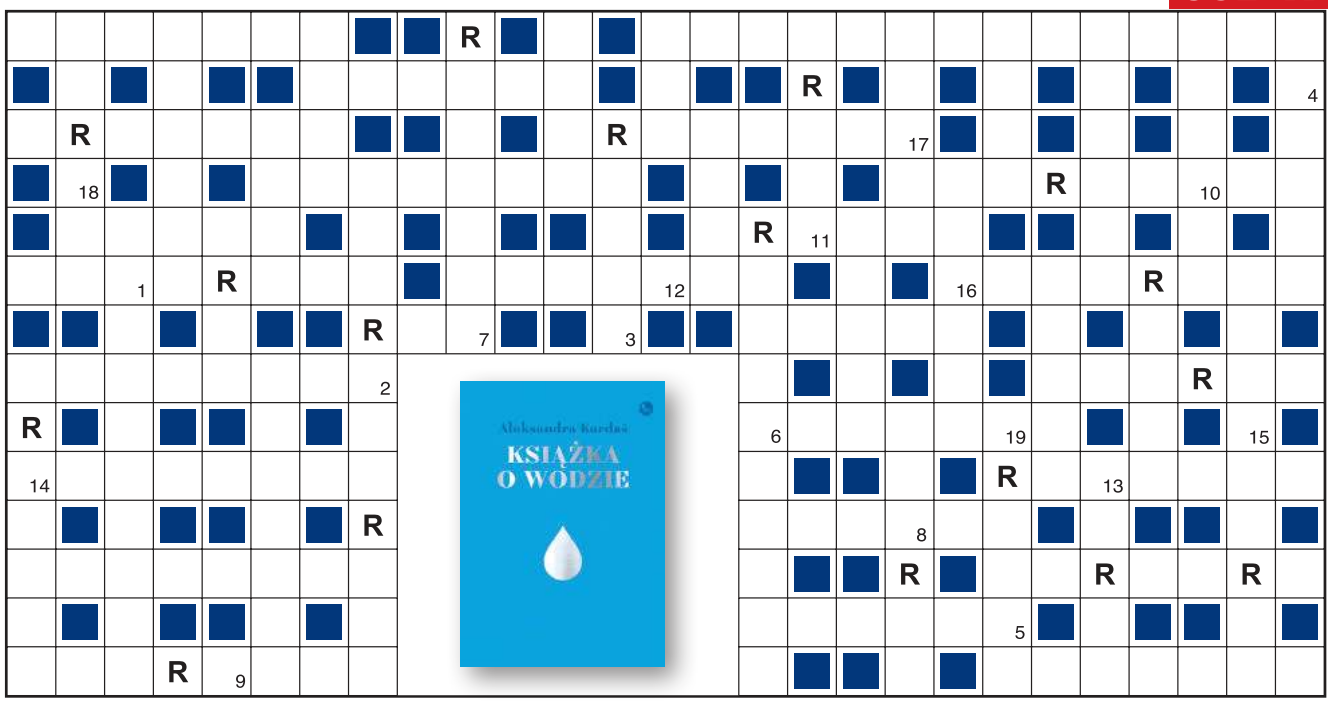

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- i pomocnik kapłana, i poplecznik
- jest nią dipol
- szeleszczący to łapówka
- raz w roku tłusty
- ofiara na cele społeczne, jałmużna
- postulat, żądanie, życzenie
- choćbym chodził ciemną, zła się nie ulęknę
- z uprzedzeniem w tytule powieści
- po delcie w alfabecie greckim
- w ropie naftowej i gazie ziemnym
- otrzymywany, gdy się podzieli
- złudzenie, fałszywe przekonanie
- hormon regulujący przemianę cukrów
- Nasrin Sotude lub Szirin Ebadi
- imię piosenkarki śpiewającej „Kawiarenki"
- i krzew, i ziemniak
- producent motocykli Vulcan i Ninja
- pszczół lub śniegu
- …sprzedaż – transakcja wzajemna
- czarnoksiężnik
- w niej czirliderka, tenisistka i Twiggy
- zbijana dietą
- z Xanten (święty) lub Barlicki
- dyplomatyczny był na naszych łamach
- uszkodzenie tkanek od gorąca
- i w RPA, i lenno króla Francji
- nóż do korowania, strugania
- jednostka ciśnienia
- dwuczuby częsty na jeziorach
- we wsypie
- nad rozlanym mlekiem – niepotrzebne
- wartki nurt w kamienistym korycie
- ironia, szyderstwo
- grabieżca, a kokosowy – krab
- wykryje ciek za pomocą różdżki
- magiczny w literaturze Ameryki Łacińskiej
- jednoczesny ruch króla i wieży
- procenty do herbaty
- do niej – z sensem, od niej – bez
- obok gabinetu dyrektora
- gra z chwytaniem kółka na kijek
- stopień Garcíi z serialu „Zorro"
- nie w każdych chodzi się wygodnie
- czyjeś usposobienie, nastrój, sytuacja
- brzydactwo, szpetota
- zeznają, co widzieli
- głupota, brak zdolności
- odgłos kopyt galopującego konia
- synowie Uranosa i Gai
- tłusty śledź jak domeczek pszczół
- razem z opierunkiem
- w czytanej książce
- zamek z ruchomą sztabką
- szybka, brunatna jaszczurka

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-901". Do rozlosowania „Książki o wodzie" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 24 marca 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-898" z 3 marca: *Z głową mur przebijesz.*
Nagrody otrzymują: Zofia Biszewska ze Szczecina, Piotr Garecki z Kielc, Michał Stopyra z Międzyrzecza.

eprasa.pl b021c5f1c6

PENETRACJE

RAFAŁ TRZASKOWSKI, PREZYDENT WARSZAWY

Prawica nie wyciągnęła żadnych wniosków z tego, co się wydarzyło w Gdańsku. Zamiast obniżania temperatury sporu, trwa nakręcanie agresji. Ja będę prowadził dialog bez podgrzewania emocji. A prawica prowadzi kampanię hejtu za grube miliony, która zbiera swoje żniwo. Znowu przychodzą groźby karalne pod moim adresem, związane również z podpisaniem Karty LGBT+. Ataków wciąż przybywa. Pogróżki zgłaszam na policję, która od stycznia zajmuje się bardzo profesjonalnie tematem nienawiści. Dobrze, że policja wyciągnęła wnioski po śmierci Pawła Adamowicza i również informuje nas o pogróżkach w mediach społecznościowych i internecie, a ja kieruję wnioski o ściganie.

WOJCIECH FORTUNA, MISTRZ OLIMPIJSKI Z SAPPORO

Startowałem w nowym kombinezonie japońskiej firmy Mizuno. Zdobyłem go tuż przed startem dzięki… handlowi wymiennemu. Kiedy wyjeżdżałem z Polski na zawody, zawsze miałem coś atrakcyjnego na sprzedaż. Do Japonii zabrałem zawinięte w ręczniki dwa kryształy wyprodukowane w Hucie Szkła „Julia". Błyskawicznie zainteresował się kryształem jeden z japońskich skoczków. Postawił na stole i kręcił niczym diamentem. Oczy świeciły mu się ze szczęścia i szybko zapytał, jaka jest cena. Zaproponowałem wymianę i wskazałem na kombinezon, który miał przewieszony przez ramię. Strój był trochę za duży. Japończyk, widząc moje wahanie, szybko zaprowadził mnie do krawca. Ten rozciął kombinezon, dokonał poprawek, zszył i po 20 minutach ostatecznie dobiliśmy targu.

WERONIKA ROSATI, AKTORKA

Gdy próbowałam zadzwonić na policję, wyszarpał mi telefon. Raz się dodzwoniłam, nie przedstawiłam się, zrezygnowałam. Co miałam powiedzieć? Weronika Rosati zgłasza, że partner ją uderzył? Uderzał wielokrotnie. W twarz, w rękę. Uderzył mnie też, jak byłam w zaawansowanej ciąży, a potem, gdy trzymałam córeczkę na rękach. O przemocy milczałam, ale mniej ze strachu, bardziej ze wstydu. Myślałam: wszyscy powiedzą, że Weronice znów się nie udało, kolejny facet, kolejna porażka! Nie chciałam porażek. Poza tym byłam zakochana, wierzyłam w przemianę. Każda kobieta wierzy, prawda? W Polsce prawie połowa matek to samotne matki. W 2018 r. policja odnotowała 65 057 zgłoszeń od kobiet o przemocy domowej. A ile jest takich, które z różnych względów się nie zgłosiły i milczą, tak jak ja milczałam?

Zawodnik MMA w Sejmie podczas zorganizowanej przez posła Piotra Liroya-Marca konferencji prasowej dotyczącej zmiany ustawy o tzw. małym świadku koronnym.

FOT. PIOTR MOLECKI/EAST NEWS

Aby język giętki…

MAREK BOROWSKI O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Powiedział, że trzeba bronić rodziny przed atakiem. Zgoda. Ale najpierw trzeba bronić prezesa przed atakiem jego własnej rodziny.

TADEUSZ CYMAŃSKI O MILCZENIU

Milczenie to skarb wszelkiej polityki. A więc – morda w kubeł.

PROF. MAREK BELKA O RZĄDZIE PIS

Ten rząd jest bardzo dobry w rozdawaniu pieniędzy, a bardzo zły w rozwiązywaniu problemów.

PROF. TADEUSZ BARTOŚ O KONFORMIZMIE KSIĘŻY

W Polsce mamy 30 tys. księży. Ilu z nich mówi dzisiaj coś krytycznego o Kościele?

BP ANDRZEJ CZAJA O PARTIACH

Nie wolno nam uprzywilejowywać żadnej partii politycznej. Gdy Kościół to zrobi, strzeli sobie w stopę.

PAULINA SMASZCZ-KURZAJEWSKA O SOBIE

Mam naprawdę fantastycznego męża, ale ja też jestem boska. Uważam, że ja na tę miłość zasłużyłam.

ALEKSANDRA KURZAK O MĘŻU ROBERCIE ALAGNI

Jest tak wylewny, tak ciepły, tak gorący, prawdziwie sycylijski temperament. Ale nie ma sielanki, bo ja jestem dociekliwa, uparta i wszystko chcę robić po swojemu.

BORYS SZYC O AKTORSTWIE

Mam dużo cech kobiecych, nadwrażliwość, zmienne stany emocjonalne, i aktorstwo było rodzajem terapii.

ADAM MAŁYSZ O SKOKACH KOBIET

Skoki kobiece tak poszły do przodu, że 10-15 dziewczyn z czołówki skacze jak mężczyźni i różnic już się nie widzi.

DANUTA STENKA O CÓRKACH

Znają ciemną stronę mojej kariery. Lęki, stres, załamania, nieprzespane noce, wylewane łzy.

AGNIESZKA DYGANT O MAMIE

Mam wrażenie, że tylko czeka na hasło: „jedziemy". I że jest zawsze spakowana na wypadek oferty *last minute* z mojej strony.

eprasa.pl b021c5f1c6

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Jak się urząd-zić

Burmistrz Polkowic złożył do prokuratury zawiadomienie w sprawie spowodowania przez kilku byłych pracowników urzędu gminy szkody w jej majątku. Okazuje się, że podłączyli oni do sieci energetycznej w miejscu pracy tzw. koparkę bitcoinów. Z rachunków za prąd wynika, że urządzenie generujące elektroniczną kryptowalutę mogło pracować bez przerwy około roku, przynosząc cwanym urzędnikom nawet kilkanaście tysięcy złotych.

Kanada ściemą pachnąca

Rząd Kanady znalazł się w ogniu krytyki, kiedy się okazało, że przekazał równowartość 263 tys. dol. organizacji, która w Hondurasie „leczy" metodami homeopatycznymi groźną chorobę, trypanosomozę amerykańską. Co więcej, identyczne wsparcie otrzymały podobne inicjatywy w Boliwii i Tanzanii. Głupszym pomysłem byłoby chyba tylko przekazanie dotacji antyszczepionkowcom na program nieszczepienia dzieci.

Grantem w kaca

Lepiej zainwestowało środki podatników polskie Narodowe Centrum Badań i Rozwoju. Rządowa agenda przyznała start-upowi Nomi Biotech niemal 1 mln zł na rozwój jego flagowego produktu, czyli suplementu w płynie zapobiegającego efektowi kaca. Misją NCBiR jest m.in. zwiększanie wydajności polskiej gospodarki i z tego punktu widzenia decyzja urzędników wydaje się bardzo racjonalna.

Religia 2.0

W świątyni Kōdaiji w Kioto nauki Buddy będzie głosić niejaki Mindar. Nie jest on jednak mnichem, ale wykonanym głównie z aluminium humanoidalnym robotem. Mindar wygłosił już swoje pierwsze przemówienie, poświęcone Sutrze Serca, jednemu z najbardziej znanych na świecie tekstów buddyjskich. Jak można się dowiedzieć z japońskich mediów, nauki robota oferują słuchaczom ścieżkę „przezwyciężenia wszelkiego strachu, zniszczenia wszystkich złych wyobrażeń i uświadomienia sobie doskonałej nirwany".

Etniczne nakrycia głowy z Chin i z Libii.

Oryginałowie spod jednej sztancy

Czasopismo „MIT Technology Review" opublikowało artykuł na temat tzw. efektu hipstera, paradoksu polegającego na tym, że ludzie pragnący się wyróżniać wyglądem często stają się bardzo podobni do siebie. Tekst zilustrowano fotografią brodatego mężczyzny we flanelowej koszuli i czapce, co wywołało oburzenie bohatera fotki. Gdy zagroził pozwem za bezprawne użycie jego wizerunku, okazało się, że zdjęcie przedstawia kogoś innego.

Równouprawnienie z pianką

Z okazji Dnia Kobiet koncern AB InBev przerobił stare reklamy piwa Budweiser. Z dzisiejszej perspektywy plakaty z lat 50. i 60. są seksistowskie, np. odwołują się do stereotypu kobiety jako osoby odpowiedzialnej za przygotowywanie posiłków. Na poprawionej wersji reklamówki z 1962 r. nie zobaczymy już mężczyzny z piwem nad obiadem gotowanym przez żonę, lecz kobietę z tym napojem, zabierającą się do dania zamówionego do domu.

MEMY BEZ ŚCIEMY

eprasa.pl b021c5f1c6

Nie ten makaron!

Burmistrz Bolonii ruszył na internetową krucjatę przeciwko... spaghetti po bolońsku. Rzecz w tym, że wbrew powszechnym wyobrażeniom długi makaron z siekanym mięsem i sosem pomidorowym nie ma wiele wspólnego z włoską, a tym bardziej bolońską kuchnią. – To dziwne być znanym na całym świecie z potrawy, która nie jest nasza – poskarżył się mediom Virginio Merola. Spaghetti bolognese nazywa fejkiem i nieustająco przypomina, że lokalną specjalnością jest tagliatelle al ragù.

Papier z kamienia

Francuskie wydawnictwo Adespote wyszło naprzeciw potrzebom ludzi lubiących czytać w wannie, ale obawiających się zniszczenia zawartości biblioteczki – stworzyło wodoodporne książki. Co ciekawe, nie powstają one z tworzyw sztucznych, lecz z pospolitego składnika wielu minerałów i skał, węglanu wapnia. Dzięki temu bezdrzewne tomy są w pełni biodegradowalne.

FOT. FB/TVPIKOREA, FB/NIESPIEWSTAJEZKOLAN, FB/CHLEWPOLSKI, AFP/EAST NEWS (2)

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:
Sandra Zawadzka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl b021c5f1c6

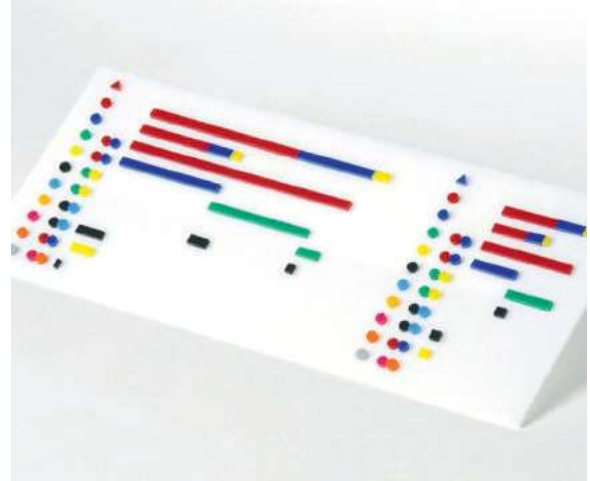

Syntetyczny folklor

Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski
Warszawa, Jazdów 2, do 19 maja

Wystawa Janka Simona mapuje 15 lat jego twórczości i różne pasje, takie jak globalizacja i geografia polityczna, teorie postkolonialne, sztuczna inteligencja i spekulacje finansowe. Otwiera ją tytułowy świat syntetycznego folkloru z rzeźbami zlepionymi z różnych form etnicznych i mozaikami o wzorach wygenerowanych przez algorytmy, łączących motywy z Indii, Afryki, Ameryki Południowej, Europy i Polski. Są tu również kolekcja obrazów zebranych na cmentarzysku statków w Indiach, wizualizacja budżetu Polski, nowe prace na temat psychodelii czy domek z dzieciństwa zbudowany na podstawie błędnych obliczeń kalkulatora.

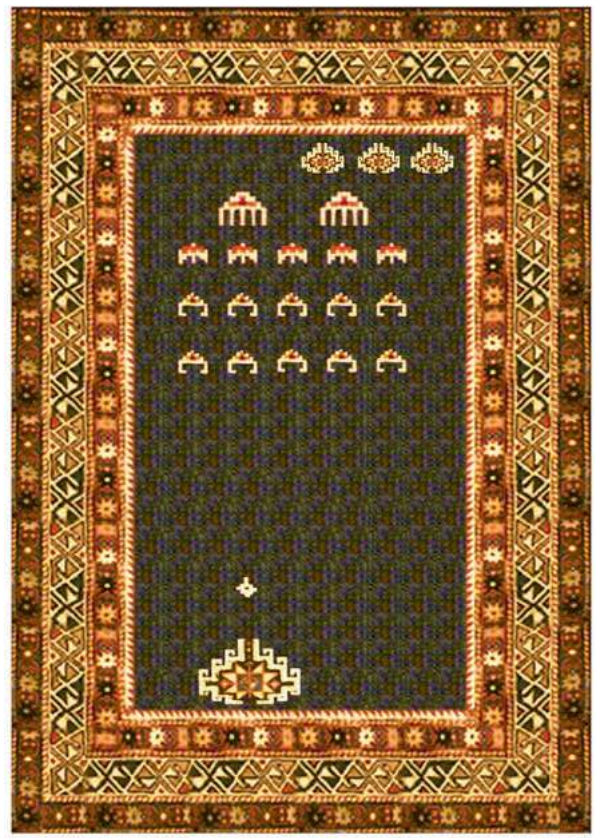

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl b021c5f1c6

TEATR CAPITOL
WYKRYWACZ KŁAMSTW
Autor
Wasilij Sigariew
Przekład
Agnieszka Lubomira Piotrowska
Reżyseria
Robert Talarczyk
Kacper Kuszewski
Anna Gornostaj
Olaf Lubaszenko
KUP BILET 2019 TEATR CAPITOL
teatrcapitol.pl

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl b021c5f1c6

NIEMIECKIE NAGRODY FILMOWE 2018
NAJLEPSZY DŹWIĘK (NAGRODA)
NAJLEPSZY FILM, AKTOR, MONTAŻ, MUZYKA (NOMINACJE)

EUROPEJSKIE NAGRODY FILMOWE 2018
NAJLEPSZY DŹWIĘK (NAGRODA)

EUROPEJSKI FESTIWAL FILMOWY LES ARCS EUROPEAN
NAGRODA MŁODEGO JURY, NAGRODA PUBLICZNOŚCI, NAGRODA PRASY (WYRÓŻNIENIE)

MFF W BARI
NAJLEPSZY REŻYSER, NAJLEPSZY AKTOR

MFF W SAN SEBASTIAN
NAJLEPSZE ZDJĘCIA

MFF W WILNIE
NAJLEPSZY FILM, NAGRODA FIPRESCI

KAPITAN

PRAWDZIWA HISTORIA CZŁOWIEKA, KTÓRY STAŁ SIĘ KATEM BY RATOWAĆ ŻYCIE...

REŻYSERIA ROBERT SCHWENTKE
(„R.I.P.D. – AGENCI Z ZAŚWIATÓW", „PLAN LOTU")

HISTORIA TO ZAWSZE „MY"

„BEZWZGLĘDNY I SUGESTYWNY"
HOLLYWOOD REPORTER

„MROŻĄCY KREW W ŻYŁACH"
SCREEN

w kinach od 22 marca

AURORA